

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



**3**  
**(19) 1999**

---

O księżniczce, hrabiach i ziemianach · Pałace i kolekcje ·  
Szkoła polskich pań · Rozmowa z Jerzym Madeyskim ·  
Wiersze Herberta i o Herbercie · Opowiadania  
ks. Jeżowskiego i Marcjanny Szałęgi · O wielkiej  
śpiewaczce i lwowskiej graficzkce · Książki i czasopisma

---

## Żywoł písma pocziwego

Od paru tygodni nasza Redakcja pracuje spokojniej: żywoł kwartalnika w bieżącym roku mamy zapewniony! Nasi Czytelnicy bardzo się zaniepokoiili, gdy dostali przy numerze 1/99 karteczkę informującą, że jeszcze nie jesteśmy pewni, czy w bieżącym roku skończy się na tym jednym numerze, czy ukażą się normalnie cztery (plus *specjalny*, ale tamten mamy zapewniony dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa). Niektórzy więc z Czytelników zaczęli śpiesznie nadsyłać opłaty za tegoroczną prenumeratę, żeby nam pomóc, a jedna z Pań zaproponowała drastyczne podniesienie ceny numeru, byle tylko pismo wychodziło. Inny Czytelnik interweniował nawet w Kancelarii Senatu, co spotkało się z miłym odzewem z tamtej strony. Były to wzruszające dowody sympatii dla naszego písma, serdecznie za to dziękujemy.

Nasi Sponsorzy wcale jednak o nas nie zapomnieli, chwilową przeszkodą były skomplikowane procedury budżetowe i wszystko (nie tylko dla nas) uległo opóźnieniu. Mamy to na szczęście za sobą. Także więc Dobrodziejom w imieniu Redakcji i Czytelników – gorąco dziękujemy!

Nasze redakcyjne teczki są przepelnione materiałami, nadsyłanymi z różnych stron. Kwartalnik jednak – jak już donosiliśmy – nie jest niestety z gumy, niemożliwe jest więc wydrukowanie wszystkiego w szybkich terminach. Do tego dochodzą liczne aktualne i konieczne do zrelacjonowania wydarzenia – niektóre miłe, nawet wspaniałe, inne niemiłe, a nawet wstrętne. Przypomnijmy kilka najważniejszych w minionej połowie roku: nasze X-lecie, akcja pomocowa, pielgrzymka Ojca św., uroczystość o. Adama Studzińskiego i mnóstwo pomniejszych, a z drugiej strony obrzydliwe wydarzenia wokół Cmentarza Orłąt we Lwowie lub nieprzyjazne napisy na szkole. Do tego dochodzi niezwykle intensywna produkcja wydawnicza, związana ze Lwowem i Małopolską Wschodnią, ich historią i ludźmi – trzeba to wszak omówić, przybliżyć Czytelnikom, bo któż jest w stanie to wszystko kupić i przeczytać? A jeszcze dodajmy czasopisma *kresowe* i *niekresowe* z całej RP, Lwowa, zagranicy...

Tak, ale autorzy, którzy nadsyłają do nas swoje opracowania, gniewają się, gdy nie znajdują ich niezwłocznie na łamach „Cracovia-Leopolis”. Piszą, telefonują, nawet obrażają się. Wszystkich ich więc – nie po raz pierwszy zresztą – serdecznie przepraszamy i prosimy o cierpliwość. Tym bardziej że – jak Czytelnicy zauważyli – artykuły dobieramy tematycznie.

Piszemy jednak te słowa nie całkiem bezinteresownie. Chcemy mianowicie poprosić szersze grono Czytelników o wypowiedzi, co im się w naszym piśmie najbardziej podoba, a co – nie daj Bóg – najbardziej nie podoba. Czego chcieliby więcej, albo mniej, a może inaczej? Aby jednak uniknąć nieporozumienia, przypominamy to, co dla nas najważniejsze: nasz kwartalnik jest poświęcony Lwowowi i Małopolsce Wschodniej, ich polskiej historii, kulturze, ludziom – w przeszłości i terażniejszości, a to przede wszystkim w odwiecznym i współczesnym powiązaniu z całą Małopolską, z Krakowem na czele. Czekamy więc na listy, a rezultaty tej korespondencji zrelacjonujemy.

I jeszcze na koniec słów parę o zawartości tego numeru. Jak łatwo zauważyć, jest on poświęcony dziedzinie – rzecz można – podwójnie przypadłej: ziemiaństwu i arystokracji, pałacom i kolekcjom, szlachetnym filantropom. Jednak nie brak i innych materiałów, bo numer całkiem monotematyczny nie mógłby dogodzić wszystkim gustom.

Serdecznie pozdrawiamy.

Redakcja

PS Tytuł powyższego tekstu nawiązuje nie tylko do Rejowego *Żywoła człowieka pocziwego*, ale i słów naszej Czytelniczki, która wśród wielu pochwał, za najważniejszą uznała taki komplement: *Wasze pismo jest pocziwe* (!)

## FELIETON O DWORACH

*K*iedy oglądam za granicą wspaniale zachowane zabytkowe zespoły pałacowe i dworskie, ściska mi się serce: myśmy przecież w Polsce też to mieli... Z lat dziecińczych wyniosłam wspomnienie odwiedzin u mieszkających na wsi krewnych. Jakże tu nie zapamiętać gościnnych gospodarzy, cieszących się z przybycia gości. Dworki – raz mniej, raz bardziej zasobne, obrośnięte dzikim winem, podparte kolumnkami, z gankiem, na którym podawano w letnie dni podwieczorek. Wnętrze pełne rodzinnych pamiątek. Mieniące się srebrem i purpurą słuckie pasy, które czasami pociągałam mocno – myśląc, że na ich początku wiszą jak w kościele dzwonki. Strychy pełne kufrów, w których znajdowały się dziwne przedmioty z dalekiej przeszłości. I rozłożyste drzewa w otaczających domy parkach i ogrodach.

Kiedy po latach można już było przekroczyć granicę i udać się w znajome niegdyś okolice, trzeba było zgadywać, w którym miejscu stał kiedyś dom. Świadczyły o tym jakieś pozostałe przypadkowo kępy drzew albo resztki fundamentów, wystające spod trawy i zielska. A najczęściej nie było niczego. Zupełnie jakby okolicę nawiedził demon zniszczenia. Kraj wspomniany jako ziemie obfitości, nagle został zamieniony w straszliwe pustkowie.

Demon ten zagarnął po wojnie cały nasz kraj, w którym to, co zdołało przetrwać wojnę i dwie okupacje, zniszczono. Zarządzono coś, co w PRL i za wschodnim kordonem nazwano reformą rolną, a było wymierzone przeciw tradycji polskiej. Tradycji, która przetrwała przez wszystkie zabory. Zlikwidowano swoistego rodzaju minimuzea, w których bez dotacji państwowych pielęgnowano narodowe pamiątki i dzieła polskich rzemieślników.

Nic i nikt już chyba nie zdoła przywrócić do życia tego, co zostało zrujnowane. Starajmy się więc przekazać przynajmniej to, co pozostało w naszych wspomnieniach.

Barbara Czalczyńska



Herb Jelita hr. Bielskich  
(p. artykuł *Pamiętam tamten pałac* – str. 14)

Marta Walczewska

# PO PIELGRZYMCE PAPIESKIEJ

Byliśmy świadkami wielkiego wydarzenia: Ojciec Święty Jan Paweł II po raz szósty odwiedził kraj rodzinny. W czasie Jego pielgrzymki, najdłuższej z dotychczasowych i najbogatszej pod względem liczby spotkań, przez 13 dni słuchaliśmy Jego katechez. Oddychaliśmy atmosferą przepelnioną miłością Boga i Ojczyzny; Jan Paweł II przybliżył nam naukę Ośmiu Błogosławieństw.

Był Gościem Polski w jej dzisiejszych granicach, nie było Mu jeszcze dane odwiedzić Lwowa i naszych kresów południowo-wschodnich, choć był już niedawno w Wilnie. Wielu ludzi z tamtej strony granicy przyjechało tutaj, witali Go też ci, których ekspatriowano z Kresów i od lat mieszkają w obecnej Polsce.

Witały Ojca Świętego nasze najdroższe, przywiezione z Kresów, ocalone przed sowieckim barbarzyństwem – święte obrazy i figury. Witała Go w Gdańsku cudowna Matka Boża Łaskawa z ormiańskiego kościoła w Stanisławowie – mieście, w którym wymordowano większość miejscowej inteligencji polskiej. A w Warszawie – Matka Boża Żółkiewska, Patronka miasta, w którym – jak tam wszędzie – zgodnie współżyli Polacy, Żydzi, Rusini, Niemcy.

Papieska msza św. w Warszawie odbyła się tak blisko Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie spoczywają szczątki Bohatera poległego we Lwowie.

Do warszawskiego Zamku sprawdzono ze Lwowa wystawę krucyfiksów, które ocalały ze zniszczonych przez barbarzyńców kościołów na Kresach. Te rzeźby – wielkiej nieraz wartości artystycznej, omodlone przez pokolenia Polaków i Rusinów – są przeważnie okaleczone. Tak Chrystus Cierpiący witał następcę św. Piotra. W Warszawie Ojciec Święty poświęcił Pomnik Poległych i Pomordowanych na Wschodzie. Któż z nas nie ma wśród nich kogoś bliskiego? Wartę przy pomniku trzymali chłopcy w mundurach – transparent

głosił: *Harcerze ze Lwowa – Semper Fidelis.*

Wśród 108 beatyfikowanych przez Ojca Świętego w Warszawie są błogosławieni, którzy pochodzili z Kresów lub tam pracowali, jak np. Maria Antonina Kratochwil, nauczycielka, wychowawczyni, należąca do Zgromadzenia Sióstr Szkolnych de Notre Dame, więziona w Stanisławowie.

Kolejne miejsce pielgrzymki – Radzymin, gdzie Ojciec Święty modlił się na cmentarzu ofiar wojny 1920 roku – przypomina nam odległe od Lwowa o 33 km Zadwórze – *Polskie Termopile*. Stoczona tam bohaterska walka jednego z polskich oddziałów, które ofiarą krwi, broniąc Lwowa, zatrzymały armię Budionnego, osłabiając w ten sposób siły Tuchaczewskiego, prącego na Warszawę – były wstępem do *Cudu nad Wisłą*.

Kraków, miasto Karola Wojtyły, radośnie przygotował się na Jego przyjęcie. Czekala nas jednak szczególna próba – po wielu godzinach wyczekiwania w strumieniach deszczu na Błoniach dowiedzieliśmy się, że Ojciec Święty zachorował i nie będzie obecny wśród nas. To bolesne rozczarowanie przyjęliśmy godnie, ze spokojem – i widać dobrze modliliśmy się o Jego zdrowie, bo dalsza część pielgrzymki odbyła się szczęśliwie. I my modliliśmy się do przebywających tu, wśród nas w Krakowie, Chrystusa Cierpiącego z Milatyna, do Matki Bożej Łaskawej, do Matki Bożej Sokalskiej...

Z wielkim żalem żegnaliśmy Jana Pawła II, lecz z nadzieją w sercach, że jeszcze do nas przyjedzie. A może – Bóg da – także do Lwowa, by Słudzy Boży Józef Bilczewski i Zygmunt Gorazdowski zostali wyniesieni do chwały ołtarzy.

Ojczy! Święty! Polacy na Wschodzie chcą się modlić po polsku z Papieżem – Polakiem! Teraz i zawsze.

*Krakowscy i małopolscy Lwowianie*

*A oto wiersz napisany z tej okazji  
przez krakowską lwowiankę, panią  
Wandę Dobrzycką-Sykut:*

## **ODA DO PAPIEŻA JANA PAWŁA II**

Świecisz miłością bliźniego  
jak gwiazda promienna!  
Dzień kwitnie w pokorze i blasku  
bo jesteś na Polskiej Ziemi!  
Ujrzałeś znowu dom Swojej młodości  
i ludzi bliskich, serdecznych,  
ufnych w prawdy, które głosisz.  
Będziesz mocny nową siłą  
czułych wzruszeń,  
przez to jeszcze bardziej Święty.

Wielka radość idzie z Tobą  
oraz magia Twoich rąk i oczu,  
które błogosławią urbi et orbi!  
Rozbijasz świat pełen chaosu  
na atomy barw Miłości i Pokoju,  
szturmujesz Niebo modlitwą  
i Ziemię nękaną ciągłymi wojnami.

Zrywasz zasłony tkwiące na poniżonych  
przez fetysz pieniądza i władzy,  
buntujesz się przeciw przemocy,  
walczysz o ład na Ziemi!  
Chcesz ją przybliżyć do Nieba  
głoszonego przez Chrystusa.

Na barykadach Boskiej Idei  
pragniesz otworzyć Kluczem Piotrowym  
lepszy Świat – jesteś jak płomień,  
który nie zgaśnie nigdy na kraterze  
Historii – bo chcesz złączyć ludzi  
ogniwem Miłości Bliźniego.  
Jesteś Lekarzem Świata!



**Maria Gumińska**

# SZKOŁA POLSKICH PAŃ

Instytut Gospodarczego Kształcenia Kobiet im. Janiny Karłowicz  
w Snopkowie (1913-1940)

**Pod koniec XVIII i w XIX wieku w rozbitej przez rozbiory i niszczonej przez zaborców Polsce gospodarka wiejska – szczególnie w niektórych rejonach kraju – stała na niskim poziomie, a jej rozwój i postęp hamowały nie tylko względy polityczne oraz ogólne zacofanie gospodarcze, ale i brak odpowiednio przeszkolonych kadr w zakresie rolnictwa i wiejskiego gospodarstwa domowego.**

**D**o wielu cennych inicjatyw w tym trudnym dla Polski okresie, podejmowanych przez ludzi świątłych, należy zaliczyć starania o kształcenie kobiet, co z dużym poświęceniem rozpoczęła realizować generałowa Jadwiga Zamoyska, zakładając w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia Szkołę Pracy Domowej Kobiet w Kórniku, a później w Kuźnicach koło Zakopanego. Ideą przewodnią Zamoyskiej było nie tylko dobre przygotowanie kobiet do zawodu i racjonalnego prowadzenia gospodarstwa, głównie wiejskiego, ale i kształtowanie ich charakterów i rozbu-

dzenie patriotycznego obowiązku służenia Polsce.

Wychowanki Szkoły w Kuźnicach postanowiły wprowadzić w czyn ideały rzetelnej pracy i służby dla Ojczyzny, wpajane im przez J. Zamoyską, podejmując inicjatywę założenia szkoły gospodarczej dla dziewcząt wiejskich na terenie Małopolski Wschodniej. Główną inicjatorką tego pomysłu była Janina Karłowiczówna (1882-1937). W 1905 r. wspólnie z dwoma innymi „kuźniczankami” – Julią Łukaszewską i Marią Wiśniewską powołała do życia lwowskie *Kółko Kuźniczanek*, które gromadząc na początku zaledwie kilkanaście osób, zajęło się m.in. gromadzeniem funduszy na rozpoczęcie budowy planowanej szkoły. Szkoła taka powstała w 1906 r. w Olesku (pow. złoczowski), przeniesiona później do Pietrycz, a w 1911 r. do Białego Kamienia.

Wielka potrzeba i zainteresowanie społeczeństwa tego typu kształceniem kobiet doprowadziły osoby zrzeszone w Kółku Kuźniczanek do utworzenia w 1907 r. Towarzy-

stwa Gospodarczego Wykształcenia Kobiąt (TGWK). Towarzystwo to przejęło prowadzenie kursów gospodarczych w wielu miejscowościach oraz opiekę nad nowo powstającymi szkołami dla dziewcząt wiejskich (m.in. w Żydaczowie, Tłumaczu i Białym Kamieniu). Rozbudowa szkolnictwa gospodarczego stworzyła pilną potrzebę wykształcenia odpowiednich kadr nauczycielskich.

**A**ysł założenia wyższej uczelni gospodarczej podjęły J. Karłowicz i Wanda Czartoryska (zob. *Sylwetki*), przewodnicząca TGWK od 1911 r. Janina Karłowiczówna ofiarowała na ten cel część gruntu ze swojego majątku na przedmieściach Lwowa – w Snopkowie, natomiast W. Czartoryska udzieliła pomocy finansowej i przekazała TGWK do dyspozycji przysiężnej uczelni sąsiedni folwark Bielosko. Ona też była do swej śmierci w 1920 r. troskliwą opiekunką szkoły snopkowskiej.

Ryzykowną, jak na tamte czasy, i trudną ze względów finansowych budowę rozpoczęto jeszcze w 1911 r. od poświęcenia kamienia węgielnego. Dzięki pomocy ówczesnego Wydziału Krajowego, ofiarności społeczeństwa i pełnej poświęcenia pracy szybko rosły mury uczelni i już w 1913 r. w nowym budynku rozpoczęły naukę pierwsze słuchaczki Seminarium Gospodarczego w Snopkowie.

Warunkami przyjęcia kandydatek były: ukończony 18. rok życia, świadectwo dojrzałości średniej szkoły ogólnokształcącej, narodowość polska (przyjmowano też Polki zamieszkałe za granicą), wyznanie rzymskokatolickie i świadectwo zdrowia. Większość uczennic szkoły snopkowskiej była pochodzenia ziemiańskiego.

Pierwszą kierowniczką Seminarium od 1920 r. była Maria Dewiczowa, poprzednio nauczycielka szkoły gospodarczej w Białym Kamieniu. Natomiast J. Karłowicz pracowała początkowo jako nauczycielka i kierowniczka internatu, a od 1920 r. jako dyrektor Seminarium Gospodarczego.

Nauka w Seminarium trwała dwa lata. Opracowując program nauki i zasady organizacyjne, Karłowiczówna wykorzystwała wiedzę zdobytą w Kuźnicach oraz w czasie wycieczek i praktyk zagranicznych w szkołach podobnego typu, m.in. w Bel-

gii, Szwajcarii, Danii i Czechosłowacji. Po zdaniu wszystkich egzaminów z obowiązujących w ciągu dwuletniej nauki przedmiotów słuchaczki otrzymywały absolutorium, po czym przystępowały do egzaminu końcowego, który uprawniał do podjęcia pracy zawodowej.

Wybuch I wojny światowej przerwał na krótko działalność szkoły, ale już jesienią 1915 r., po ustąpieniu Rosjan, rozpoczęto naukę i w roku następnym do pierwszego egzaminu dyplomowego przystąpiło 16 absolwentek. W czasie działań wojennych w budynku Seminarium zorganizowano opiekę nad rannymi legionistami oraz ich dożywianie. Pracowała też kuchnia wydająca posiłki dla ubogich. Podobnie w latach 1918-20 wykładowcy oraz słuchaczki szkoły snopkowskiej brały udział w obronie Lwowa, a w budynku szkolnym urządzono szpital dla rannych i przygotowywano posiłki dla żołnierzy. W walkach o Lwów zginęła uczennica – Felicja Sulimirka. Za zasługi w pomocy walczącym Szkoła została odznaczona Krzyżem Obrony Lwowa. Wmurowano go uroczystie na budynku szkolnym w 1934 r. Należy też podkreślić, że w r. 1916 w Snopkowie wypoczywał przez



Janina Karłowiczówna

trzy tygodnie marszałek Józef Piłsudski. Potem jeszcze dwukrotnie odwiedzał Szkołę – w 1918 i 1919 r.

Pomimo trudności finansowych po ustaniu walk 1920 r. rozpoczęto rozbudowę i unowocześnienie budynków uczelni. Kłopoty finansowe wzrosły wraz ze śmiercią Wandy Czartoryskiej, hojnej i życzliwej opiekunki Snopkowa.

Szkoła w Snopkowie zmieniała kilkakrotnie nazwę. Seminarium Gospodarcze, będące własnością TGWK, podlegało w latach 1918-28 Ministerstwu Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych. W latach 1925-35, na mocy decyzji ówczesnego ministra oświaty Stanisława Grabskiego, nazwano uczelnię Główną Szkołą Gospodarczą Żeńską. W okresie 1928-32 podlegała ona przejściowo Ministerstwu Rolnictwa, potem znów Min. OPIWR. W latach 1935-38 działała ona jako Prywatna Szkoła Gospodarcza Żeńska, a w ostatnich dwóch latach (1938-39) jako Prywatny Instytut Gospodarczego Kształcenia Kobiet im. Janiny Karłowicz. Od r. 1938, dzięki staraniom ówczesnej dyrektorki inż. Haliny Bierównej, Szkoła otrzymała status wyższej uczelni nieakademickiej.

W latach 1925-30 przedłużono czas nauki do trzech lat. W ciągu dwóch pierwszych lat słuchaczki odbywały wszystkie zajęcia praktyczne i słuchały wykładów, a po otrzymaniu absolutorium z zaliczonych ćwiczeń praktycznych oraz zdanych 32 kółków uzyskiwały prawo wyboru specjalizacji w zakresie hodowli zwierząt, ogrodnictwa lub gospodarstwa domowego. Program trzeciego roku obejmował trwając 8 miesięcy praktykę i 2-miesięczny kurs teoretyczny. W 1935 r. specjalizację ograniczono do praktyki w gospodarstwach domowych i dodatkowo wprowadzono praktykę pedagogiczną w szkołach zawodowych. Po odbyciu egzaminów ze swojej specjalności oraz z psychologii i pedagogiki absolwentka otrzymywała dyplom uprawniający do nauczania w szkołach gospodarczych żeńskich.

**K**ierownictwo Szkoły dbało o utrzymanie wysokiego poziomu nauczania. Wykładowcami byli profesorowie i asystenci Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej, Akademii Rolniczej w Dub-

lanach, Wyższej Szkoły Ekonomicznej i Akademii Weterynaryjnej we Lwowie. Uzupełnieniem wykładów były demonstracje w laboratoriach uniwersyteckich, referaty naukowe i dyskusje. Organizowano też wycieczki naukowe i praktyki we wzorowych gospodarstwach oraz szkołach podobnego typu w kraju i za granicą. Zajęcia praktyczne prowadzili nauczyciele z przygotowaniem zawodowym i pedagogicznym, a odbywały się one w doskonale prowadzonym gospodarstwie hodowlanym Biełosko. Należy zaznaczyć, że szkoła w Snopkowie, szczególnie w ostatnich latach istnienia, nie tylko dorównywała, ale przewyższała poziomem oraz bogatym programem nauczania wiele zagranicznych szkół gospodarczych.

Wszystkie słuchaczki w czasie trwania nauki mieszkaly w internacie, którego kierowniczką i personel wychowawczy miał, między innymi, obowiązek kształtowania charakterów dziewcząt. Zwracano uwagę na wychowywanie religijne i patriotyczne. Wspólne życie wpływało też na wyrabianie umiejętności współżycia na co dzień i pomagało w nawiązywaniu długotrwałych przyjaźni.

Szkoła snopkowska wpajała swoim słuchaczkom obowiązek pracy społecznej. Od jej założenia działało *Kółko Koleżeńskie*, a w nim kilka sekcji. Zadaniem kółka było dokształcanie i wyrabianie charakterów, pogłębianie życia koleżeńskiego i samopomoc koleżeńska oraz praca społeczna. Dzięki ofiarności J. Karłowiczówny, która przekazała na cele społeczne następną część swojego gruntu, w 1926 r. oddano do użytku nowy budynek, nazwany *Ochronką*. Rozpoczęło w nim działalność przedszkole dla ponad 50 dzieci, biblioteka z wypożyczalnią, sala szkolna do odrabiania lekcji dla starszych dzieci, stacja opieki nad matką i dzieckiem, ambulatorium oraz dwie świetlice kulturalno-oświatowe dla młodzieży męskiej i żeńskiej, w których sekcja teatralna urządzała przedstawienia, a oświatowa – odczyty dla mieszkańców Snopkowa. W budynku ochronki działał też tzw. *kram koleżeński*, czyli sklepik, który miał stanowić wzór dobrej organizacji i prawidłowo prowadzonej buchalterii dla sklepów spółdzielczych.





Pracownia tkacka (1925)

Absolwentki uczelni snopkowskiej były zrzeszone w Związku „Snopkowlanka”, który działał zgodnie z własnym statutem i dzielił się na kilka sekcji. W czasie walnych zjazdów zdawano sprawozdania z działalności poszczególnych sekcji. Członkinie Związku utrzymywały ścisły kontakt z założycielką uczelni oraz z gronem nauczycielskim. Organizowały zjazdy naukowe i spotkania, różne imprezy kulturalne oraz wydawały pismo „Snopkowlanka”, z siedzibą redakcji we Lwowie. Jego celem było utrzymanie więzi z koleżankami, zamieszkałymi w różnych stronach kraju.

To utrzymanie łączności i uczucia koleżeńskie snopkowlanek (zwanych też popularnie *snopeczkami*) przetrwały trudne lata II wojny i trwają nadal. Absolwentki szkoły snopkowskiej utrzymują ze sobą stały kontakt i w dalszym ciągu organizują spotkania w różnych miastach Polski.

W czasie obrony Lwowa w 1939 r. budynek szkolny służył jako kwatera różnych jednostek Wojska Polskiego, między innymi 10 BK gen. Maczka. W tym czasie na Snopkowie przebywała dyrektorka szkoły oraz nieliczna grupa nauczycielek i personelu administracyjnego. Po kapitulacji i zajęciu Lwowa przez armię sowiecką delegacja NKWD zarekwirowała część majątku szkoły i zawiadomiła o upaństwowieniu budynków oraz terenów należących

do uczelni. Sowieckie władze oświatowe uruchomiły wprawdzie na krótko działalność szkoły z bardzo ograniczonym programem nauczania, ale już w pierwszych dniach marca 1940 r. nakazały całkowitą jej likwidację.

Absolwentki uczelni snopkowskiej, które przeżyły działania wojenne, pracę w konspiracji, i nie zostały zesłane w głąb Rosji, bez trudu – dzięki swoim wysokim kwalifikacjom zawodowym – znajdowały zatrudnienie w różnych szkołach o profilu gospodarczym, gastronomicznym i rolniczym, w zakładach związanych z rolnictwem, instytutach i wyższych uczelniach. Należy zaznaczyć, że godnie reprezentowały i rozślawiały dobre imię swojej Szkoły oraz pozostały wierne hasłom, umieszczonym na emblemacie uczelni: *Szanuj, służ, świeć, siej*.

---

MARIA GUMIŃSKA, z domu Gołębska, ur. we Lwowie. Pochodzi z rodziny ziemiańskiej z Podola (czortkowskie). Studia zootechniczne w Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie, a później w zakresie bibliotekoznawstwa i informacji naukowej na UJ. Była asystentką na UJ, publikowała prace naukowe. W czasie stanu wojennego zaangażowana politycznie, została odsunięta od kontaktu ze studentami. Podjęła wtedy pracę w bibliotece Akademii Rolniczej w Krakowie. Obecnie na emeryturze.

---

Tadeusz Kukiz

# MECENAS

## STANISŁAW HENRYK BADENI – MECENAS NAUKI I KULTURY POLSKIEJ

Na skraju cmentarza w Krościenku Wyżnym koło Krosna, na masywnym cokole, stoi kuty w kamieniu okazały krzyż z częściowo utraconym górnym ramieniem, otoczony kamiennymi słupkami, połączonymi żelaznymi, porzewiałymi prętami. Oglądany od strony cmentarza, rysuje się wyraziście na tle pól i ściany lasu. Jeszcze niedawno cokół pod krzyżem opatrzony był jedną tylko, uszkodzoną przez pocisk, marmurową tablicą, z bardzo trudno czytelnym napisem:

Maria ze Skrzyńskich  
Kazimierzowa Orpiszewska  
\* 23.09.1853 † .... 1933  
Kazimierz Orpiszewski  
\* 14.05.1853 † 16.05.1897

W grobowcu, przy którym stoi ów krzyż, w czasie II wojny światowej pochowano przybyłego z Krakowa do Korczyny k. Krosna i zmarłego tam 28 lipca 1943 r. Stanisława Henryka Badeniego. Człowiek, którego szczodrości kultura i nauka polska zawdzięczają wiele, jeszcze niedawno nie miał na mogile tablicy nagrobnej, a on sam przez całe lata pozostawał w całkowitym prawie zapomnieniu.

Stanisław H. Badeni urodził się 1 stycznia 1877 r. w Radziechowie, w (późniejszym) województwie tarnopolskim; był najstarszym synem Stanisława Marcina hr. Badeniego, marszałka galicyjskiego Sejmu krajowego, i Cecylii z hr. Mierów, a bratankiem Kazimierza hr. Badeniego pochodzącego z sąsiedniego Buska, namiestnika Galicji i w latach 1895–97 premiera Austro-Węgier. Początki nauki pobierał przypuszczalnie w domu rodzinnym; zachowało się jego kilkustronicowe opracowanie pt. *Opis Radziechowa* z r. 1886, dedykowane mat-



Stanisław Henryk Badeni

ce. Później uczęszczał do gimnazjum we Lwowie (które ukończył w wieku 16 lat) i wstąpił na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego – w tym głębokim przekonaniu, jak mówił, że zdobywając wiedzę prawniczą, najlepiej zdoła przygotować się do służby publicznej dla kraju. W 1899 r. uzyskał tytuł doktora praw, studiując następnie na uniwersytetach zagranicznych (Berlin, Wiedeń, Heidelberg); interesowały go nauki humanistyczne, a zwłaszcza historia. Już w dziewiętnastym roku życia opublikował artykuł pt. *O łowiectwie polskim czasów piastowskich*, a w pięć lat później rozprawę o Stanisławie Ciołku, biskupie poznańskim i dyplomacie. Mimo fenomenalnej wprost pamięci nie poświęcił się jednak pracy naukowej, a wybrany posłem na Sejm Krajowy galicyjski w 1908 r., później od głośniejszej polityki raczej stronił.

Odziedziczył wielki majątek: dobra ziemskie Radziechów, Witków, Chołojów i in. oraz rozległe obszary leśne. Dochody z tej fortuny rodzinnej obracał ze znanstwem na cele kultury i nauki, ratował przed rozproszeniem cenne kolekcje, nabywając je dla instytucji publicznych. Lista jego dotacji jest bardzo długa i trudno byłoby w popularnym artykule wszystkie je omówić.

Własnym sumptem wydawał „Kronikę Powszechną” (Lwów 1910–14) i „Przegląd Współczesny” (Kraków 1922–39). Wspomagał biblioteki i muzea – zwykle czynił to anonimowo. Dla Biblioteki Jagiellońskiej zakupił w 1937 r. cały bogaty i pod względem treści wysokowartościowy księgozbiór, obejmujący 6 tys. tomów, po znanym krakowskim lekarzu-dermatologu Michale Kozłowskim, ratując przed niepamięcią i rozproszeniem tę ze znanstwem przez pół wieku gromadzoną kolekcję. A kiedy średniowiecznym obrazom z kościoła św. Katarzyny w Krakowie groził wywóz poza granice miasta lub – co gorsze – z kraju, i żadne muzeum krakowskie nie mogło ponieść tak znacznego wydatku, by je zakupić – Stanisław Badeni, jak zwykle za kulisami, nabył obrazy dla Krakowa (chodziło o kwotę 35 tys. zł, równą 7 tys. dolarów). W r. 1930 przekazał Naukowemu Instytutowi Katolickiemu w Krakowie swój dom przy ul. Pijarskiej 6 (róg Sławkowskiej) w bezpłatne użytkowanie oraz ofiarował księgozbiór, liczący ok. 4 i pół tys. tomów, sięgający swymi początkami domowej biblioteki hr. Mierów i uzupełniany przez Badenich. Ta tzw. Biblioteka Radziechowska składała się z książek XIX- i XX-wiecznych, wśród których, obok wybitnych dzieł literatury pięknej, reprezentowane były niemal wszystkie dziedziny nauk humanistycznych, albumy sztuki, pamiątniki i inne. Dzięki hojności ofiarodawcy księgozbiór był stale pomnażany; Badeni pokrywał też koszty katalogowania zbioru. W wyniku II wojny światowej i likwidacji Instytutu przez okupacyjne władze niemieckie, a po reaktywowaniu go – przez władze komunistyczne, Biblioteka Radziechowska poniosła duże straty. W 1960 r. włączono ją do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krakowie. Jak wynika z pracy magisterskiej Teresy Wyźgi (1989), księgozbiór Radziechowski liczy obecnie 2547 druków zwartych i 30 tytułów czasopism, a okazało się, że są w nim pozycje, których nie posiadają biblioteki Jagiellońska, Czartoryskich czy PAN.

Również Lwów zawdzięczał wiele Stanisławowi H. Badeniemu. W roku 1914 ofiarował Bibliotece Ossolineum znaczny zbiór czasopism polskich i obcych oraz 10 tys. dzieł rzadkich i starych z nabytej od Kazimierza Gubrynowicza wypożyczalni

książek; z części beletrystycznej tej wypożyczalni ufundował popularną we Lwowie czytelnię „Ateneum”. Po pierwszej wojnie światowej znów darował Bibliotece Ossolineum księgozbiór swego ojca, dublety przeznaczając dla Biblioteki Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

W 1928 r. przekazał 50 tysięcy zł na urządzenie wnętrza Stacji Polskiej Akademii Umiejętności w Rzymie i wyposażył ją w księgozbiór, zakupiony po wiedeńskim historyku sztuki, Maksie Dworzaku. W 1931 r. ofiarował Bibliotece Polskiej w Paryżu 6 tys. franków na skatalogowanie zbioru rycin. Przyczynił się też wydatnie do rozwoju biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Francji w Krakowie. [...]

Działania Badeniego, wspierające instytucje, stowarzyszenia i pojedyncze osoby, były różnorodne. Dawny dwór w Witkowie Starym koło Radziechowa przekazał Ludowej Szkole Rolniczej (żeńskej), a na początku lat dwudziestych jedno skrzydło swego pałacu w Radziechowie oddał Prywatnemu Gimnazjum Koedukacyjnemu im. Marszałka Badeniego i stale mu pomagał. [...]



Grobowiec rodziny Orpiszewskich w Krościenku Wyżnym, w którym pochowano Stanisława H. Badeniego

W r. 1937 darował Uniwersytetowi Jana Kazimierza we Lwowie dom ojcowski przy ul. 3 Maja nr 6, z przeznaczeniem na cele naukowe (w rok później uniwersytet lwowski przyznał mu doktorat *honoris causa*). Będąc członkiem czynnym lub honorowym wielu towarzystw naukowych i humanitarnych, wspierał je subwencjami, np. Towarzystwu Szkoły Ludowej we Lwowie przez wiele lat rokrocznie posyłał tysiąc złotych.

W Bibliotece Jagiellońskiej, w materiałach po pochodzącym z Radziechowa historyku sztuki Juliuszu Rossie, znajduje się odpis pisma Badeniego z lutego 1939 r.:

*Do Prezydium Zarządu Miejskiego król. stoł. Miasta Lwowa – na ręce Pana Prezydenta Miasta dra Stanisława Ostrowskiego, we Lwowie. Doceniając rolę i znaczenie Galerii Narodowej miasta Lwowa i chcąc przyczynić się do rozwoju tej polskiej placówki kulturalnej w drogim mi mieście Lwowie, daruję niniejszym Gminie królewsko-stołecznej miasta Lwowa na wieczne czasy część moich zbiorów, a to: [32 obrazy wyliczone].*

Były to m.in. płótna Ajdukiewicza, Axentowicza, Chelmońskiego, Fałata, Stanisławskiego, Witkiewicza (ojca), Wyczółkowskiego i wielu innych malarzy polskich XIX i XX wieku. Badeni zastrzegł jednak, że do jego śmierci obrazy te mają pozostać w jego mieszkaniach we Lwowie i Radziechowie. W maju 1941 r. władze sowieckie część z nich zabrały do Galerii we Lwowie, część w lutym 1944 r. Juliusz Ross również przekazał lwowskiej Galerii, a część uległa rozproszeniu; niektóre są obecnie eksponowane w Lwowskiej Galerii Sztuki (m.in. *Opowieść górala* W. Szymanowskiego, *Wywłaszczenie* K. Żelechowskiego czy *Konie na pastwisku* T. Ajdukiewicza).

We wspomnianych materiałach po Juliuszu Rossie znajduje się też pismo z 1939 r. podpisane przez dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie, prof. Feliksa Koperę, potwierdzające przyjęcie obrazów, rzeźb i mebli, przekazanych przez Badeniego prawdopodobnie z jego krakowskiego pałacu.

Po wkroczeniu do Polski armii sowieckiej Badeni udał się do Lwowa, a wkrótce do Krakowa; mieszkał tam samotnie w dwóch pokojach swego dawnego pałacu, i chociaż Naukowy Instytut Katolicki pro-

ponował mu cofnięcie darowizny, nie zgodził się na to. Żył skromnie ze sprzedaży mebli, których miał trochę w tych pokojach, starych zegarów itp. Latem lubił jeździć do swej dalszej rodziny, do generała Stanisława Szeptyckiego do Korczyny k. Krosna. Kiedy w lipcu 1943 przyjechał tam ponownie, był w dobrym nastroju, zwracało jednak uwagę, że bardzo wychudł. Mimo to robił długie spacery do lasu, w kierunku Odrzykonka, odwiedzał też swoje kuzynki w pobliskim Krościenku Wyżnym – Marię i Helenę Potocką z Badenich (siostrzenice Marii Orpiszewskiej, odnotowanej na wspomnianej nagrobnej tablicy). Podczas tego pobytu w Korczynie nagle zachorował i po paru dniach zmarł. Kuzynki zaproponowały, by go pochować w ich grobowcu rodzinnym; tak też zrobiono. Czy na grobowcu umieszczono wtedy poświęconą Badeniemu tablicę – nie wiem.

W roku 1996, z inicjatywy autora niniejszego wspomnienia – po uzgodnieniu z zamieszkałym wówczas w Anglii bratankiem Stanisława Henryka, Janem Badenim (patrz CL 3–4/95) i na jego koszt – wykonana została marmurowa tablica i umieszczona na cokole krzyża grobowca Orpiszewskich i Potockich; zredagowana przeze mnie inskrypcja ma brzmienie następujące:

Ś†P doktor praw  
Stanisław Henryk hr. Badeni  
Dr honoris causa UJK we Lwowie  
1.1.1877–28.7.1943  
Właściciel dóbr RADZIECHÓW  
w woj. tarnopolskim  
Działacz społeczny, ofiarodawca dzieł sztuki  
i księgozbiorów

W inskrypcji starałem się zawrzeć możliwie dużo informacji o zmarłym – z myślą, by społeczność lokalna orientowała się, kto w tym grobie spoczywa. Z tą myślą przesałem do tygodnika regionalnego „Nowe Podkarpacie” w Krośnie artykuł o zasługach Stanisława Henryka Badeniego dla kultury polskiej. Ponieważ artykułu nie wydrukowano, sprawą tą zainteresowałem lokalne władze. Wójt Krościenka Wyżnego zapewnił: – *Otoczymy szczególną troską miejsce spoczynku Stanisława Henryka Badeniego, przypominając naszym dzieciom o jego życiu i zasługach dla Polski.*

TADEUSZ KUKIZ, ur. 1932 w Dębownicy k. Łopatyna (woj. tarnopolskie). W 1940 wraz z rodziną deportowany do Kazachstanu (ojciec zamordowany przez NKWD w 1941 we Lwowie). Szkołę średnią ukończył w Prudniku, studia lekarskie odbywał w Ołomuńcu, Zabrze, Lublinie i Warszawie. Pracował w Państw. Zakładzie Higieny w Warszawie oraz w szpitalach w Paczkowie i Niemodlinie (Opolskie); przez prawie 30 lat był ordynatorem interny i kierował Kołem Pol. Tow. Lekarskiego, od 1997

na emeryturze. Był współzałożycielem Związku Sybiraków i Izby Lekarskiej w Opolu oraz od początku uczestniczył w pracach tamtejszego oddziału Tow. Miłośników Lwowa i Kresów Płd.Wsch. Opublikował kilkanaście artykułów w prasie lekarskiej, a także ponad 150 w pismach kresowych i kościelnych; głównie nt. obrazów Maryjnych z Małopolski Wschodniej i Wołynia (wydał na ten temat kilka książek) oraz dziejów, ludzi i zabytków Ziemi Radziechowskiej.

---

# WIKTOR BAWOROWSKI

## I JEGO BIBLIOTEKA

Józef Szocki



Wiktor Baworowski urodził się w Kołtowie koło Brodów, jako syn Józefa, żołnierza napoleońskiego, który służył razem z Aleksandrem Fredrą, walczył nad Berezyną i był odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*, oraz Felicji ze Starzeńskich.

W 1847 r. zbliżył się do poety Jana Nepomucena Kamińskiego i pod jego kierunkiem zapoznał się z językiem i stylistyką polską (do tej pory był kształcony w języku niemieckim). W r. 1848, po ukończeniu studiów uniwersyteckich, pracował w Namiestnictwie we Lwowie.

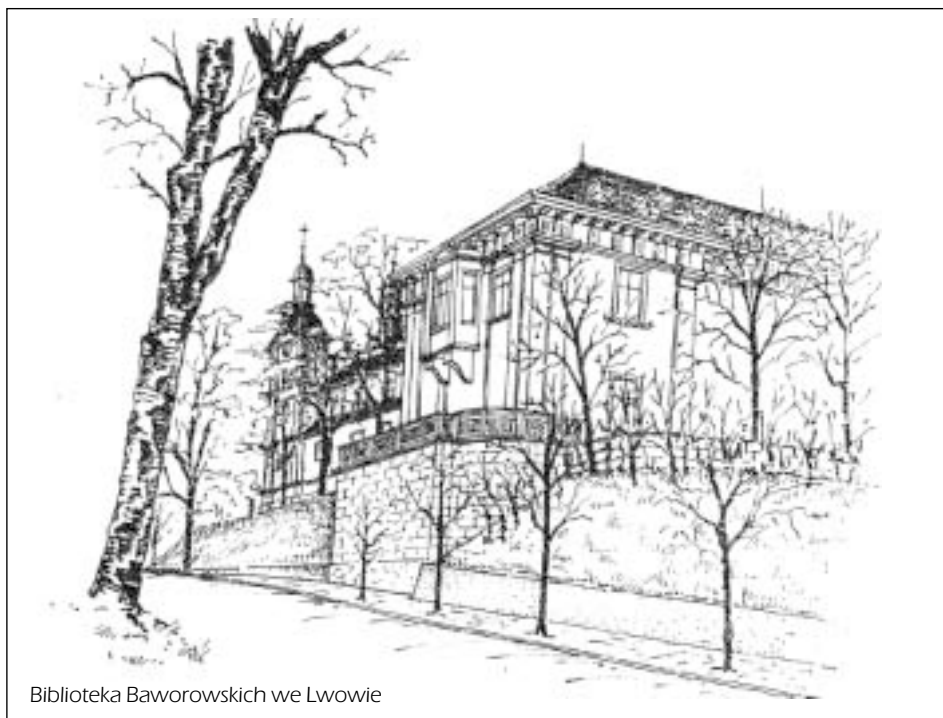
W tym okresie rozpoczął swą samodzielną twórczość literacką. Pisał treny i bajki wzorowane na Krasickim. Tłumaczył na język polski utwory Racine'a, Goethego, Schillera i Burgera. Przetłumaczył epopeję romantyczną Wielanda „Oberon”, którą wydał we Lwowie w 1853 r.

Mając około trzydziestu lat zaczął gromadzić zbiory – najpierw w Myszkowicach pod Tarnopolem, potem we Lwowie. Po objęciu schedy po ojcu, z pasją zabrał się do kolekcjonowania zabytków piśmiennictwa i sztuki polskiej. W liście do księdza przeora Sadoka Barączka podkreślał: – *Zamierzam utworzyć zakład naukowy i narodowy na wzór Z. Ossolińskich, w potężeniu z ordynacją familijną*. Gmach na rogu ulicy Lipowej (później Ujejskiego) i Sykstuskiej we Lwowie, odziedziczony po ojcu w 1854 r., stał się siedzibą zbiorów,

przeniesionych z Myszkowic i miejscem nabywanych stale zabytków.

W okresie 1855–60 Baworowski zakupił wiele książek i innych dokumentów. Od Ambrożego Grabowskiego – historyka, księgarza i antykwariusza, nabył 300 rękopisów, w tym *cracoviensia* z XV–XVIII w., stanowiące źródło do dziejów Polski w zakresie prawodawstwa. Również od Kazimierza Stronczyńskiego – archeologa, numizmatyka, przyrodnika – otrzymał 130 rękopisów, w tym z XII wieku: *Vita Gregorii Papae* i *Vita Caroli Magnis*, bible z XIII i XIV wieku, z XV w. niemiecką *Kronikę Hagena*, rękopis *Kroniki Kadłubka*, dzieła Długosza, Wapowskiego, cenne rękopisy dotyczące historii prawa w dawnej Polsce, ogłoszone przez Antoniego Helcia i Bolesława Ulanowskiego.

W 1855 r. kupił zbiory z biblioteki Aleksandra i Kazimierza Stadnickich ze Żmigrodu. Były to dzieła przeważnie historyczne i filozoficzne z końca XVIII i pocz. XIX w. (*slavica*, cenne *polonica* i rękopisy). Ponieważ w ich składzie znajdowały się zbiory (druki i rękopisy) Ewarysta i Józefa Kuropatnickich, stąd stały się one też własnością Baworowskiego. Dotyczyły konfederacji barskiej i Targowicy. Zdobył także 60 rękopisów Alojzego Osińskiego – członka Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, profesora Liceum Krzemienieckiego i rektora Akademii Duchownej w Wilnie. Znajdowały się wśród nich prace o P. Skardze, T. Czackim, słowniki *Autorowie polscy*



Biblioteka Baworowskich we Lwowie

i *Bogactwa mowy polskiej* w 14 tomach, listy Śniadeckiego, Kołłątaja i in.

Dionizy Zubrzycki – historyk, archiwista, kierownik drukarni Instytutu Stauropeigalnego, kronikarz miasta Lwowa – przekazał w 1858 r. swoją bibliotekę Baworowskiemu. Zawierała ona ok. 500 książek i broszur, dotyczących historii Rusi i literatury słowiańskiej., rękopisy, między innymi dokumenty z XII wieku, diariusze, zbiory kazań i ewangelie z XV–XVI w., a także *Kronikę Bractwa Stauropeigalnego* autorstwa darczyńcy.

Sporo rękopisów i druków (m.in. przekłady Piotra Kochanowskiego *Jerozolima wyzwolona* i *Orland szalony*) Baworowski nabył od Leona Dembowskiego z Klimuntowic. Trafiły do jego zbiorów prace sanskrytologa Walentego Skorochód Majewskiego, Adolfa Łączyńskiego (literatura francuska).

Szczególnie różnorodne dokumenty biblioteczne trafiły do rąk Baworowskiego w 1852 r. od Aleksandra Batowskiego: kilka tysięcy druków, kolekcja czasopism emigracyjnych, ponad 100 rękopisów, wiele rycin dotyczących historii Polski, *polonica*

z XVI i XVII w. z zakresu historii teologii, prawa polskiego i dawnej literatury polskiej. Doszły do tego jeszcze takie nabytki od Batowskiego, jak sporządzony przez niego kartkowy katalog rękopisów Biblioteki Zakładu Ossolińskich z wypisem treści i objaśnieniami, ponadto exlibrisy, bilety wizytowe, etykiety kupieckie, medaliki religijne, obrazki święte i in., a także znajdująca się wśród tych zbiorów kolekcja Konstantego Macewicza: portrety królów, wodzów, wybitnych Polaków.

W latach pięćdziesiątych Baworowski utworzył bibliotekę, której księgozbiór stale rósł właśnie dzięki tej pasji. Testamentem z 17 maja 1881 r. przekazał ją wraz ze zbiorami i 8 tysiącami mórg ziemi na własność kraju Galicji i Lodomerii, celem utworzenia fundacji.

Po 1890 roku zaczął szwankować na wzroku i groziła mu całkowita ślepota. Fakt ten był najważniejszą przyczyną samobójczej jego śmierci 3 XII 1894 r.

W okresie do 1894 r. księgozbiór Baworowskiego urosł do 15 571 tomów druków, 1800 rękopisów, 110 dyplomów i 10 tys. rycin. Jego profil był humanistyczny,

gdyż przeważały dzieła z zakresu historii Polski, prawoznawstwa, religii, literatury pięknej – polskiej i słowiańskiej. Henryk Szmitt, zatrudniony przez Baworowskiego jako bibliotekarz przy zbiorach, podzielił je na następujące działy (nazwane *oddziałami*): 1. dziejowy, 2. filologiczny, 2a. literatury, 3. nauk ścisłych, 3a. teologiczny, 4. rękopisów, 5. rycin, grafiki, 6. obcy.

Jeżeli chodzi o pierwszy dział, zwany tu *oddziałem dziejowym* – zawierał całość kronik i historiografii od Galla do Naruszewicza, dużą kolekcję herbarzy, sporo kazań i mów pogrzebowych, w tym słynną mowę Warszawickiego na pogrzebie króla Stefana Batorego.

Dział filologiczny zawierał wiele pozycji dotyczących gramatyki, ponadto prace lekssykologiczne.

Literatura była w księgozbiorze Baworowskiego licznie reprezentowana. Znajdowały się w nim: egzemplarze pierwszego wydania *Zwierzynca* M. Reja, pierwsze wydania utworów poetyckich J. Kochanowskiego. Do ciekawych zabytków należały: prawie kompletny zbiór utworów poetyckich Samuela Twardowskiego i dzieła pisarzy XVIII i XIX wieku.

Na całość oddziału nauk ścisłych księgozbioru Baworowskiego składały się liczne zielniki, egzemplarz pierwszego wydania *De revolutionibus orbium coelestium* M. Kopernika, inwentarze praw koronnych, konstytucji, diariuszy sejmowych i in.

Obszerny był dział teologiczny. Stanowiły go: zbiory kazań i postyli Wujka, Białobrzeskiego, Wereszczyńskiego, Grodzickiego, Skargi, wiele katechizmów, modlitewników, pisma Skargi.

Bogaty był też dział rękopisów. Były to manuskrypty głównie historyczne i prawnicze w językach polskim, niemieckim i łacińskim.

Do najcenniejszych należały: tysiącstronicowa *Kronika pisana polska albo dzieje korony polskiej z XVII wieku*, *Dziejów polskich od śmierci Władysława IV aż do pokoju oliwskiego xiąg dziewięć* itd.

Dział grafiki i rycin był bardzo cenny ze względu na swą zawartość. Znajdowały się w nim sztychy, w tym niezwykle rzadkie Kilianów, sławnej śląskiej rodziny sztycharskiej XVI–XVIII w., wizerunki licznych postaci, sceny historyczne, portrety głównie kró-

łów polskich, także wodzów, mężów stanu, sceny bitew itp.

Dział obcy zawierał komplety wszystkich najwybitniejszych dzieł pisarzy zagranicznych. Z tego można sądzić, że Baworowski wprost rozkoszował się arcydziełami literatury światowej. W tym dziale znajdowały się liczne encyklopedie i słowniki, pisane w obcych językach.

W początkach okresu 1894–1939 Wydział Krajowy (rząd Galicji autonomicznej) przejął kierownictwo nad księgozbiorem Baworowskiego. W 1897 r. powstała instytucja pn. „Biblioteka Fundacji Wiktora hr. Baworowskiego we Lwowie”. Po odzyskaniu niepodległości administrację nad nią przejął Tymczasowy Wydział Samorządowy.

Księgozbiór placówki stale się powiększał. I tak, jeżeli w 1905 r. było 18 000 druków, to w 1922 już 30 000, 1940 – 40 000. Gdy chodzi o rękopisy, to w 1905 r. było ich 1000, zaś w 1936 – 1642. Liczba rycin prawie się podwoiła (1905 r. – 6 284, 1936 – 11 000), inkunabułów było 45. Gromadzono ponadto dyplomy, obrazy i inne dokumenty.

Zbiory zostały w tym okresie powiększone darami profesora Maksymiliana Kawczyńskiego. Zakupiono od niego kolekcję hr. Zygmunta Czarneckiego z Ruska (6435 dzieł w 7218 tomach). Towarzystwo Naukowe we Lwowie ofiarowało swoje publikacje, Wydział Samorządowy – bogatą kolekcję 50 afiszy Teatru Miejskiego we Lwowie z lat 1845–1908.

W 1936 r. biblioteka posiadała galerię z 302 obrazami, ponadto mapy, nuty, medale, archiwalia (w 1934 r. aż 3600). Była to więc instytucja typu biblioteka-muzeum.

Początkowo tylko nieliczni mogli korzystać z księgozbioru Baworowskiego. Do nich należeli, August Bielowski – historyk, literat, dyrektor ZN im. Ossolińskich, Aleksander Brückner – sławista, historyk kultury, języka i literatury, Wojciech Kętrzyński – historyk, etnograf, wydawca źródeł, Józef Szujski – historyk, polityk, współtwórca krakowskiej szkoły historycznej, Franciszek Ksawery Piekosiński – historyk, wydawca źródeł, Henryk von Zeissberg – historyk. Wielu czyniło starania o zgodę na bycie czytelnikami biblioteki.

---

**dokończenie na str. 74**

Andrzej Miłaszewski

# PAMIĘTAM TAMTEN PAŁAC

Mieszkańcy Lwowa – obecni i ci, którzy tam wracają na chwilę – bywają w klasycznym pałacu z kolumnadą przy ulicy Kopernika 42. Tam bowiem na I piętrze mieści się od kilkudziesięciu lat Polski Teatr Ludowy. Jego widownia i scenka – ściślej estrada – to dwa średniej wielkości pokoje, między którymi wyburzono ścianę. Pozostałe pomieszczenie – dawne salony i pokoje mieszkalne to dziś pokoje biurowe i sale recepcyjne (?) *Domu Nauczyciela*, tu akurat osadzonego. Wnętrza nie wykazują już śladów pałacowego wystroju i urządzenia, a jeżeli – to w typie radzieckich domów kultury.

A był to jeszcze przed 60 laty pałac całą gębą. Nie dorównywał może starym rezydencjom magnackim, bo w tym dopiero wieku został zbudowany (czy raczej przebudowany i powiększony), był jednak prawdziwie *pańską* siedzibą, z dziełami sztuki i myśliwskimi trofeami.

Była to miejska siedziba hrabiów Bielskich (herbu *Jelita*, pisali się: z *Olbrachcic*

*Bielscy*). Rodzina majątna, o starym rodowodzie szlacheckim, lecz nie magnackim. W kręgi arystokracji „galicyjskiej” weszła, zyskując austriacki tytuł hrabiowski, do czego przyczyniło się zapewne bogactwo i koneksje rodzinne, z pokoleniami coraz wyższe. Matka ostatniego hrabiego była z domu Dzieduszycka (w której z rodzin arystokracji czy wyższego ziemiaństwa w Małopolsce Wschodniej nie było krwi *dzieduszyckiej?*), a żona – księżniczka Jabłonowska z Bursztyna. Córka była za hr. Krasickim z Leska (ale w majątku Stratyn k. Brzeżan), synowie ożenieni z hr. Baworowską i ks. Sapieżanką.

Rodzina Bielskich była związana ze Lwowem od dawna. W połowie XVIII w. łowczy nadworny koronny Antoni Bielski zakupił dla siebie pałacyk przy pl. Halickim, powierzając jego przebudowę znakomitemu architektowi doby stanisławowskiej Pierre Ricaud de Tirgaille. Pałacyk ten przeszedł potem w inne ręce, ale stoi do dziś.

Kiedy Bielscy weszli w posiadanie obiektu przy Kopernika – nie wiem. Przed 1923 rokiem wyglądał on inaczej – nie miał ko-

Hr. Juliusz Bielski wśród lwowskich myśliwych (?)





lumnady. Dodał ją, przebudowując pałac na zlecenie Bielskich, prof. architekt Jan Bagieński.

Pałac na Kopernika i ludzie z nim związani byli mi znani od dziecka. Skąd? Historia to przedpotopowa. Oto moja Babcia wychowywała się w Bursztynie u swoich dziadków, w cieniu tamtejszej siedziby Jabłonowskich. Dziadek i pradziadek mojej Babci (przełom XVIII/XIX w.), sami zubożali szlachcice, byli kolejno zarządcami dóbr bursztyńskich. Babcia od swego dzieciństwa aż do późnej starości była w bliskiej przyjaźni z księżniczką Eleonorą (Lunią), późniejszą hr. Bielską. Stąd moje wizyty w ostatnich latach trzydziestych w lwowskim pałacu, bieganie po salonach z jej wnukami (moimi rówieśnikami, Jerzym i Andrzejem Krasickimi).

Dobrze pamiętam wnętrza pałacu. Na wprost głównego wejścia we wnęce na stoliku stała srebrna waza, wypełniona biletami wizytowymi gości (byłem zbyt mały, by docenić dobór nazwisk). Na lewo otwierał się widok na hol ze schodami, wznoszącymi się na I piętro. Nad nimi wisiała ogromna skóra niedźwiedzia ze szczyrzącą zębów głową w dół, a wokół niej dziesiątki wspaniałych poroży. Po lewej stronie wejścia był ciąg pokoi, a w jednym z nich dożywała swych dni staruszka, p. Hermanowska, dawna nauczycielka dzieci pp. Bielskich.

Na I p. było kilka salonów – można było biegać wokoło, włączając w to podest klatki schodowej (sprawdziłem to po kilkudziesięciu latach). W pokojach było mnóstwo ciężkich mebli, dywanów i obrazów, ale nie potrafiłem ich wtedy ocenić, nie interesowały mnie. Tylnych pokoi, gdzie dziś występuje Teatr Polski, nie pamiętam, nie wiem, co w nich było. W tym rejonie zapamiętałem jedynie przejście w lewo do kredensu (na pewno połączonym z kuchnią, która mieściła się w lewej przybudówce do głównego korpusu pałacu). Kredens ów zapamiętałem dobrze, bo stała tam cała bateria klatek z papużkami, które pięknie świergotały.

Schody na II p. były położone z boku tamtych, paradnych schodów. Wyszedłszy na to piętro, miało się przed sobą korytarz, zamknięty na końcu drzwiami do małego saloniku. Po prawej stronie tego pokoju mieściła się sypialnia pana Bielskiego (ni-



Hr. E. Bielska (zdjęcie z lat 20.).  
Foto-Tycjan, Drohobycz

gdy tam nie byłem), po lewej – pani. Ten pamiętam dobrze: meble były w nim białe. Na wprost drzwi szerokie łóże z czterema pinaklami na narożnikach. Po lewej stały szafy, jedna z lustrem. W pamięci utkwiło mi, że między drugą szafą a ścianą boczną był odstęp, może półmetrowej szerokości. Nie była to zwykła szpara. Kiedyś w trakcie naszej zabawy z małymi Krasickimi starszy narozrabiał, a wtedy z saloniku weszła jego matka i rozkazała: – *Jerzy, proszę do kąta*. Jerzy bez słowa klęknął w tej szparze, lecz nadal zdalnie brał udział w naszej wspólnej zabawie.

We wrześniu 1939 r. do pp. Bielskich przybywali uciekinierzy z zachodniej Polski. Jednymi z nich byli ks. Lubomirscy z Kruszyny. Ich dwaj synowie byli też moimi rówieśnikami, a ponieważ swoje zabawki zostawili w domu, przychodzili do mnie bawić się moimi klockami i ołowianymi żołnierzami, potem je ode mnie wypożyczyli. Przeprowadzał ich lokaj pp. Bielskich – jeszcze w tamtym czasie nie odprawiony.

Państwo Bielscy mieli ogromny samochód – takie dziś widzimy na pokazach starych aut. Pani Lunia przyjeżdżała nim czasem do Babci – wtedy szofer w liberii



Nekrolog hr. J. Bielskiego

czekał w samochodzie pod domem. Innym razem przysyłała go po Babcie, i ja też czasem nim jeździłem na Kopernika.

Ale tak bywało tylko w paru ostatnich latach przed wojną. Wcześniejsze lata pani Bielska spędzała przeważnie za granicą – jej ulubionym miejscem pobytu był Budapeszt, miała tam koneksje wśród węgierskiej arystokracji. Bywała często w Szmek-sie, czyli w dzisiejszym Smokowcu, który do I wojny należał do Węgier, a po niej – choć na terenie Czechosłowacji (dziś Słowacji) – tradycyjnie uważany był za węgierski. Okresy letnie spędzała p. Bielska w Rychcicach k. Drohobycza. Był tam piękny pałac (też z kolumnowym portykiem), zbudowany przez sławnego architekta króla Stasia – Jana Chrystiana Kamsetzera. Byłem tam raz z Babcia, ale niewiele pamiętam. Dziś po tej siedzibie nie ma śladu.

Pan Bielski należał do czołówek myśliwych polskich, brał udział w ekskluzywnych polowaniach (np. w Nieświeżu u Radziwiłłów), co podobno zabierało mu dużo czasu

w ciągu roku. Świadczyły o tym liczne trofea w lwowskim pałacu i w Rychcicach.

Po wejściu Sowietów do Lwowa w pałacu Bielskich urządzono *Dom Literatów*. Bielskich na razie pozostawiono na II piętrze, a salony na I p. stały się miejscem spotkań pozał się Boże pisarzy *zachodniej Ukrainy*. Niestety bywali tam też Polacy – uciekinierzy z zachodniej Polski: Polewka, Wat, Boy-Żeleński i dość sporo innych, którzy całkiem dobrze czuli się w sowieckim systemie. Potem Wata wywieźli (ale mu to pomogło, bo oprzytomniał), Polewka *repatriował się* do ojczyznej GG (komunizm miał *na wynos*, nie dla siebie), Boy uchwował się aż do przyjsia Niemców w 1941 r. (i zginął na Wulce).

Wat w swoich wspomnieniach przytacza wydarzenie, które my pamiętamy z opowiadania samej p. Bielskiej: jeden z sowieckich literatów, przybysz z Rosji, poprosił, by go zaprowadzić do pana Bielskiego, bo po raz pierwszy w życiu chciałby zobaczyć prawdziwego *grafa*.

W pamiętną noc 13/14 kwietnia 1940 roku państwo Bielscy zostali wywiezieni do Kazachstanu. Wywiezienia cudem uniknęli Lubomirscy. Jak się w wiele lat później dowiedziałem, zrządził los: księstwo, jak zwykle, zostawili przed drzwiami swego pokoju buty do wyczyszczenia przez służbę. W nocy, gdy przyszli enkawudziści po Bielskich, lokaj kopnął je pod szafę – nie było więc śladu, który zwróciłby uwagę *sołdatów*.

Pan Bielski zmarł w semipałatyńskiej oblasti, mimo iż – jak złośliwie opisuje w *Moim wieku* Aleksander Wat – wiodło się im tam lepiej niż innym deportowanym (pozwolono im dużo zabrać z domu). Pani wróciła w 1947 r. – do Krakowa. Do śmierci w r. 1977 (spoczęła na Rakowicach) mieszkała przy ul. Warszawskiej 4. W ostatnich latach była chora i osamotniona: najstarszy syn Adam z żoną i córką osiadł w Belgii, drugi – Roman – w Afryce (i tam oboje z żoną zostali zamordowani przez Murzynów), córka zamieszkała w Gdańsku. Wnukowie Krasicczy zaraz po wojnie ściągnięci przez ojca za granicę – osiedli w Afryce Płd. i Australii.

Przemięło z wiatrem.

**PS** W wydanej świeżo książce Zbigniewa Frasa pt. *Galicja* (którą omówimy w jednym

z najbliższych numerów) całe dwie strony poświęcono tytułowi hrabiowskiemu Bielskich. Okazuje się, że został on udzielony przez ces. Marię Teresę Antoniemu Bielskiemu z końcem XVIII w., ale przypadł, bo ten nie miał męskiego potomka. Jednak jego córka wyszła za Bielskiego z innej linii, a ich potomek, opisywany wyżej Juliusz Bielski, ponownie wystąpił o tytuł, i otrzymał go w r. 1895. Warto przytoczyć treść odnośnego dokumentu (zachowano oryginalną pisownię):

*Do Jaśnie Wielmożnego Juliusza Bielskiego właściciela dóbr w Rychcicach*

*Jego cesarska i królewska Apostolska Mość raczył Najwyższem postanowieniem z dnia 2 lipca b.r. ze szczególnej Najwyższej łaski wynieść najmiłościwiej Jaśnie Wielmożnego Pana do austriackiego stanu hrabiowskiego za opłatą czwartej części taksy przypadającej od tego stopnia szlachectwa.*

*Wskutek reskryptu Jego Ekscelencyi Pana Ministra spraw wewnętrznych z dnia 13 lipca b.r. l. 378/a mam zaszczyt zawiadomić Jaśnie Wielmożnego Pana o tym Najwyższym akcie łaski zwracając załączniki prośby do Tronu.*

*Zarazem pozwalam sobie oznajmić, że w przeciągu roku od otrzymania niniejszego zawiadomienia należy złożyć we wiedeńskim centralnym urzędzie taks i należyłości czwartą część przepisanej taksy w kwocie 6300 złr t.j. kwotę 1575 złr w.a., gdyż w razie przeciwnym udzielony Jaśnie Wielmożnemu Panu najłaskawiej tytuł utraciłby ważność.*

*W celu przepisowego sporządzenia dyplomu hrabiowskiego zechce JWPań, wykazawszy się kwitem na złożoną takse, przedłożyć kolorowany i według prawideł heraldycznych sporządzony projekt herbu hrabiowskiego wraz z opisem w Dyrekcyi protokołu podawczego wysokiego c.k. Ministerstwa spraw wewn., uiścić tam należytość za sporządzenie dyplomu w kwocie 275 złr i wymienić swe tytuły i godności.*

*Po sporządzeniu dyplomu urzędowa „Wiener Zeitung” ogłosi wyniesienie JWPańna do stanu hrabiowskiego.*

*Lwów dnia 21 lipca 1895.  
Ck Namiestnik (–) Badeni*

## Lwowski ród (2)

# OTTO HAUSNER

**Wojciech Hausner**

W roku 1827 w spolonizowanej już rodzinie Karola (?) Hausnera w Brodach urodził się syn Otto. Szkołę średnią ukończył we Lwowie, a następnie studiował medycynę w Wiedniu (1844–47) i Berlinie (1848). Jako członek Legii Akademickiej wziął udział w berlińskich wypadkach marcowych<sup>1</sup>. W październiku 1848 roku w czasie walk na moście Tabor w Wiedniu został lekko ranny. Po rewolucji ukończył agronomię na akademii w Hohenheim. Mimo tej burzliwej młodości szybko się ustatkował. W r. 1850 ożenił się z Aleksandrą Kownacką, spokrewnioną z rodziną Borkowskich. Osiadł na wsi – początkowo w Rytarowicach w Samborskiem, potem w Lwowskiem – zajmując się gospodarką. Pomocne mu w tym były zapewne studia agronomiczne<sup>2</sup>.

Był duchem niespokojnym. Po sprzedaniu majątku zajął się studiami nad statystyką, ekonomią i historią sztuki. Rodzinną firmę pradžiadka i dziadka objął brat Alfred. W r. 1864 Otto wydał pisany po niemiecku dwutomowy słownik bitew od początku dziejów ludzkości. Przemierzając w licznych podróżach całą Europę, z dużą radością odwiedzał Włochy, wydając nawet w języku francuskim książkę o włoskim malarstwie i architekturze<sup>3</sup>. Wędrowki Ottona przypadły akurat w okresie zrywu powstania styczniowego. We wspomnieniach dr. Jana Stelli-Sawickiego fakt ten posłużył za przykład negatywnej postawy części społeczeństwa galicyjskiego wobec powstania 1863 roku. Pisał on, że *drudzy, oddawszy majątki swe Żydom warendę (Hausner), powynosili się do różnych krajów niemieckich na czas trwania ruchu narodowego*<sup>4</sup>.

W roku 1870 Otto Hausner rozpoczął karierę polityczną. Z grupy większej własności wybrano go do Rady Powiatowej we Lwowie. Wkrótce został także delegatem Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, członkiem Rady Za-



wiadawczej Kolei Karola Ludwika i członkiem Komitetu Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarczego. Drogę torowały mu cechy osobiste oraz zapewne związki z ziemiańskimi rodzinami Mierów i Borkowskich<sup>5</sup>.

W 1873 r., według nowej ordynacji wyborczej, odbyły się w systemie kurialnym wybory do wiedeńskiej Izby Poselskiej. 49 posłów w Kole Polskim podzieliło się na trzy ugrupowania: „podolaków”, „konserwatystów” i ugrupowanie liberalno-demokratyczne. W tym ostatnim znaleźli się m.in. F. Smolka, L. Skrzyński, L. Wolski i – od lutego 1878, od przejścia mandatu w okręgu 9. Sambor-Stare Miasto-Turka-Drohobycz-Rudki – Otto Hausner<sup>6</sup>. Wcześniej znalazł się w sejmie krajowym jako delegat Izby Przemysłowo-Handlowej w Brodach. Był tam członkiem wielu komisji, zwłaszcza zajmujących się zagadnieniami gospodarczymi. W latach 1874–78 był zastępcą członka Wydziału Krajowego. Poczuwając się do reprezentowania interesów mieszczan, zabiegał o powiększenie liczby miejskich posłów i zmianę ordynacji wyborczej dla izb handlowych.

Konserwatywna większość Koła Polskiego we Wiedniu udzielała rządowi poparcia w sprawie okupacji Bośni. Prezes Koła, K. Grochołski, nie dopuszczał członków mniejszości do samodzielnych wystąpień podczas debat parlamentarnych, w tym także w sprawach polskich. Przeciw

temu wystąpił Hausner, niestety na wiosnę 1878 r. został odrzucony jego wniosek o zmianę regulaminu Koła. Sześciokrotnie domagał się prawa przemawiania w Izbie. W takiej sytuacji wraz z dwoma kolegami wystąpił z Koła, a w parę miesięcy później, biorąc udział w debacie nad sprawą okupacji Bośni-Hercegowiny, nazwał zbór tych prowincji słowiańskich grabieżą i potępił politykę rządu. Jego *Książęca Wysokość Książę Lichtenstein przedstawił nam w związku z no-*

*wo pozyskanymi prowincjami – Bośnią i Hercegowiną – szereg kwestii; zapytywał nas, czy ta zdobycz przypadła nam ze względu na położenie geograficzne, na nasze obyczaje i na poniesione przez nas koszty; nie mówił natomiast tylko o prawnym aspekcie zagadnienia. Jeśliby miał mówić o prawnym aspekcie, odpowiedziałbym mu na to, że zdobycz bez tytułu prawnego, bez działań wojennych i bez prowokacji zrealizowana, stanowi ciężkie bezprawie, stanowi rabunek kraju (...), który ja, zarówno jako człowiek, jak i austriacki obywatel, muszę napiętnować, ale także jako Polak potępić (...) ponieważ w taki sam sposób, bez prawnego tytułu, bez przypadku wojny i bez prowokacji podzielono i zniszczono moją ojczyznę (...). Moim zdaniem Polak nie może przyłożyć ręki do podobnego wydarzenia.*

Powiedział to człowiek, którego rodzina dwa pokolenia wcześniej przybyła z terenu Moraw. Wystąpienie to przysporzyło mu popularności w Wiedniu i Lwowie. Kornel Ujejski powiedział: – *Niech będą błogosławione usta, które wypowiedziały te słowa.* Otto Hausner został honorowym obywatelem Lwowa i kilku innych miast. Kiedy w listopadzie przybył do Lwowa, powitały go manifestacje mieszczan, a policja starała się z młodzieżą akademicką. Oczywiście entuzjazm nie był powszechny. Przeciwno wystąpieniu Hausnera w parlamencie wiedeńskim protestował dr Julian Czer-

kawski, negatywnie oceniając pomysł nadania Hausnerowi honorowego obywatelstwa Lwowa. Z kolei „Czas” pisał o nim: *parlamentarny dezertier, agent turecki, galicyjski targowiczanie*. „Podolak”, Dawid Abrahamowicz, w liście otwartym stwierdził, że O. Hausner zaszkodził interesom Polski<sup>7</sup>.

Przed wyborami 1879 roku okazało się, że „secesjoniści” nie mogą liczyć na poważniejsze poparcie wśród szlachty. W tej sytuacji, w czerwcu, Hausner oświadczył, że po wyborach wstąpi ponownie do Koła Polskiego. Wybrany posłem z Sambora, Drohobycza i Stryja stał się jednym z filarów Koła.

Wobec zbliżającego się 50-lecia powstania listopadowego, we Lwowie zawiązano komitet w składzie: A. Młocki, hr. L. Dunin-Borkowski, F. Smolka, O. Hausner, T. Romanowicz i J. Horoszkiewicz. Uroczystości 29 listopada 1880 r. rozpoczęły się nabożeństwem w kościele oo. Dominikanów, celebrowanym przez opata z Żółkwi, oficera artylerii w wojnie 1831 roku, ks. Nowakowskiego. Obok około stu uczestników powstania obecni byli członkowie Rady Miejskiej, ubrani w kontusze i żupany, z kabelaami. Tłum ludzi stał na przykościelnym placu i w sąsiednich uliczkach. W sali Kasyna Miejskiego chór zaśpiewał kantatę Niewiadomskiego do słów Kornela Ujejskiego. W imieniu władz miejskich wystąpił Otto Hausner. Zwrócił uwagę, że gdyby nie powstanie, polski strumyczek rozplynąłby się w rosyjskiej rzece. Rosjanie w dniu 1 września szumnie obchodzili rocznicę zdławienia powstania na tym tle Hausner skrytykował poglądy stańczyków<sup>8</sup>.

Na początku lat 80. współpracował Hausner z Tadeuszem Romanowiczem i „Nową Reformą”, której dostarczał wiadomości z Rady Państwa. W r. 1885 ponownie został posłem z okręgu 7. Sambor-Stryj-Drohobycz. W 1886 r. postawie demokratyczni utworzyli umiarkowany klub lewicy sejmowej. Na jego czele stanął Euzebiusz Czerkawski, uznawany przez Hausnera za konserwatystę. W r. 1889, wobec niewybrania Czerkawskiego, przewodnictwo 21-osobowego klubu lewicy objął Otto Hausner (ale sytuację skomplikowała śmierć Hausnera). Z klubu lewicy pod koniec lat 90. wyrósł Polski Klub De-

mokratyczny. Relacje z wydarzeń znajdujemy w korespondencjach Hausnera do petersburskiego „Kraju”<sup>9</sup>.

W marcu 1889 Otto Hausner przemawiając w wiedeńskiej Radzie Państwa odniósł się do problemu miejsca Polaków w monarchii austro-węgierskiej, opisując sytuację Włochów w Szwajcarii, gdzie *pozostali wiernymi obywatelami związku szwajcarskiego. A dlaczego? Ponieważ ich narodowe postulaty w związku tym są całkowicie zaspokojone, tak samo jak we Włoszech*. Podstawą takiego myślenia był patriotyzm demokratów, rozumiany jako kontynuacja romantycznego patriotyzmu, zasadzającego się na dwóch elementach: godzeniu walki o wolność narodową i indywidualną, oraz w dążeniu do odbudowy przedrozbiorowej Rzeczypospolitej w zmienionym kształcie.

Z takiego poglądu wynikała teza, że dla uniknięcia konfliktu m.in. z Ukraińcami Polska nie powinna być państwem narodowym, lecz państwem równouprawnionych narodowości<sup>10</sup>.

Otto Hausner zmarł w nocy 26/27 lutego 1890 roku we Lwowie. Pochowany został w Brodach, gdzie pomnik nagrobny na jego mogile wykonał Cyprian Godebski. Pozostawił syna Witolda, znanego prawnika.

<sup>1</sup> Rozruszki związane z Wiosną Ludów w roku 1848.

<sup>2</sup> Adam Galos, *Otto Hausner*, PSB IX/2.

<sup>3</sup> Ibidem.

<sup>4</sup> *Galicja w dobie autonomicznej (1850–1914). Wybór dokumentów*, oprac. Stefan Kieniewicz, Wrocław 1952.

<sup>5</sup> Adam Galos, op.cit.

<sup>6</sup> Józef Buszko, *Polacy w parlamencie wiedeńskim 1848-1918*, Warszawa 1996.

<sup>7</sup> Adam Galos, op.cit.; Józef Buszko, op.cit.; *Mowa Dra Juliana Czerkawskiego przeciwko nadaniu obywatelstwa honorowego p. O. Hausnerowi miana 9 listopada 1878 r. na posiedzeniu Rady M. Lwowa*, Kraków 1878.

<sup>8</sup> Stanisław S. Nicieja, *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*, Wrocław 1988.

<sup>9</sup> Maciej Janowski, *Inteligencja wobec wyzwania nowoczesności. Dylematy ideowe polskiej demokracji w Galicji 1889–1914*, Warszawa 1996.

<sup>10</sup> Ibidem.

# TYZENHAUZOWIE

## Z PRZEMYŚLAŃSKIEGO POWIATU

Nadina Pietruska

Z licealnej (czy gimnazjalnej) nauki historii dobrze pamiętamy postać podskarbiego nadwornego litewskiego Antoniego Tyzenhauza (1733–1785), wybitnego człowieka polskiego Oświecenia, pioniera nowoczesnej ekonomii, opartej na przemyśle. Osoba Tyzenhauza wiąże się nam jednak z północą Rzeczypospolitej, z Inflantami, skąd pochodził ród, oraz Wileńszczyzną i Grodzieńszczyzną, gdzie podskarbi działał. Z wielkim więc zaskoczeniem natknęliśmy się na to nazwisko, czytając od paru lat pismo, wydawane przez p. Józefa Wyspiańskiego w Lubinie „Spotkania Świrzan”, a omawiające dzieje i tradycje powiatu przemysłańskiego. Jeszcze większym zaskoczeniem (i przyjemnością) było poznanie bywającej często w krakowskim Klubie „Zaulek” na spotkaniach ziemian pani Nadiny z Tyzenhauzów Pietruskiej. Pani Nadina, urodzona we Lwowie, przybyła przed ponad półwieczem z rodzicielskiego Kimirza, położonego między Przemyslanami a Świrzem. Jej też zawdzięczamy poniższy tekst.

**Do Kimirza, tak jak do Świrza, można ze Lwowa dotrzeć dwójako: wyjechać przez Winniki, jak na Tarnopol, ale zaraz za Kurowicami odbić w prawo, na południe (jakby na Rohatyn, Brzeżany) i dojechać do Przemysła, a zaraz za miasteczkiem znowu skrócić w prawo, na zachód. Tu już bliżutko: najpierw będą Uszkowice (i obok Czupernosów), a za nimi Kimirz. Kawałek dalej byłby Świrz. Druga droga, chyba krótsza, ale mniej wygodna: ze Lwowa wyjechać ulicą Zieloną, dojechać do Bóbrki. Stąd w lewo, na**

**wschód, dość krętą drogą – do Świrza. I Kimirz tuż-tuż. W czasach, gdy nie było samochodów, wybierano zapewne tę drugą drogę.**

Ale skąd tu Tyzenhauzowie? Najpierw prześledźmy w skrócie dzieje tej rodziny, której niegdyśjsze nazwisko brzmiało *von Tiesenhausen*. Wywodzili się z Niemiec, to jasne, ale w Inflantach byli już w XII wieku.

Doszli tam do znaczenia, dorobili się niemałych majątków i paru zamków (w końcu po to opuścili rodzinny Holsztyn), szeroko się rozrodzili. Swoje groby rodzinne mieli w ryskim Tumie.

W drugiej połowie XVII w. byli już bliżej – jedna gałąź osiedliła się na Litwie. Piastowali tu godności, byli wojewodami i starostami, miecznikami, łowczymi i podkomorzymi, posłowali do Sejmu Rzeczypospolitej. W Wilnie mieli pałac „Żółty” i „Różowy”, dwór w Grodnie. Przez

małżeństwa skoligacili się z polskimi rodami: Tyszkiewiczami, Czetwertyńskimi, Druckimi-Lubeckimi, Sapiehami, Zamoy-skimi. Podskarbi Antoni – XV pokolenie rodu – pochodził z całkiem już spolszczonej, młodszej linii Tyzenhauzów litewskich (starsza linia wygasła), która w 1759 r. otrzymała tytuł hrabiów Św. Cesarstwa Rzymskiego.

Idąc za trendami swojej epoki, Antoni Tyzenhauz za cel postawił sobie uprzemysłowienie Grodna i jego okolic. Traktując rzecz kompleksowo, wystawił nawet w Grodnie cały kompleks domków robotniczych, do dziś istniejących. I choć ambitne przedsięwzięcia nie powiodły się, zakłady upadły z braku fachowej siły roboczej, odległości od źródeł surowców i bra-



Nadina z Tyzenhauzów Pietruska

ku rynków zbytu, to jednak pozostał podskarbi w naszej pamięci jako jeden z pionierów postępu gospodarczego i cywilizacyjnego.

Antoni Tyzenhauz nie odegrał jednak roli w ciągu pokoleń rodziny – zmarł bezdzietnie. Dalsze generacje pochodzą więc z innych gałęzi linii litewskiej. Piotr (też XV pokolenie) osiadł z początkiem XIX w. na Ukrainie, w Winnickiem, jego zaś wnuk Aleksander (XVII pok.) – żeniąc się z Heleną Wybranowską, wnuczką generała napoleońskiego Romana Wybranowskiego, dziedziczką (po Pierzchałach herbu Roch) wspomnianych już Uszkowic – osiadł w przemysłańskim powiecie. Tak więc docieramy niemal do końca 800-letniej historii wędrówki rodu, który z niemieckiego Holsztynu, przez Inflanty oraz litewskie i ukraińskie ziemie Rzeczypospolitej, dotarł na polską ziemię – do Wschodniej Małopolski.

Syn Aleksandra i Heleny Tyzenhauzów, Roman (XVIII pok.), żeniąc się z hr. Marią Ścibor-Marchocką, odkupił od Wybranowskich pobliski Kimirz z XIX-wiecznym dworem. Uprawiał tam ziemię, hodował konie (remonty) i bydło. Został nawet wójtem w Świrzu, oddalonym o 3 km od Kimirza. Najbliższe też stosunki towarzyskie były z zamkiem w Świrzu, gdzie rezydował generał WP Robert Lamezan de Salins i jego zięć Tadeusz Komorowski – późniejszy generał Bór.

Gdy nadszedł czas wojny i weszli Sowieci, ostrzeżono Tyzenhauzów, by nie zostawali w majątku. Ukryli się więc w wiejskim domu w nieodległym Kopaniu, gdzie zamieszkała też matka Bora-Komorowskiego. Tam spędzili całą okupację sowiecką. Dwór w Kimirzu, podobnie jak zamek w Świrzu, zostały w tym czasie całkowicie obrabowane. Gdy przyszli Niemcy, Roman Tyzenhauz odmówił podpisania *volkslisty*, do czego okupanci go namawiali. Pracował w miejscowym zarzą-

dzie upaństwowionych dóbr (*Liegenschaft*), niestety w 1943 r. zmarł. Pogrzeb w Przemyslanach miał tłumny, bo przyjechali chłopcy z Kimirza i innych majątków, którymi ostatnio zarządzał. Ale grób już nie istnieje, tak jak i wiele innych, bo Sowieci po powrotnym *wyzwoleniu* przejechali po przemysłańskim cmentarzu czołgami, żeby ten relikw *pańskiej Polski* doszczętnie zniszczyć.

Żona z córką osiadły w Przemyslanach; Maria Tyzenhauzowa pracowała tam w RGO. Tak dotwały do końca wojny i czasu wysiedlania. Razem z polskimi chłopkami wyjechały stamtąd, by przez Bóbrkę i Chodorów dostać się do *repatriacyjnego* pociągu. Transport dotarł na ziemie zachodnie. Miejsce zamieszkania zmieniły parokrotnie, na dłużej osiadły pod Kłodzkiem. Dostały tam domek i krowę, a utrzymywały się ze sprzedaży mleka, które Nadina dzień w dzień nosiła sześć kilometrów do Kłodzka. Tam też chodziła do szkoły. Potem dalsza rodzina ściągnęła je do Torunia, gdzie Nadina ukończyła szkołę i tam wyszła za mąż – przez małżeństwo ze Stanisławem Pietruskim weszła do innej znanej wschodniomałopolskiej rodziny. Ale to już inna historia.

Z początkiem lat pięćdziesiątych Pietruscy osiedli w Krakowie, pracowali w Polfie (mąż był chemikiem), wychowali dwie córki. Nadina Pietruska jest ostatnią z tyścioletniego rodu Tyzenhauzów. Szkoda.

Dwór w Kimirzu przetrwał wojnę, ale wysadzono go w powietrze w 1956 roku. Też szkoda.



Dwór w Kimirzu. Akwarela Karola Kossaka

# ANEGDOTKI Z WYŻSZYCH SFER

**S**koro niniejszy numer poświęciliśmy wyższym sferom, warto przytoczyć na zakończenie kilka starych anegdot. Czynimy to nie po raz pierwszy: były już anegdoty o profesorach Politechniki Lwowskiej (CL 2/97) i o Żydach wschodniomałopolskich (przez Żyda zresztą zebrane, CL 3/98). Czytelnicy na pewno nie będą mieli nam za złe, jeśli niektóre anegdotki będą nieco frywolne, ale w granicach dobrego smaku oczywiście (czy wszyscy to uznają?). Każdy jednak musi przyznać, że nasze pismo jest szalenie eleganckie, więc takie małe poświęcenie chyba ujdzie nam na sucho.

Opowiada Włodzimierz Wnuk („W kręgu anegdot i wspomnień”, „Tygodnik Powszechny” 14–15 1988):

W czasie balu we Lwowie [jeszcze przed I wojną światową] podszedł do przybyłego z Warszawy Jana Górskiego, który był na balu ze swoją córką, jakiś jego znajomy, lekko już podchmielony. – Moja córka Pia – powiedział Górski, przedstawiając pannę. – Nic się waszmość nie martw, mój syn także pija.

Przypomnijmy, że Pia Górską (1878–?) była malarką i pisarką katolicką.

Kolejne dwa zasłyszane dowcipy są zapewne proveniencji wileńskiej, a nie wschodniomałopolskiej. Nie szkodzi, Wilno też kochamy.

Sędziwy generał (na emeryturze, ale jeszcze w dobrej formie) składa wizytę w domu pewnej hrabiny. W czasie miłej pogawędki gospodyni zapytuje: – Ileż to pan liczy sobie lat, jenerale? – Osiemdziesiąt sześć – odpowiada generał. – No wie pan, nigdy bym panu nie dała... – Ależ ja by i prosić nie śmiał, pani hrabino – zapewnia generał.

Pewna dama podejmuje gościa obiadem. Służba wnosi wazę z pysznymi kołdunami w rosole. Gość zjada ze smakiem swoją porcję, a zachęcany przez gospodynię, nabiera drugą. Potem już z pewnym trudem zjada trzecią i z ulgą stwierdza, że waza jest już pusta. W tej chwili jednak pojawia się na stole nowa pełna waza. Gospodyni energicznie namawia do dalszego jedzenia, ale gdy gość się wzbrania – sama nakłada mu nową porcję kołdunów na talerz. Zrozpaczony gość woła: – Pani dobrodziejko, taż na tym pierwszym ja już siedzę!

Na przyjęciu w jednym z lwowskich salonów wiekowa dama siedzi obok przygłuchego hrabiego Skorupki. W pewnej chwili starszej pani przytrafia się coś bardzo nieestosownego. Niedosłyszająca sąsiad zapytuje: – Co pani powiedziała? – Powiedziała dupka, że kiep pan Skorupka – odpala stara dama.

Do serii podobnych facecji można by dodać liczne anegdoty, związane z popularnym w lwowskim towarzystwie hrabią Wojciechem Dzieduszyckim (1848–1909). Są one jednak – jak się wydaje – ogólnie znane, a nawet nadużywane. Pozwalamy sobie przeto na zakończenie zacytować tylko jedną, chyba mniej pamiętaną:

Pan Tunio, znany abnegat, zaszedł któregoś wieczoru do Kasyna Szlacheckiego w mocno sfatygowanym fraku. Spotkał go tam któryś ze świeżo upieczonych „hrabiów galicyjskich” i podrwiwał sobie z jego podniszczonego garnituru. Dzieduszycki spokojnie odpowiedział: – Nowy hrabia – no – wy frak, stary hrabia – stary frak.

Zauważmy przy okazji, że „nasz”, współczesny Wojciech Dzieduszycki, odziedziczył po rodzonym dziadku (po mieczu) nie tylko imię, ale i jego zdrobnienie.



# Z Jerzym Madeyskim

historykiem sztuki,  
publicystą

rozmawia Barbara Kościk



**O ile mi wiadomo, urodził się Pan we Lwowie. Czy jest to jedyny Pana związek z tym niezwykłym miastem?**

Urodziłem się istotnie we Lwowie, a dokładniej – w prywatnej klinice prof. Dauna „Salus”, w której w latach dwudziestolecia wypadało się urodzić. Jednak natychmiast potem pojechałem do oddalonych zaledwie o 17 km Leśniowiec, majątku rodziny mojej matki. Ze Lwowem kontaktu zatem nie traciłem z tej chociażby przyczyny, że widziałem codziennie samoloty startujące i lądujące na leżącym za naszymi stawami lotnisku na Skniłowie. Poza tym we Lwowie mieszkała moja prababka i dwie babki oraz trudna do ustalenia ilość ciotek, które wolały miasto od wsi, zaczęłam bardzo często do nich jeździłiśmy. Oraz na defilady w dniach 3 maja i 11 listopada, które oglądaliśmy z okien domu prababki przy placu Mariackim 7. Jak na dłoni widać było stamtąd trybunę, stojącą pod pomnikiem Mickiewicza. We Lwowie kwitło też życie towarzyskie wszystkich pokoleń, w tym również parolatków, co może poświadczyć mieszkająca dziś w Krakowie pani Barbara Du-

nin-Fischingerowa, z którą w owym życiu aktywnie uczestniczyliśmy.

Pierwsze więc kontakty ze Lwowem były nadzwyczaj miłe, bowiem do żelaznego repertuaru każdego w nim pobytu należała również obowiązkowa i surowo przez nas, tj. dzieci, wymagana wizyta w Panoramie Raclawickiej i – przez starszych – w muzeum, gdzie też pobierałem pierwsze nauki o malarskich motywach i sposobie komentowania ich, z których jeden należy chyba przytoczyć. Otóż wisiał w tym muzeum obraz Siemiradzkiego „Chrześcijanie dla lwów!” Na środku areny groza zapierała dech w piersiach. Lecz z lewej strony siedział sobie w cieniu samotny lew ze smutną miną. Zapytany o refleksje, odpowiedziałem bona fide: *Biedny lew, nie ma swojego chrześcijanina* – za co zostałem natychmiast i srodze skarcony. Oczywiście cieleśnie, bo o osobistej nietykalności dzieci nikt jeszcze wtedy nie słyszał. I bardzo dobrze, doświadczyłem bowiem w sposób niejako namacalny, że chrześcijanie nie są dla lwów.

**Jak Pan zapamiętał Lwów z tamtych, dzieciennych lat?**

Po raz pierwszy widziałem go zapewne jadąc z „Salusa” do Leśniowiec, czego jednak jakoś nie mogę sobie przypomnieć. No, a potem widziałem go nieustannie. Każdorazowy wyjazd był traktowany jako atrakcja. Tak wielka, że grożono mi nieraz: – *Jak nie będziesz grzeczny, to nie pojedziesz do Lwowa* – co skutkowało lepiej od groźby najostrożniejszego nawet skórobicia, a nawet odebrania broni i wierzchowca na czas pewien i świadczy o uczuciach, jakie do tego miasta żywiłem. Lecz czy mogło być inaczej?

**Jak był postrzegany Lwów w Pańskim domu, czy jeżdżono tam do teatru, w odwiedziny, po zakupy, czy był przedmiotem rozmów i komentarzy?**

Oczywiście, jeżdżono i w odwiedziny, i do teatru, i na zakupy też, oraz, niekiedy, na obiad do George’a lub na tzw. „śniadanko”, na które mnie papa czasem zabierał do Atlasa lub Szkowrona, abym się od młodości czegoś pożytecznego nauczył. W czym nic dziwnego, boć przecież Lwów był – co tu dużo mówić – jedynym prawdziwie europejskim miastem w Polsce, i tak też był w domu postrzegany. Stawiano go (prawie) na równi z Wiedniem czy Paryżem, a znacznie wyżej od

Warszawy („duża wieś”) i nawet Krakowa, mimo że również w Krakowie i jego okolicy – jak zresztą wszędzie – krewnych nie brakowało, krewni zaś w pewien sposób nobilitowali miejsce swego zamieszkania. Lecz Kraków był w oczach starszych szanowną przeszłością. Lwów był terazniejszością i przyszłością, bo też we Lwowie było wszystko, nie tylko znakomity teatr. Również gościnne występy sławnej Józefiny Baker, na które nas, tj. mego starszego brata i mnie, rodzice niestety nie zabierali. Dopiero w wiele lat później dowiedziałem się, że tańczyła ona z bananami jako jedynym strojem, które to banany i tak pod koniec występu gubiła. Warszawa pojawiała się wyłącznie w kontekście kabaretu „Qui pro quo” i najlepszego ponoć szewca w środkowej Europie, Hiszpańskiego, a także Sejmu, do którego posłował brat mojej babki, a mój chrzestny ojciec, Roman Stroynowski – skąd zawsze z radością do Lwowa wracał.

#### **Gdzie jeżdżono na wakacje?**

Letnie wakacje spędzaliśmy w domu, przy czym należy dodać, że były to wakacje w cudzysłowie, jako że do szkoły żaden z nas nie chodził. Odwrotnie, to szkoła przychodziła do nas, bo właśnie w wakacje przyjeżdżał ze Lwowa nauczyciel, który uzupełniał domową naukę i dostosowywał jej program do programu szkolnego, choć Bogiem a prawdą niewiele miał do roboty, jako że ów „program domowy” był znacznie obszerniejszy od szkolnego. Dopiero gimnazjum zmuszało do opuszczenia domu rodzinnego, jawiło zaś się w sposób budzący grozę, zawartą w słowach: – *Jak nie będziesz grzeczny, to pójdziesz – jak papa – do Melk, i tam ci dopiero dadzą szkołę.* Albo jeszcze gorzej: – *Jeśli się natychmiast nie poprawisz, to pójdziesz jak Jul* (Łoś, mój najbliższy kuzyn *do Chyrowa!* A potem, już głosem pełnym współczucia: – *Biedny Jul! Głupi, bo głupi, ale żeby zaraz do Chyrowa...*

Na wakacje wyjeżdżano za to zaraz po Bożym Narodzeniu. W góry, bo w płaskim jak lotnisko pejzażu Leśniowiec tylko *skjoringiem*, czyli za galopującym koniem można było szybko na nartach jeździć. Zimowe trasy wiodły więc albo do Ślaska, albo do Rabki, albo w Czarnohorę.

#### **Kiedy Pańska rodzina opuściła ojczy- ste strony?**

Opuszczala je nieco na raty: pierwsi uczynili to papa i stryj, którzy – nie dostawszy się do Wojska Polskiego w kraju – pojechali przez Rumunię do Francji, gdzie walczyli aż do jej upadku, a potem kontynuowali walkę – papa w *maquis*, a stryj jako cichociemny w Anglii. Matka z nami i zatrudnionymi u nas Polakami, uciekliśmy z Leśniowic – już ostrzeliwując się – na drugą stronę Lwowa, w chwili wycofania się polskiego wojska, czyli wtedy, gdy nasze bezpieczeństwo, a nawet szanse przeżycia były równe zeru. Na wieść o wkroczeniu bolszewików przenieśliśmy się jednak do Lwowa, by nie zostać przez nich ogarniętymi w majątku krewnych, co mogło mieć tylko jedno zakończenie.

Początkowo mieszkaliśmy przy pl. Mariackim 7, gdzie dokwaterowano nam kilka rodzin oficerów sowieckich, po jednej w każdym pokoju, co nadaje się do napisania książki. Jeden z nich, Dżerelij (imion nie pamiętam, eks-śpiewak cerkiewny i porządny człowiek) przestrzegł matkę przed grożącą nam wywózką w słowach: – *Jak was wywozają, to babuszki* (moja prababka i babka) *pomrą, wy może przeżyjecie, ale chłopców mi szkoda. Dajcie mi ich, to ich zaadoptuję. Cóż, taki już los...*

Matka postanowiła się ukryć, lecz gdzie? Początkowo tułaliśmy się po trosze wszędzie, przenosząc się z jednego mieszkania do drugiego, lecz wykrycie – a byliśmy już poszukiwani – było tylko kwestią czasu, bo we Lwowie znało nas zbyt wiele osób. A wywożenie przy sięgającym 46 stopni mrozie szło w najlepsze. Byliśmy więc spakowani i czekaliśmy na moment, w którym podążymy za tymi członkami rodziny, którzy z racji wieku, lub – co tu dużo mówić – prostej naiwności gdzieś się nie ukryli, zaczem zostali wywiezieni i słuch po nich zaginął. Wtedy, w ostatecznej już rozpaczy, matka poszła do niemieckiej misji wojskowej, gdzie – jakimś dziwnym zrządzeniem Opatrzności – spotkała eks-podwładnego swojego ojca (dziadek nosił w K.u.K. Armees stopień *Fedmarschall leutenant*, a potem został generałem WP) i ten wyrobił nam papiery na nazwisko bodaj czy nie Mueller. I tak, po czterech miesiącach ukrywania się, przeszliśmy z matką, babką, prababką i gubernantką most na Sanie w marcu 1940 roku i wylądowaliśmy w Cieszacinie, majątku brata mojej babki ze strony ojca, Jana Drohojowskiego.

## **Jak Pan myśli, gdyby nie kataklizm II wojny – w jakim mieście by Pan studiował (Lwów, Wiedeń, Kraków)?**

Wybór studiów i miasta, w którym by one przebiegały, należałyby zapewne do rodziców. A determinowałyby je – przeznaczony dla mnie po najdłuższym życiu rodziców – spadek. W grę wchodziło leśnictwo (bowiem rodziny majątek Madeyskich, Parchacz, był majątkiem zdecydowanie leśnym), hodowla (Leśniowice były hodowlane), albo hodowla ryb (tu i tam). Ergo – studiowałbym tam, gdzie stosowne wydziały były najwyżej postawione: leśnictwo – we Lwowie, hodowla – w Holandii albo Danii, hodowla ryb – nie wiem, ewentualnie prawo administracyjne (rodzina matka miała duże nieruchomości w samym Lwowie) – w Krakowie albo Wiedniu.

## **Czym jest dla Pana Lwów osobiście i zawodowo, jako dla historyka sztuki?**

Osobiście – jest punktem najwyższego odniesienia. Nie lubię wielkich słów, lecz Lwów – to symbol bohaterstwa, patriotyzmu i lojalności oraz odpowiedzialności wielu pokoleń. Również tych najmłodszych, żywiących cześć dla Jurka Bitchana, którego, chłopcom zwłaszcza, za wzór się stawiało. A jednocześnie ogromnej radości życia i niepohamowanego temperamentu. Bo też Lwów potrafi działać na wyobraźnię, jak żadne chyba inne polskie miasto. Zwłaszcza w porównaniu z Krakowem, w którym również przed wojną kilka razy byłem. W porównaniu ze Lwowem Kraków spał, w niezwykle co prawda dostojny sposób. Ludzie snuli się po ulicach, konie ledwie człapały, a śmiechu i muzyki w ogóle w nim nie było. I tak pięknych zakątków, jak Stryjski Park czy Wysoki Zamek, ani tak wielkomiejskich arterii, jak Wały Hetmańskie, ani Raławickiej Panoramy, ani koni rozpędzonych w długim klusie. Ani tego różnorodnego gwaru metropolii, ani śpiewnego akcentu, któregośmy się w tajemnicy przed starszymi uczyli. Całej tej – pozbawionej chamstwa – zadzierzystości, połączonej z serdecznością nie spotkałem w żadnym innym mieście i pewnie jej już nie spotkam.

Jako dla historyka sztuki zaś... Cóż, Lwów był piękny i różnorodny, a przecież wiadomo, że najciekawsze zjawiska powstają na przecięciu się kultur, a tych krzyżowało się we Lwowie wiele. Zwłaszcza

wówczas, gdy towarzyszą im duże pieniądze, których we Lwowie nigdy nie brakowało. Tylko w nim więc mogła powstać – jakże zachodnia i wschodnia zarazem – kaplica Boimów z jej bogactwem pracownice rzeźbionych elementów, i roztańczona w rytmie kołomyjki raczej niż menueta, rokokowa katedra św. Jura, i niezwykle nawet jak na epokę baroku kościół Bernardynów, i korniaktowska wieża...

Te zabytki znają wszyscy. Niewiele jednak mówi się jeszcze o urbanistyce i architekturze Lwowa z przełomu wieków, okresu, w którym powstało jego prawdziwie wielkomiejskie założenie, skrojone na miarę wielkich europejskich stolic – jak wspomniane już Wały Hetmańskie, zamknięte z jednej strony gmachem teatru, z drugiej placem Mariackim z najlepszym chyba pomnikiem polskim, jakim jest pomnik Adama Mickiewicza, korespondujący z fontanną Najświętszej Maryi Panny i – dalej – pomnikiem Jana III. Ani o Dworcu Głównym, jakiego nie miało żadne miasto rozbiorowej Polski, ani o szlachetnych budowlach Ossolineum, Sejmu galicyjskiego, i ulicach, które mogłyby równie dobrze znaleźć się w Wiedniu, Paryżu, i być ich reprezentacyjnymi traktami.

## **Ktoś w Krakowie powiedział, że malarstwo lwowskie nie miało wyrazistości, jak krakowskie czy warszawskie...**

Cóż, mówić można wszystko, nawet to, że – na przykład – Grotgerowi brak wyrazistości lwowskiej, ponieważ uczył się w Wiedniu u Geigera, z wszystkimi stąd wynikającymi konsekwencjami. Z tą samą dozą racji można jednak odmówić jej sztuce krakowskiej, z tej choćby racji, że np. Matejkę nazywali „polskim Delarochem”, zaś u postimpresjonistów doszukiwano się w większej mierze podobieństw do Bonnarda niż Podkowińskiego czy Wyczółkowskiego. Po prostu sztuka XIX i XX wieku traciła konsekwentnie odcień lokalny na rzecz pewnej *europejskości*. Tendencjom tym musiał ulec również Lwów, jako jedna ze stolic c.k. Austrii. Lecz tym, którzy tak mówią, brak widać słuchu artystycznego, umożliwiającego dostrzeżenie owego, niemożliwego do zdefiniowania *genius loci*, jaki odcisnął piętno i narzucił swój klimat dziełom, powstałym w określonym regionie kraju.

**Bardzo Panu dziękuję za tę bogatą w różne wątki rozmowę.**

# POEZJA

PRZED ROKIEM ODSZEDŁ  
ZBIGNIEW HERBERT

Odszedł pierwszy wśród współczesnych Poeta polski, wielki Moralizator, piewca Prawdy i Piękna, Wieszcz Narodu – po Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, Norwidzie, Wyspiańskim... Patriotą polski – niebezpieczny, bo nie korzył się, nie chciał być nawet obojętny. To wystarczyło, żeby Nobla nie dostać. Pisał (*Przesłanie Pana Cogito*):

*Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu  
po złote runo nicości swoją ostatnią nagrodę  
idź wyprostowany wśród tych co na kolanach  
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch  
ocalałeś nie po to aby żyć  
masz mało czasu trzeba dać świadectwo  
bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny  
w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy  
a Gniew twój bezsilny niech będzie jak morze  
ilekroć usłyszysz głos poniżonych i bitych  
niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda  
dla szpicłów katów tchórzy – oni wygrają  
pójdą na twój pogrzeb i z ulgą rzucą grudę  
a kornik napisze twój uładzony życiorys  
i nie przebacza zaiste nie w twojej mocy  
przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świecie  
strzeż się jednak dumy niepotrzebnej  
oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz  
powtarzaj: zostałem powołany – czyż nie było lepszych  
strzeż się oschłości serca kochaj źródło zaranne  
ptaka o nieznanym imieniu dąb zimowy  
światło na murze splendor nieba  
one nie potrzebują twego ciepłego oddechu  
są po to aby mówić: nikt cię nie pocieszy  
czuwaj – kiedy światło na górach daje znak – wstań i idź  
dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę  
powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy  
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz  
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem  
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku  
a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką  
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku  
Idź bo tak tylko będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek  
do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda  
obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów  
Bądź wierny Idź*

Kochał swoje miasto rodzinne – to dla urodzonego lwowianina równoznaczne z miłością Ojczyzny. Utrata Lwowa była Jego osobistą tragedią. Pisał (*Pan Cogito myśli o powrocie do rodzinnego miasta*):

*Gdybym tam wrócił  
pewnie bym nie zastał  
ani jednego cienia z domu mego  
ani drzew dzieciństwa  
ani krzyża z żelazną tabliczką  
ławki na której szeptałem zaklęcia  
kasztany i krew  
ani też żadnej rzeczy która nasza jest  
wszystko co ocalało  
to płyta kamienna  
z kredowym kołem  
stoję w środku  
na jednej nodze  
na moment przed skokiem  
nie mogę urosnąć  
choć mijają lata  
a w górze huczą  
planety i wojny  
stoję w środku  
nieruchomy jak pomnik  
na jednej nodze  
przed skokiem w ostateczność  
kredowe koło rydzieje  
tak jak stara krew  
wokół rosną kopczyki  
popiołu  
do ramion  
do ust*

A jednak chciał wrócić, choćby po śmierci. Życzył sobie być pochowanym na Łyczakowie. Tego nie dało się w tym czasie spełnić, więc przywieziono garść ziemi *stamtąd*. Bo przecież (*Raport z oblężonego miasta*):

*...jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden  
on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania  
on będzie Miasto*

To jest wielkie przesłanie Zbigniewa Herberta.

A oto niektóre głosy ludzi, którymi wstrząsnęła Jego śmierć. Jerzy Buzek powiedział, że Zbigniew Herbert już stanął w narodowym panteonie, obok Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego...

Norman Davies napisał, że wiersze Herberta są szeroko, jeśli nie powszechnie znane wśród intelektualistów w świecie. Nazywa Go Wieszczem...

*Byłeś tutaj przybyszem z Hiperborej, Zbyszku* – taką poetycką apostrofą pożegnał Zbigniewa Herberta Seanus Heaney, noblista irlandzki. A biskup Józef Zawistowski napisał:

*Milkną muzy,  
gdy poeci idą do nieba,  
więc wybacz słowa.  
Największy z Orłąt Lwowskich  
Wierny i Niezłomny Warszawiaku  
Do zobaczenia u bram Ardeńskiego Lasu.*

Wspomnienia kolegów i przyjaciół Herberta z różnych miejsc i epok Jego życia zebrał w „Dzienniku Polskim” (18/99) Józef Baran.

Śmierć polskiego Wieszcza z lwowskim rodowodem zrobiła wrażenie na młodym poecie ukraińskim ze Lwowa, Aleksandrze Gordonie, który napisał wiersz po polsku i ofiarował go nam, będąc w maju w Krakowie (*Na śmierć Herberta*):

*Nie odeszliśmy.  
Jesteśmy.  
Nie skradnie nas  
nawet wieczność:  
Lwów gromadzi się w niebie...  
I tylko  
ciała nasze  
odchodzą,  
A dusze pozostają  
we Lwowie.  
I „to wcale nie wymaga  
wielkiego charakteru”.  
„W gruncie rzeczy  
to tylko sprawa smaku” –  
urodzić się i żyć  
we Lwowie.*

# PROZA

Ks. Lesław Jeżowski  
ODPUST W NIŻNIOWIE (2)

Z kościoła rozbrzmiewały organy i śpiewy. Wcisnąłem się do jego wnętrza. Wnet rozpoczęła się odpustowa suma. Odprawił ją jakiś nieznajomy mi ksiądz w asyście diakona i subdiakona. Kazanie wygłosił jezuita ze Stanisławowa. Pilnie słuchałem jego słów. Pragnąłem wszystko zrozumieć i zapamiętać. Rosło we mnie uznanie i cześć dla świętego patrona Polski. Zwłaszcza gdy kaznodzieja powiedział, że On jest dzisiaj w sposób szczególny wśród nas. Że jest jednym z uczestników uroczystości odpustowej, ale pierwszym i najgodniejszym. Toteż obraz ołtarzowy, na który patrzyłem, przestawał być dla mnie tylko płótnem pokrytym farbą, a zamieniał się w uobecnienie św. Stanisława.

Zgromadzeni w kościele nabożnie uczestniczyli w mszy św. Modlili się z książeczek, na różańcach, szeptali jakieś własne pacierze, głośno śpiewali. W pierwszych ławkach siedziały zakonnice z Zagórze Polskiego, Służebniczki z Tłumacza i tak zwane *zafurtowe* siostry z niepokalańskiego klasztoru w Niżniowie, noszące czarne habity. W oszklonych łóżach u góry prezbiterium, po obydwóch stronach wielkiego ołtarza, widziałem białe niepokalanki. Wyglądały niezmiernie, jakby anioły przybyłe z zaświatów, które unosiły się nad rozmodlonym tłumem. Księża spowiadali w konfesjonatach, inni kapłani słuchali spowiedzi na zewnątrz świątyni. Penitentów nie brakowało, a komunię św. rozdzielano długo.

Po mszy św. odbyła się procesja przed kościołem. Ruszyły wszystkie chorągwie kościelne, feretrony, świece trzymane przez mężczyzn, kobiety i dziewczyny. Wszyscy przystroili się odpowiednio do pełnionych funkcji, a równocześnie mieliśmy przegląd ubiorów i ludowych, i miejskich. Wszystkie zmysły ludzkie doznawały wrażeń: ministranci z zapałem potrząsali dzwonekami, z kadzielnic wydobywał się wonny dym. Błogosławieństwo sakramentalne we wnętrzu kościoła zakończyło procesję i bardziej uroczystą część odpustu. Wieczorem mia-

ły się odbyć nieszpory, gromadzące przeważnie miejscowych parafian.

Księża, zdjawszy szaty liturgiczne bądź komże, szli na plebanię. Świeccy wracali do swych domów i do pobliskich wsi, zatrzymując się przy odpustowych kramach. Poszedłem i ja do nich. Czego tam nie było! Obrazy i figury Pana Jezusa i świętych, książeczki do nabożeństwa, różańce, szkaplerze. Rozmaite świecidelka do ozdobienia domu lub siebie, lepzące się cukierki bez opakowania, jakieś ciastka, przypominające krochmal, kiszzone ogórki w beczce, kolorowe napoje... Nie brakowało prymitywnych zabawek dla dzieci: blaszanych kogucików na rurkach, w które trzeba było dmuchać, by piszczwały przeraźliwie, albo zwiniętych papierowych węży, które się wyprostowywały też pod wpływem dmuchania. A dalej drewniane wózki, koniki, lalki, piórniki. Na stołach leżały zadrukowane karty papieru z tekstami podwórzowych ballad o uwodzicielach, mordercach i ich ofiarach, o niezwykłych historiach z życia sfer wyższych, a i niższych. Obok kramu jakiś podejrzanie wyglądający mężczyzna zdartym głosem wyśpiewywał jedną z takich ballad.

Kramy odpustowe robiły nie najlepsze wrażenie, ale za to jakie miały piękne tło: ścianę ciemnych świerków, które pachniały żywicą. Drzewa te odgraniczały park dworski od drogi, która od kościoła i klasztoru biegła w dół, do szosy. „Park” to za dużo powiedziane: w rzeczywistości za świerkami, okalającymi przykościelny plac, rósł po prostu iglasty las i pokrywał całe zbocze. U jego stóp stał ów dwór Urbańskich, który przypominał swoim wyglądem niżniowską plebanię.

Tą cieniastą drogą szedłem do szosy, chociaż od przechadzki odstręczał mnie kurz, unoszący się nad odjeżdżającymi wozami. Niżniów poznałem już wcześniej, niczego szczególnego w nim nie było. Jediną atrakcją dla tłumaczan stanowił Dniestr i dwa mosty: kolejowy i kołowy. Popatrzyłem w stronę rzeki, na jar, którym toczyła swe wody, i żałowałem, że to dopiero początek maja. Za wcześniej na kąpiel.

Zawróciłem. Znowu coś ciągnęło mnie do kościoła, a przede wszystkim do klasztoru. Idąc pod górę wdychywałem głęboko woń świerków. W Tłumaczu one nie rosły. Ich zapach kojarzył mi się z wakacjami, które zawsze spędzałem w lesistych Karpatach. Za niespełna dwa miesiące znowu tam pojedę. Jak to dobrze!

Doszedłem do furty. Pociągnąłbym jeszcze raz za drut, ale zdałem sobie sprawę, że zakonnica, która by mi otworzyła, podejrzliwie przyjąłaby moje powtórne przybycie. Lepiej było pozostać po tej stronie muru. Czy ten placyk nie jest też piękny? Ze swoimi wysokimi świerkami, żywopłotem plebańskiego ogrodu, frontem kościoła, trawą pod nogami? Gdybym mógł, przeniósłbym ten urokliwy zakątek do Tłumacza, i przychodziłbym do niego codziennie.

W kościele nie było już prawie nikogo. Pozostał zapach kadzidła, jedliny, kwiatów. Usiadłem w ławce i w ciszy rozmawiałem bez słów ze św. Stanisławem i Jego Panem. Tłumacki kościół lubiłem, chodziłem do niego często, ale ten niżniowski wydawał mi się teraz jakiś dostojniejszy, bardziej uroczysty. Może dlatego, że był znacznie starszy od tłumackiego? A może spo-

wodowały to długoletnie modlitwy paulinów, ukryte w murach kościelnych?

Goście plebanii już wychodzili. Dotarłem do próżniejącej jadalni. Księża Tabaczkowski i Witkowski już się trochę niepokoiłi moją dłuższą nieobecnością. Zaproszono mnie, abym coś zjadł. Poprzestałem na ciastkach i herbacie. Wnet ruszyliśmy do Tłumacza tą samą drogą, którą przyjechaliśmy. Jadąc wzdłuż budynku klasztornego, zauważyłem w jednym oknie lampę naftową z białą, porcelanową umbrą. Widocznie elektryczność jeszcze tam nie dotarła. Tłumacz był pod tym względem bardziej ucywilizowany.

Wyprzedziliśmy pieszych, którzy nieśpiesznie wracali z odpustu. Niektóre kobiety szły boso. Rano, idąc do kościoła, wzuwały buty, teraz je ściągały. Podobnie dzieci. Na ich szyjach szeleściły różańce, sporządzone z kolorowego, wyschniętego ciasta, poprzytykane marszczoną bibułą. Gdzieś strzelano z pukawek.

Znowu przejeżdżaliśmy przez Bratyszów. Później zobaczyliśmy zabudowania józefitek w Zagórze. Ks. Tabaczkowski chciał odwiedzić zakonnice. Zobaczywszy z oddali powóz z księżmi, siostry wyszły nam naprzeciw. Ucieszyły się przybyciem gości. Wprowadziły nas do kaplicy, urządzonej w dużym pokoju z osobnym

Kościół i klasztor ss. Niepokalanek w Niżniowie. Zdjęcie sprzed 1939 r. pozyskane dzięki uprzejmości ss. Niepokalanek z Szymanowa

**dokończenie na str. 73**





## POKŁOSIE KONKURSU „MOJA ULICA – MOJA WIEŚ”

Marcjanna Szałęga  
UKOCHANY DOM I KOWER

**C**zwarta praca, jaką przedstawiamy, wyróżniona w konkursie, a napisana przez naszą Krajankę, zamieszkałą dziś w Snowidzy w woj. dolnośląskim (do niedawna legnickim), opisuje rodzinną podlwowską wieś, tamtejsze życie, ludzi, dramaty, powojenne losy sąsiadów i przyjaciół. Jednak praca ta – co skądinąd jest jej ogromną zaletą jako poważnego materiału historycznego – posiada znaczną objętość (19 stron maszynopisu i 31 stron rękopisu), przerastającą możliwości jednorazowego druku w naszym kwartalniku. Przedstawiamy więc dziś obszernie fragmenty tych ciekawych i ze swadą napisanych wspomnień, ciągle licząc na to, że wszystkie prace uda nam się wydać w formie książkowej.

*Jedną godzinę myśli w przeszłość  
wrócić.* (J. Słowacki)

To motto posłużyło mi i po prostu pomogło do pozbierania ludzi, z którymi żyłam tam, na Kowerze.

### MOST NA RZECZE SZCZEREK

Mam przed sobą dwa zdjęcia, stare i wyblakłe, zrobione w czasie okupacji przez Staszka Olszewskiego, aparatem składanym z innych przez tegoż fotografa. Oba są mi bardzo drogie, może dlatego, iż na jednym z nich widzę całą wieś, tak że mogę wejść prawie do każdego domu, a na drugim most na rzeczce Szczerek, łączący Porsznę z Kowerem.

O ten most były ciągle „wojny”, jeżeli tak można nazwać problem jego naprawy każdej wiosny. Za rzeką były łąki, na których pasano krowy, była piaskownia i nawet kamieniołom pod porszniańską górą. Wprawdzie kamień był wapienny i nie nadawał się do budowy, ale zawsze komuś był potrzebny, więc od czasu do czasu ktoś go wydobywał. Drewniany mostek był sklecony byle jak, bo tak naprawdę nikt nie znał się na budowie, a po drugie, przed wojną remontowano go w ramach obowiązkowych robót,

czyli szarwarków, więc nie dziwota, że nie dbano o należyłą konstrukcję i wykonanie. Był potrzebny, aby pędzić bydło na drugą stronę, aby był przejazd furmankami do Porsznej – ruskiej wsi, i dalej do Podciemnego, do lasu po drzewo, do Podhajec i dalej do Mikołajowa. Mostek ten łączył też Kower z przysiółkiem Kowyrkiem, położonym na wschód, skąd polnymi drogami można było się dostać do stryjskiego gościńca, przy którym leżała wieś Lipniki, zamieszkała przez Polaków i kilka ukraińskich rodzin. [...]

Ten więc mostek na rzecze Szczerek, która płynęła do Siemianówki, był miejscem spotkań kowerskiej młodzieży. Rechot żab i szum płynącej wody nastrajał człowieka, zwłaszcza młodego, do marzeń. Dziadek mój opowiadał, że przed pierwszą wojną światową przy rzeczce była fabryka papieru (okoliczni mieszkańcy nazywali ją „Kowerpapiernią”). Zostały po niej tylko niedopalone słupy przy stawie, porośniętym przy brzegu trzcina, tatarakiem i różnymi porostami. W tych porostach żyły raki, łowione koszykiem przez chłopaków. Nadziewano je na patyki i pieczono nad ogniskiem. Do dziś czuję zapach pieczonego raka i smak jego mięsa, którego po prawdzie niewiele było do zjedzenia. A ile było krzyku dzieciaków, gdy któremuś przyczepił się taki „gad” do pośladka podczas kąpieli. Trzymał się mocno skóry szczypcami, a dzieciak ganiał, podskakiwał, pisał i prosił o pomoc.

Rzeczka Szczerek miała swoje źródło pod Hodowicą, gdzie tworzyła mały stawek otoczony grzęzawiskiem, porośnięty tatarakiem. Dalej szerszym już strumieniem wpadała do dużego stawu w Nawarii. Tam był most i śluza, która przy pewnej regulacji wody poruszała młyn po drugiej stronie szosy. Nie ma młyna, ze stawu zrobiło się małe bajorko, a rzeczkę zmieniono na olbrzymi zalew, który zmienił zupełnie konfigurację terenu, także mojej rodzinnej wsi, która została zalana wodą.

Dobrze więc, że mam zdjęcie tego „sławego” mostku, który łączył okolice i nas,

młodych wtedy ludzi, roześmianych, wesołych, pogodnych, choć w czasie okupacji dnie i noce były niepewne. Ale wtedy byliśmy jeszcze razem – na tym mostku i w naszej wsi. [...]

Patrząc na drugie zdjęcie, zrobione z porzniańskiej góry, może trochę niewyraźnie odbite, trochę wyblakłe – bo czas niszczy obraz – mam przed sobą wieś, leżącą nad łąkami, rozciągniętą na kształt półwyspu, od rzeki, wzdłuż łąki „popowej”. Od strony południowej przez wieś prowadziła błotnista jesienią i wiosną droga. Przy tej drodze od strony północnej rozsiadły się małe gospodarstwa, a od południa były łąki „popowe”, nazwane tak od właściciela, który był popem przy cerkwi w Nawarii. Łąki były piękne, porośnięte trawą i kępami łóz, z których robiono koszyki. Wiosną łąka tonęła w wodzie z topniejącego śniegu z porzniańskiej góry i z okolicznych pól położonych wyżej. Nieco później zakwitła żółtymi kaczeńcami i różnorodnym, kolorowym kwieciami. Tu, na zachodzie takiego nie spotykamy.

Wzdłuż łąki droga była błotnista, ale tak naprawdę, to wiosną podczas roztopów i jesienią, gdy padały deszcze – było to prawdziwe bajoro. Z tą drogą mieszkańcy mieli wiele kłopotów. Gmina wydawała nakaz remontu, osuszania, kładzenia kamiennej nawierzchni, ale to niewiele pomagało, bo prace były wykonywane byle jak, szarwarkowo, bez nadzoru jakiegoś specjalisty, więc wyniki były takie, jak przy naprawie mostu. W rezultacie furmanki wpadały kołami po osie w koleiny wyżłobione przez wodę. Dopiero kosztem wysiłku kilku ludzi, pokrzykiwaniem na konie, wydobywano wóz (czasem trzeba było go opróżniać) na równiejszą drogę.

Najgorsze były okresy miesięcznych jarmarków w Nawarii. Gromadziły one kupców z okolicznych miejscowości i chłopów, sprzedających swoje płody rolne różnego rodzaju. Już od północy słychać było głośne „wiokanie” na konie, przekleństwa, złorzeczenia na nieudolność zwierzęcia, które mimo wysiłku nie mogło wyciągnąć załadowanego wozu. Trzeba przyznać, że nie tylko wzdłuż łąki droga była okropna, bo chociaż prowadziła nieco pod górę, między zabudowaniami z obu stron miała także koleiny błotne z płynącą wodą w czasie opadów, nawet latem. Była wąska i miała

stromo pobocza porośnięte pokrzywą, łopianem i klującą tarniną albo dzikim bzem i krzewami zdziczałego agrestu.

Nie ma już drogi, ani tej błotnistej przy łące, ani tej pod górkę. Tamta błotnista została zalana razem z łąką, rzeczką i stawem, a ta wyżej położona jeszcze przed kilku laty była porośnięta dzikim bzem. Dziś wczasowicze zasypali ją śmieciem różnego rodzaju, i jeszcze rok – dwa, a przestanie być widoczna, jak wiele drózek i ścieżek, które kiedyś łączyły domostwa, ogrody i pola.

Na Kowerze nie było pomników ani kapliczek. Każdy dom był jakimś pomnikiem dla mieszkańców wioski, bo był stary, czasem pokryty strzechą albo gontem. Ale ta mała wieś miała swoje przeżycia i ma także swoją historię, na którą złożyło się to wszystko, co łączyło ludzi przez lata pokoju, bezrobocia i biedy. Później był koszmar obu okupacji, wywózki na Sybir, niemieckie mordowanie Żydów i Polaków. I ponowny najazd „wyzwolicieli” [...] z wywózką – tym razem na zachód.

Na horyzoncie zdjęcia widać pola – malickowsko-nagórzańskie – i lasek *parcelacji* Malickowskiej, gdzie żyło siedem rodzin. Tej miejscowości też już nie ma, niektóre budynki rozebrano jeszcze w latach pięćdziesiątych, zaraz po wyjeździe Polaków na zachód. Tak sam los spotkał moją wioskę Kower i Przysiółki. Domy nadające się do rozbioru rozebrano, a inne po prostu rozwalono spychaczami, aby przygotować teren pod ośrodek rekreacyjny dla ukraińskich *lwowiaków*. [...]

## NASZA WIEŚ I WOJNA

Okoliczne lasy w 42 do 45 roku zajęte były przez *banderowców*, którzy byli postrachem dla mieszkających tam Polaków, więc samoobrona była konieczna. Przed 1939 rokiem oba narody, żyły w możliwej zgodzie, Polacy i Ukraińcy żenili się, zapraszali na święta, na wesela i inne uroczystości. W okresie okupacji niemieckiej piorun uderzył w ukraiński naród, gdy dotarła do nich obietnica wolnej Ukrainy, jeżeli będą współpracować z Niemcami. „Współpraca” polegała na paleniu polskich wiosek, mordowaniu niewinnej ludności polskiej i rozłączaniu mieszanych małżeństw w różny, tragiczny sposób. W ciągłym strachu o swoje życie i najbliższych spędzaliśmy dnie i no-

ce. Organizacja samoobrony była konieczna, bo władze niemieckie zostawiły Ukraińcom swobodę działania, a walka z Polakami była im na rękę, bez względu na metody postępowania. Wprawdzie osobistych wrogów w Porsznie nie mieliśmy, ale świadomość tego, że część porszniańskiej młodzieży poszła do banderowców i była w lasach Podhajców i Podciemnego, już była zagrożeniem dla naszej wioski, więc dla bezpieczeństwa ustaliliśmy warty od wieczora do rana. Przywódcą tych wart był Jan B., a podlegali mu – kto mógł i chciał stać na czujce. Kobiety i dzieci zaraz z wieczora udawały się w wiadomym sobie kierunku, nad ranem wracały zmęczone do swoich domów i rozpoczynały codzienne zajęcia.

Czujki miały broń różnego kalibru i trochę naboji, zdobyte różnymi sposobami. Mieszkańcy Porszny wiedzieli o naszym zbrojnym pogotowiu, obawiali się ataku ze strony Polaków i byli pewni, że mamy u siebie swoich partyzantów. Polacy byli tego samego zdania w stosunku do Ukraińców.

Pojedyncze ostrzeliwania dla postrachu z obu stron, wystrzeliwanie rakiet – ot, taka zagrywka, aż któregoś wieczoru ogłoszono alarm, że szykuje się napad na wieś. Pędziłam bez tchu do Nawarii, potem do Glinny, aby sprowadzić pomoc. Okazało się, że alarm był próbą ze strony ukraińskiej czujki na zachowanie Polaków. Przekonali się, że jesteśmy czujni i że nie można nas lekceważyć. Takich fałszywych alarmów było kilka, w końcu przyzwyczyli się do tego obie strony. Ale napięcie nerwowe, strach przed okrucieństwem ukraińskich nacjonalistów, opowiadania uciekinierów z Wołynia, którzy przeszli ten koszmar i cudem zostali przy życiu budziły coraz większy niepokój. Nawet w naszych okolicznych wioskach zaczęły się nasilać ataki Ukraińców na polskie rodziny i pojedyncze osoby, które kiedyś miały osobiste zatargi z Ukraińcami. Tak na marginesie podam kilka nazwisk, które zostały mi w pamięci, a był to rok 1943 i na płotach coraz częściej zaczęły się pojawiać plakaty z pogroźkami i słowami: *Lachy za San*. Bandy ukraińskie z Porszny coraz śmielej sobie poczynały. W Siemianówce, polskiej wsi, letnią niedzielą już w 1943 roku podpalono kościół i ostrzeliwano polską ludność. W bestialski sposób wymordowano rodzinę Jaroszków, mieszkającą na *parcelacji*, rodzi-

nę Salamonów z Podsadek. Zginęli Józef Kocula, Franciszek Wróblewski, Michał Surniak oraz szukająca ich córka i parobek.

Czujki były coraz liczniejsze, siedzieliśmy po kilka osób w przydomowych ogrodach, w krzakach, bacznie obserwując drogę, most na rzece, rzekę, popową łękę i porszniańską górę. [...] Dla małej wioski życie w niepewności było ciężarem ponad siły. Całonocne warty wyczerpywały siły fizyczne i psychiczne. [...]

## NASZ DOM

stał w środku wsi, na górcie. Obok, za drogą była posesja Łozów, od północy sąsiadowaliśmy z Dragami, od południa „popowa dolina” pachnąca różnym zielskiem wiosną i latem, od zachodu walące się już zabudowania Banatów. Pola należące do wszystkich gospodarzy, którzy mieszkali wzdłuż drogi, łączyła polna droga, która wiodła do *parcelacji* pustomyckiej. Biały, duży dom, kryty blachą, wykończony przed samą wojną, był marzeniem i chlubą rodziców. Wyróżniał się od innych tym, że był nowy, z gankiem oszklonym dużymi oknami, które sprawiały nam wiele kłopotu latem, gdy roje much grzały się w słońcu, zostawiając po sobie czarne kropeczki.

Do ganku wchodziło się po dwóch drewnianych stopniach, a z ganku do sieni. Naprzeciw była kuchnia, z prawej pokój na co dzień, tzn. do pracy, z lewej pokój gościnny połączony z sypialnią, nowoczesnie umeblowany, jak na tamtą modę. W oknach wzorzyste niciane firanki i *zazdrostki*, które uszyła mama z kolorowego kretonu, aby żaden z ciekawskich nie podglądał domowników. Kuchnia też byłaby nowoczesna, bo miała ładny nowy kredens na naczynia, stół, krzesła, a pod oknem duży „szlaban” – coś na wzór obecnej wersalki, tylko drewniany z siennikiem, wypchany słomą. Ale ten wystrój kuchni szpeciła drabina, po której wchodziło się na strych, i wejście do piwnicy z drzwiami w podłodze. Takie rozwiązanie doradził wujek Kurylec, który w tych sprawach był wyrocznią. Było to niewygodnie i brzydkie, ale było.

W pokoju do pracy ojciec miał swoje miejsce przy osobnym stole pod oknem, przy którym naprawiał zegarki lub robił buty,

---

**dokończenie na str. 75**



# MAESTRA

Irena Suchanek

*Ecco, dunque, un' artista – piena di gioventu, di fascino e di bellezza – che entra nell' arte come una valorosa, ed alla quale sorridera – in breve – una carriera delle piu brillanti e fortunate.*

*Oto więc artystka – pełna młodości, czaru i piękności – która wkracza w świat sztuki jako wysoko oceniana i do której uśmiechnie się – już wkrótce – kariera, jedna najbłyszkośliwszych i najbardziej udanych.*

**P**owyższe motto to fragment jednej z wielu recenzji, jakie ukazały się we Włoszech z okazji debiutu śpiewaczego naszej rodaczki Heleny Bulikowskiej, posługującej się za granicą pseudonimem Elena Palmy.

Helena Bulikowska urodziła się w Złoczowie w 1875 r. jako córka lekarza, krakowianina, ożenionego z panną ze złoczowskiego dworku. W domu tym panowała muzyczna atmosfera, bo babka przyszłej śpiewaczki (ze strony matki), Felicja z Rappackich Wesołowska, oraz ojciec doskonale grali na fortepianie, a nawet dawali koncerty w salonach przyjaciół. Babka była

wykształcona muzycznie, więc uczyła wnu czkę gry na fortepianie, ta jednak, obdarzo na pięknym mezzosopranem, wybrała karierę śpiewaczą. Głos kształciła w szkole śpiewu Adeliny i Augusta Souvestre'ów w Dreźnie. Jej debiut w „Giocondzie” Ponchie'lego odbył się w Bolonii w 1895 r. i śpiewała tam przez cały sezon, prezentując swój niezwykły talent wokalny, sceniczny, a także nieprzeciętną urodę.

Sukces boloński zaowocował propozycją występów w teatrze Regio di S. Carlo w Lizbonie, ale z niej nie skorzystała, lecz wróciła do kraju. Po ślubie z notariuszem Aleksandrem Misky – bratankiem współczesnego Wyspiańskiego młodopolskiego malarza Ludwika Misky – i po urodzeniu dwojga dzieci zamieszkała we Lwowie (przy ul. Akademickiej 26). Zadebiutowała w 1905 r. w Operze Lwowskiej arią Amneris w „Aidzie” Verdiego, przyjmując pseudonim Oleska (od zdrobniałego imienia ukochanego męża, Olesia).

We Lwowie śpiewała wszystkie liczące się partie mezzosopranowe, tworząc znakomite kreacje aktorskie, m.in. jako Brunhilda w „Pierścieniu Nibelunga” Wagnera,

w „Walkirii”, mając za partnera słynnego wówczas tenora, Aleksandra Bandrowskiego, a także jako Telimena w operze „Pan Tadeusz” (którą skomponował rozkochany w operze ziemianin Wydźga, a zinstrumetował Jan Gall). W tym czasie wspominała się o Helenę Oleską operą warszawską (partnerowali jej tam m.in. Battistini i Tita Ruffo). W recenzjach z warszawskiego okresu powtarzały się opinie o prześlicznym, dobrze wyszkolonym głosie, wspaniałych warunkach scenicznych oraz dużym talencie dramatycznym. Jej wielkim sukcesem była Dalila w „Samsonie i Dalili” Saint-Saensa, Ortruda w „Lohengrinie” Wagnera, Amneris w „Aidzie” Verdiego. Zachwycała melomanów nieskazitelnym brzmieniem głosu i szlachetną grą, czego nie pominął F. Pajęczkowski w swojej monografii *Teatr Lwowski pod dyktando T. Pawlikowskiego 1905–1910*. Także prof. S. Laskownicki w książce *Szpada, bagnety, lancet* wspomina: *We Lwowie była świetna opera. Pierwszy raz wystawiano „Pierścień Nibelunga”, śpiewały – Gembarzewska, Korolewicz, Oleska, Lachowska*. Helena Oleska, opracowując starannie role pod względem wokalnym i aktorskim, dbała równocześnie o odpowiednie toalety. Pewna znakomita krawcowa w Wiedniu przyjmowała listowne zamówienia na poszczególne kreacje, a problem przymierzania strojów rozwiązywał manekin o wymiarach Oleskiej. Zamówione suknie trafiały do śpiewaczki w wyznaczonym terminie, nie wymagając – dzięki perfekcyjności krawcowej i dokładności manekina – żadnych poprawek.

Z tego okresu pochodzi bogata korespondencja i liczne fotografie z dedykacjami m.in. I. Paderewskiego, Ady Sari, W. Werwińskiej, J. Korolewicz-Waydowej, F. Nowowiejskiego (ten umieścił nawet fragment swojej kompozycji) oraz bardzo licznej grupy uczniów.

Z równym zaangażowaniem, jakie przejawiała Helena Oleska w doskonaleniu warsztatu twórczego, oddawała się też innym zajęciom. Podczas pierwszej wojny światowej była sanitariuszką w oddziale „Siostr Błękitnych”. Portrecistka B. Rychter-Janowska wykonała w 1916 r. jej portret w stroju sanitariuszki, w przepasce z czerwonym krzyżem, a zafascynowana

osobowością modela, zadedykowała jej wiersz, umieszczony na dole obrazu.

W tym samym mniej więcej czasie Helena Oleska ujawniła, obok uznanych już zdolności – predyspozycje pedagogiczne, które po latach dokonała na tej niwie uznano za niezwykle talent. Zaczęła od pracy w Konserwatorium Lwowskim i Szkole Muzycznej im. I. Paderewskiego. Uczyla też w szkole prof. Reissa, a także dawała prywatne lekcje – aż po lata okupacji (mieszkała wtedy przy ul. Ossolińskich 21). Wiosną 1945 r. z Teatrem Lwowskim przyjechała do Krakowa. Dzięki temu transportowi mogła przewieźć wiele cennych rzeczy, włącznie z fortepianem. W Krakowie podjęła pracę w Szkole Muzycznej przy ul. Basztowej, gdzie uczyła do 80. roku życia. Udzielała też prywatnych lekcji w swym mieszkaniu przy ul. Krzywej (róg Rynku Kleparskiego).

Wśród licznej rzeszy uczennic i uczniów, którzy mieli szczęście pobierać u Heleny Oleskiej lekcje śpiewu przed II wojną światową i po jej zakończeniu, warto wymienić choćby te osoby, które zapisały się złotymi głoskami w dziejach wokalistyki polskiej, a nawet europejskiej:

- ❖ Andrzej Hiolski, baryton. Rozpoczął naukę śpiewu, będąc uczniem gimnazjum. W 1945 r. został przez Maestrę zaopatrzony w list polecający do Adama Didura, który wtedy organizował Operę Śląską. Już w czerwcu tego roku reprezentował tę operę, śpiewając gościnnie w Krakowie, w „Verbum nobile” i „Halce”;
- ❖ Adam Kaznowski, bas. Debiutował w Operze Lwowskiej, a następnie przez 15 lat śpiewał w Operze Śląskiej;
- ❖ Wojciech Dzieduszycki, tenor. Debiutował we Lwowie w „Eugeniuszu Onieginie”, potem we Florencji śpiewał w „Pajacach” arię Arlekina razem z Giglim, a także w operze „Afrykanka”. Jako drugi tenor partnerował Kiepurze. Niestety wojna przerwała karierę świetnie zapowiadającego się tenora;
- ❖ Ira Malaniuk (Irena Małaniuk), mezzosopran. Występowała w Mediolanie, Paryżu, Rzymie i wielu innych, brała udział w festiwalach wagnerowskich w Bayreuth i w Holandii, współpracowała z von Karajanem, Boehmem, Fischer-Dieskau;

- ❖ Maria Błażyńska, sopran liryczny. Śpiewała we Lwowie i Wiedniu, po wojnie zaś uczyła w Gliwicach śpiewu;
- ❖ Jadwiga Heyne, mezzosopran. Występowała głównie na estradach, m.in. z A. Didurem;
- ❖ Maria Korabianka, sopran. W okresie międzywojennym śpiewała w Operetce Lwowskiej i Warszawskiej;
- ❖ Krystyna Manasterska, sopran. Została zaangażowana do Pragi. Po wojnie śpiewała m.in. w Krakowie.
- ❖ Sława Bestani (S. Bedlewicz), sopran. Śpiewała w Operze Poznańskiej i Warszawskiej oraz w Operetce Wileńskiej, występowała w Polskim Radio;
- ❖ Tadeusz Podsiadło, Wincenty Gładek, Janusz Łukasik, Ryszard Słysz – wszyscy związani w swoim czasie z Operą i Filharmonią w Krakowie.

Helena Oleska kochała swoich uczniów. Potwierdzeniem serdecznych stosunków, jakie łączyły Maestrę z jej uczniami, są liczne listy i fotografie z niebanalnymi dedykacjami, które zaświadczać o ogromnym szacunku i zaufaniu, jakim darzono tę nieprzeciętną mistrzynię sztuki wokalne. Piszą w nich o swoich artystycznych dokonaniach, ale i o osobistych, rodzinnych sprawach, jakimi dzielimy się na ogół z kimś bliskim i zaprzyjaźnionym. Maestra zmarła w Krakowie w 1969 r. i została pochowana na cmentarzu Rakowickim.

Wśród podopiecznych Heleny Oleskiej była również osoba, której należy się bardziej szczegółowe wspomnienie. Chodzi tu o jej córkę – Felicję. Matka nie przewidywała dla niej kariery śpiewaczki, dopiero po interwencji dziadka, Stanisława Bulikowskiego, zgodziła się na udzielanie córce lekcji. Dalszą naukę Felicja kontynuowała u dyrygenta Milana Zuny, Czecha, u którego w latach 1924–25 ćwiczyła partie operowe i trudne arie Beethovena. Darzyła Zunę szacunkiem i zawsze wspominała bardzo serdecznie.

Felicja zdała w 1925 r. egzamin kwalifikacyjny ZASP, uprawniający do angażowania jej jako solistki operowej. Zadebiutowała we Lwowie rolą Małgorzaty w „Fauście” Gounoda. Jedna z recenzji z tego okresu tak omówiła występ p. Felicji w sali Ogniska Oficerskiego: *Brzmienie tego nie-*

*nagannie intonującego, prawie już zupełnie wyszkolonego sopranu, a właściwie mezzosopranu, olśniewa istotnie słuchaczy; łączy się w nim dźwięk śmiało atakowanych wysokich tonów z czarującym zabarwieniem rzewnych, wydatnych i – że tak powiem – aksamitnych pozycji niższych, porywających audytorium woluminem i barwą i tymi w ogóle zaletami, które cechują głosy wyjątkowo piękne, nadające się do wywoływań niezwykłych wrażeń na scenie operowej. Po udanym debiucie w „Fauście” chciano powierzyć jej w 1927 r.*



Helena Oleska jako Telimena w operze „Pan Tadeusz”

role mezzosopranowe w Operze Lwowskiej, ale wobec sprzeciwu matki przyjęła od Milana Zuna zaproszenie do Opery Kato-wickiej, dokąd Zuna przeniósł się, organi-zując tam życie muzyczne na wysokim po-ziomie. Do roku 1930 jako solistka kato-wickiej sceny śpiewała rolę tytułową w „Halce” oraz główne role we „Flisie”, w „Pomście Jontkowej”, w „Legendzie Bał-tyku”, w „Trubadurze”, „Eugeniuszu Onie-ginie” i „Tannhauserze”.

Po powrocie do Lwowa dokończyła stu-dia muzyczne i w r.1932 podjęła pracę w Średniej Szkole Muzycznej im. I. Pade-rewskiego. W tych też latach wyszła za mąż za Bronisława Chamskiego i urodziła córkę Marię. Po wojnie państwo Chamscy osiedli w Gliwicach, gdzie Felicja kontynu-owała pracę pedagogiczną, obejmując kla-sę śpiewu solowego w tamtejszej szkole muzycznej.

Listy, fotografie, portrety, recenzje z pra-sy krajowej i zagranicznej, programy, wa-chlarze, koronki, fragmenty strojów sce-nicznych Heleny Oleskiej i Felicji Cham-skiej zachowały się w zbiorach rodzinnych, pozostających pod opieką wnuczki Maestry.

**Redakcja Cracovia-Leopolis składa serdeczne podziękowanie pani mgr inż. Marii Graczyk za łaskawe udostępnienie rodzinnych pamiątek, dzięki czemu mogliśmy przedstawić naszym Czytel-nikom te niezwykle, wielce utalentowa-ne lwowianki, a także przywołać je pa-mięci melomanów.**

Na marginesie warto zacytować słowa Wojciecha Dzieduszyckiego z niedawno wydanej książki pt. *Miesiące mojego życia* (omówimy ją w jednym z następnych nu-merów CL):

*Jana Kiepurę poznałem we Lwowie. Kończyłem właśnie moją edukację wokal-ną u pani Heleny Oleskiej. Istniał taki zwy-czaj, że znani śpiewacy, ilekroć przeby-wali we Lwowie, składali wizytę tej wielkiej damie muzyki. Pani Helena wiedziała, że Jan Kiepusa odwiedzi ją, i przygotowała mały występ swych najzdolniejszych uc-zniów. Wybrała Staszka Rusockiego, An-drzeja Hiolskiego i ja też dostąpiłem tego zaszczytu. Jan Kiepusa sympatycznie wte-dy nas pochwalił.*

Jerzy Masior

## KONDYCJA LWOWSKIEJ PIOSENKI,

czyli o VII Festiwalu w Lesznie

**Piosenka jest wśród kulturowych warto-ści muzycznych najbardziej ulotna, a już w lwowskim śpiewaniu jest jakaś skrzy-dlatość, która ponad czasem i przestrze-nią ulata, krąży i trwa. Nasza pamięć zaciera kontury Miasta, nawet własna ulica i dom coraz są odleglejsze, a śpie-wanie spod Wysokiego Zamku dźwięczy w uszach uparcie.**

Mimo że przez wiele lat nie dopuszcza-na do publicznego wykonywania – piosen-ka była jedną z pierwszych jaskółek wolno-ści na przełomie lat 80/90. Była hejnatem, że można się skrzyknąć, organizować i zwie-rać lwowskie szeregi, śnić na jawie, bo znów z *Cytadeli idą z góry* ci, którym ten marsz przez wiele lat był zabroniony. Nad-szedł czas, kiedy do pieśni i piosenek daw-nych poczęły dołączać nowe, które z potrze-by serca powstawały w naszych lwowskich środowiskach: w Warszawie, Wrocławiu, Nowym Sączu, Tarnowie, Przemyślu. Wyru-szały pierwsze wycieczki pod Kopiec i na Orłęta, nie tylko by przypomnieć, że pamię-tamy, ale i po echa na zapisywanie strof i melodii. Tak budzona twórczość o Lwowie musiała doczekać się swojej kulminacji, gejzeru sentymentów pulsujących rytmami lwowskiej ulicy, rzewnością parkowych wie-czorów i nowym żarem pamięci o tych, co tam pozostali, chociażby w katakumbach i pod Łukiem Chwały.

Takim gejzerem okazało się być Leszno z jego Ogólnopolskim Festiwalem Lwowskiej Piosenki Dziecięcej. Prezes tamtejsze-go TMLiKPW, łyczakowianin (że też wszędzie ich jeszcze pełno!), p. Janusz Ragankiewicz, trafił w sedno potrzeb i nastrojów nas wszyst-kich. Zorganizował już siedem festiwali lwowskiego śpiewania. Ostatnio odżegnuje się od nutek kresowych, rezerwując swój czas i wysiłek wyłącznie dla lwowskich, jakby za-



pomniat, że kresowiakom prezesuje także. Mój Boże! Lwów i Kresy – toż to teraz symbioza najserdeczniejsza!

Mamy więc Festiwal w Lesznie. Zawsze pod koniec kwietnia, gdy wczesna wiosna intensywnie ożywia pamięć. Tegoroczny udał się uczestnikom i twórcom: śpiewało 25 zespołów oraz 23 solistów – razem 161 osób. Patronowała festiwalowi, choć nie nadjechała, prezydentowa Jolanta Kwaśniewska. Poziom muzyczny młodych śpiewaków za-daował jak nigdy dotąd. Znak to, że festiwal krzepnie i staje się liczącą ogólnopolską imprezą muzyczną. I już nie był on taki dziecięcy, bo młodzieży szkół ponadpodstawowych było także sporo. Szkoda tylko, że zabrakło młodzieży z miejscowości o dużym skupieniu lwowian: z Warszawy, ze Śląska (czyżby nie umiał się zdobyć na nic poza bytomską „Pacalychą”?), z Opola, Krakowa, Tarnowa, Przemyśla itd. Jest przecież w kraju tyle szkół „orlęcych”. Tylko nieliczne były reprezentowane przez solistów lub zespoły.

VII Festiwalem zawałdnął Nowy Sącz. To nie przesada, bo w trzech kategoriach wiekowych, a więc we wszystkich, soliści z miasta nad Dunajcem zajęli pierwsze miejsca, a i drugie też były. W śpiewaniu zespołowym również plasowali się wysoko. To rezultat wieloletniej już opieki tamtejszego oddziału TMLiKPW, a szczególnie dra Jerzego Masiora, nad młodzieżą szkolną. Zespoły „My-16” z nowosądeckiej szkoły Orłąt i ze szkoły podstawowej w Maciejowej oraz z IV LO już po raz trzeci są obecne w Lesznie i zawsze wyjeżdżają stamtąd z sukcesami. Tym razem Kasia Patykówna po raz drugi wyśpiewała I miejsce piosenką J. Masiora i A. Porzucka *Powróci wszystko*. Rytm tej piosenki

(*cha-cha*) to zupełna nowość i współczesność w lwowskim śpiewaniu, ale chyba tak trzeba, gdy się chce nim zarazić młodych. W ub. roku Kasia podbiła serca lwowsko-leszczyńskiej publiczności piosenką *Pojeździemy do Janusza* – dedykowaną twórcy festiwalu. W starszej kategorii wiekowej bezapelacyjnie najlepsza była także triumfatorka ubiegłoroczna – Kinga Pancerczówna (l. 13), wykonując z niezwykłym wyczuciem tekstu trudną piosenkę *Chlib kulikowski* Hemmara. Przyznam, że nie słyszałem dotychczas z takim ciepłem i estradowym wdziękiem zaśpiewanej tej piosenki. Kinga jest także utalentowaną flecistką, co mogli widzowie usłyszeć na leszczyńskiej scenie. Muszę dodać, że obie młode wokalistki były już ze mną we Lwowie. Może to im pomaga w śpiewaniu?

W kategorii szkół ponadpodstawowych I miejsce i Grand Prix Festiwalu – przyznawane w tym roku po raz pierwszy jako nagroda Zarządu Głównego TMLiKPW – przyznano Maciejowi Adamczykowi z I LO w Nowym Sączu, a tuż za nim uplasowała się Beata Cwalińska z Technikum Rolniczego w Nawojowej k. N. Sącza, która śpiewała i przygrywała sobie na skrzypcach. Wykonała premierową piosenkę *Zawróćmy więc do słów J. Masiora z muzyką W. Kazaneckiego z serialu Dom*. Jeżeli dodać, że scenarzystą tego popularnego serialu jest J. Janicki, to narodziła się nam w Lesznie nowa lwowska piosenka. Maciek zaśpiewał *Lwów to dla mnie zagranica* R. Kołakowskiego i b. dawną piosenkę, ale rzadko wykonywaną, *Na lwowskim rynku* H. Zbierchowskiego. W konkurencji zespołów II miejsce zajął debiutujący





na festiwalu zespół wokalny „Puellae cantans” z IV LO z N. Sącza. Dziewczęta śpiewały *14-letnich...* – słowa M. Hemara, muzyka A. Porzucka, oraz *Urodzeni we Lwowie* St. Wielanka. Obie piosenki bardzo współczesne, za co rzekomo *jury* dopisywało punkt. Zespołowi, jak i wszystkim śpiewającym z Maciejowej i Nowego Sącza, akompaniował M. Adamczyk na fortepianie.

Na szczególne wyróżnienie zasłużył, zajmując I miejsce w swojej kategorii wiekowej, zespół z Brzegu „Biedronki”, którego śpiew, taniec i stroje były najprzedniejszej marki. Trzy dziewczęta, prowadzone przez p. Jane Koronkiewicz, zaśpiewały *Sensacja, bo kino gra* i *Panie Karolku* – znane przedwojenne piosenki, a wybijająca się głosem i urodą solistka „Biedronek”, Emilka Komornicka, uraczyła widownię sympatycznie wykonaną *Preclarką z Pohulanki*. I miejsce pośród zespołów najstarszych zajął gorzowski „Klaster”, bardzo dobry, dojrzały wokalnie zespół. Zdobył on także Grand Prix Festiwalu, śpiewając piosenki *To było tak* i *Już cię nie spotkam*, co sprawiło autorowi tej notatki szczególną satysfakcję, gdyż jest autorem słów i muzyki do obu utworów. Zadziwiające,



jak daleko i jak szybko współczesne piosenki lwowskie rozchodzą się, ale jest to także *signum temporis*, bo młodzież chętnie sięga po współczesne melodie.

Każdego, kto ma na sercu kultywowanie poprzez piosenkę pamięci o Lwowie, cieszy obecność na leszczyńskiej estradzie dzieci ze szkół podstawowych, dość odległych od większych centrów kultury. Do takich należy zespół wokalny „Iskierki” ze Szkoły Podstawowej w Maciejowej pod Nowym Sączem. To mała połemkowska wieś, ale duch w niej nieomal łyczakowski. Niektóre z dziewcząt były już we Lwowie, a twórczyni zespołu, p. Treresza Waligóro-

## SŁOWNIK GEOGRAFICZNO HISTORYCZNY

*Hasła zawarte w niniejszym numerze odnoszą się do miejscowości, związanych z czynnymi do II wojny historycznymi rezydencjami rodowymi. We wcześniejszych numerach omawialiśmy m.in. Świrz, Radziechów, Rozdół.*

### KOROPIEC

Wieś w pow. tłumackim, woj. tarnopolskim, położona nad rzeką Koropiec, w pobliżu jej ujścia do Dniestru. Na przeł. XIX/XX w. Koropiec liczył ponad 2800 mieszkańców. Parafie obu obrządków katolickich znajdowały się na miejscu.

**Historia.** Do pocz. XVI w. Koropiec należał do dóbr królewskich. Pierwszy kościół parafialny wybudowany tu został w 1421 r. W 1615 r. wieś była już własnością Stefana Potockiego, wojewody braclawskiego. Dziedziczona w rodzinie Potockich przez dwa stulecia, przy końcu XVIII w. nabyta została przez Mysłowskich h. Rawicz. Nowi właściciele w pocz. XIX w. wybudowali klasycystyczny pałacyk. W 2. poł. XIX w. właścicielem był Alfred Mysłowski, zamiłowany hodowca koni i uczestnik wyścigów. Żoną jego była Helena z Młockich, *jedna z uznanych piękności Lwowa*. Ich syn, Alfred jr, sprzedał Koropiec w 1893 r. Stanisławowi Badeniemu, marszałkowi Sejmu galicyjskiego, po nim zaś majątek przypadł najmłodszemu jego synowi, Stefanowi, który był jego właścicielem do 1939 r.

**Zabytki.** Pałac w stylu tzw. *renesansu wiedeńskiego* powstały z przebudowy pałacyku Mysłowskich, dokonanej przez Stanisława Badeniego w latach 1893–1906. Założony na planie wydłużonego prostokąta, trzynastoosiowy, dwukondygnacyjny, o monumentalnej fasadzie frontowej i trzema portykami kolumnowymi. Wewnątrz sufitu zdobione sztukateriami, najbogatszymi na plafonie jadalni. Dekorację ścian sali balowej stanowiły trzy rzędy portretów królów polskich (kopie obrazów Jana Matejki, malowane przez Marcelęgo Maszkowskiego). Ze względu na czas budowy pałacu, cenniejsze meble i dzieła sztuki należały w nim do rzadkości. W latach 1914–20 pałac został gruntownie zdewastowany, zdarto ze ścian wszystkie portrety królewskie, powyrwany z ościeży drzwi



Puellae Cantans z N. Sącza

wa, nawet trzykrotnie. Zdziwiająco, czyżby nadal działały magnetyczne fluidy Miasta nad Pełtwią? Piosenki lwowskie śpiewają także dzieci w Górze, Wolsztynie, Skoraszewicach, które to miejscowości do zbyt dużych nie należą. Wszędzie tam są jesz-

cze lwowianie, którzy młodych do lwowsko-kresowego muzykowania wciągają, zachęcają, sami piszą teksty i melodie, i z tym przyjeżdżają do Leszna. I o dziwo, w dobie głośnego *hard-rocka* i innych opętańczych *metalowych* rytmów, szerzy się po latach przemilczania piosenka rodem z Miasta *zawsze wiernego*, uliczna, batiarska, a niekiedy do bólu serca liryczna – taka, jaka mogła powstawać tylko tam, we Lwowie, bądź z tęsknoty za nim. Mamy więc do czynienia z budującym zjawiskiem: krzepnie kondycja lwowskiej piosenki, a urozmaicają ją rytmy i teksty współczesne. Muzyczne wartości kulturowe naszego Miasta ponownie odżywają – m.in. dzięki Festiwalowi w Lesznie. To dobrze, bo my sami bardzo tego muzykowania potrzebujemy, i jest to także doskonały sposób na przekazywanie pamięci. Co chyba najważniejsze.

## SYLWETKI

### OBROŃCA MORSKIEGO OKA

*W poprzednim numerze zasygnalizowaliśmy ukazanie się – w 65. rocznicę śmierci znakomitego historyka – książki biograficznej o Oswaldzie Balzerze. Wielką tę postać pamiętamy przede wszystkim jako obrońcę Morskiego Oka w Tatrach.*

Oswald Balzer, niezależnie od swojej wybitnej pozycji w dziejach nauki polskiej, jest kolejnym przykładem szybkiego polonizowania się w Małopolsce Wschodniej obcych rodzin. Balzerowie mieli pochodzenie austriacko-niemieckie, byli urzędnikami zaborcy w Żółkwi, Brzeżanach, Chodorowie (gdzie Oswald się urodził w 1858 r.) i Lwowie. Dziadek i ojciec pozostawali jeszcze w kręgu kultury niemieckiej, ale Oswald od samego początku uczęszczał do szkół polskich. Ukończył gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie przy ul. Batorego, studiował prawo i historię na Uniwersytecie Lwowskim (tylko IV rok w Krakowie), habilitował się również we Lwowie. W roku 1887, a więc w wieku 29 lat, został profesorem.

Głównym przedmiotem zainteresowania Oswalda Balzera była historia prawa i państwa polskiego, i w dziedzinach tych pozostawił wielką liczbę ważnych ustaleń naukowych, w większości uznanych przez późniejszych badaczy. Był wybitnym autorytetem, nie tylko naukowym, ale i moralnym. Jego przede wszystkim zasługą było wybronicie Ossolineum, zagrożonego



Oswald Balzer

przeniesieniem po I wojnie do Warszawy. Wielkim dokonaniem Balzera była inicjatywa zorganizowania Towarzystwa Popierania Nauki Polskiej. Jego celem było wydawanie prac naukowych (pod tym względem TPNP wysunęło się na jedno z czołowych miejsc w kraju), zakładanie bibliotek publicznych i inne przedsięwzięcia o charakterze naukowym i oświatowym. W taki sposób realizował Balzer swoją pasję społecznikowską.

A jak to było z Morskim Okiem? Oto przed stu laty (1898) Austria i Węgry – od trzech dziesięcioleci tworzące dualistyczną monarchię pod berłem Habsburgów – rozgraniczały (ze względów porządkowo-administracyjnych) swoje terytoria. Granica między nimi biegła granią łańcucha karpackiego: Galicja (w istocie Małopolska) należała do Austrii, zaś Słowacja i Ruś Zakarpacka do Węgier. W obrębie Tatr Węgrzy bezprawnie wytyczyli granicę nie po grani, lecz Rybim Potokiem (który wypływa z M. Oka). Tak więc zarówno Morskie Oko jak i Czarny Staw miałyby być przepoławione, odcinając wschodnią stronę jezior i doliny (tam, gdzie dziś wzdłuż M. Oka biegnie droga do Czarnego Stawu) – od Galicji, na korzyść Węgier. Było to całkowicie niezgodne z faktami historycznymi i uderzało nie tylko w prawa własności polskich górali, ale i w stan posiadania zniewolonej Polski. Aktywnym obrońcą praw polskich był hr. Władysław Zamoyski, ówczesny właściciel Zakopanego. Jego interwencje u władz wiedeńskich nie mogły jednak przynieść skutku, gdyż rząd Austrii ani Węgier nie zamierzały zajmować stanowiska wobec błahej dla nich sprawy, podczas gdy dla Polaków był to problem narodowej godności i ewentualnych skutków na przyszłość. Zgodzono się przeto na sąd rozjemczy, który podjął rozprawę na gruncie neutralnym – w Grazu, w 1902 r. Przewodniczącym sądu został Szwajcar, a stronę austriacką (czyli „naszą”) reprezentował Aleksander Mniszek-Tchórznicki, prezydent wyższego sądu krajowego we Lwowie. Wspomagał go referent – prokurator skarbu we Lwowie, Wiktor Korn, zaś rolę obrońcy powierzono Balzerowi.

Balzer wykazał olbrzymią znajomość rzeczy, przedstawił i zinterpretował dziesiątki dokumentów od XIII w., uzasadniając prawo Polaków do spornego terytorium.

i okna. W okresie międzywojennym pałac został przywrócony do stanu pierwotnego, nie odtworzono tylko portretów królewskich.

Park krajobrazowy otaczający pałac rozciągał się na powierzchni blisko 200 ha. Ostateczny wygląd nadał mu Arnold Roehring, twórca Parku Stryjskiego we Lwowie. Utrzymaniem parku zajmowało się 30 ogrodników. Do parku przylegały rozległe plantacje drzew morelowych i orzecha włoskiego.

**Czasy obecne.** W Koropcach czynny jest kościół parafialny pw. św. Mikołaja, do którego dojeżdża ks. infułat Ludwik Rutyna z Buczacza.

(M.T.)

#### MIKULIŃCE

**Położenie.** Miasteczko w pow. i woj. tarnopolskim, nad Seretem, w odległości 25 km na płd. od Tarnopola i 4 km od linii kolejowej Tarnopol-Kopyczyńce. W latach międzywojennych liczyło ponad 3600 mieszkańców. Pracowały tu młyny, browary, gorzelnia, fabryka octu. Odbывały się targi bydła.

**Historia.** Początki Mikuliniec związane są z osobą Anny z Sieniawskich, żony Wawrzyńca Spytka Jordana, która ok. połowy XVI w. wybudowała warowny zamek na płn. od istniejącej tu osady, na cyplu ujętym półkołem rzeki. Dzięki jej staraniom, na mocy przywileju króla Zygmunta III, Mikulińce otrzymały w 1595 r., miejskie prawo magdeburskie. Jednocześnie król ustanowił trzy jarmarki roczne oraz uwolnił mieszkańców na lat 10 od wszelkich podatków i cel. Po śmierci Anny Jordanowej Mikulińce przypadły jej córce Zofii, żonie Samuela Zborowskiego. Następnie dziedzicem został syn Zborowskich, Aleksander, wsławiony męstwem w czasie wojen moskiewskich. Obrął on sobie na stałą siedzibę zamek mikuliniecki, który przeżywał wówczas najświetniejszy okres w swoich dziejach. W 1634 r. odkupił Mikulińce wraz z zamkiem od spadkobierców Zborowskiego Stanisław Koniecpolski, hetman w. kor. Podczas wojen kozackich zamek został zdobyty i zniszczony, odbudował go jednak wkrótce syn Stanisława, Aleksander Koniecpolski. W 1674 r. Turcy oblegli zamek i gdy po piętnastodniowej obronie załoga złożyła broń, większość jej wymordowali, część zaś uprowadzili wraz z mieszkańcami miasteczka. Od Koniecpolskich Mikulińce przeszły na Sieniawskich, od nich na Lubomirskich. Ok. poł. XVIII w. klucz mikuliniecki zakupiła Ludwika z Mniszchów Potocka. Na jej prośbę August III odnowił przywilej lokacyjny dla Mikuliniec, gdyż pierwotny dokument zaginął. Ludwika Potocka ufundowała w Mikulińcach kościół parafialny i powierzyła opiekę nad nim sprowadzonym przez siebie księżom wincentynom (misjonarzom). Obsługiwali oni parafię w latach 1780-85, opiekując się jednocześnie

Posługiwał się ponadto argumentami logiki, potwierdzonymi wizją lokalną. Mimo początkowej przychylności sądu dla racji węgierskich, argumentacja Balzera, podparta nieprzeciętnymi umiejętnościami i wiedzą, zwyciężyła bez reszty.

Sprawa o Morskie Oko – z pozoru drobna, lokalna – miała jednak wielkie znaczenie, bo przyczyniła się do ugruntowania w społeczeństwie polskim przekonania, że znajdujący się pod obcym panowaniem naród może skutecznie bronić – opierając się na historycznym prawie do swojej ziemi – stanu swego posiadania przed zakusami innych narodów. Nie przypadkiem bohaterem sprawy stał się lwowianin. Szkoda, że tak mało mamy Balzerów (i Romeków).

Na koniec ciekawostki: prof. Oswald Balzer mieszkał we Lwowie przy ul. Zyblikiewicza 24. Jego imię otrzymała w latach trzydziestych pobliska ulica Kącik, łącząca ulice Zyblikiewicza i Jabłonowskich, a w Zakopanem – droga prowadząca z Bystrego ku Morskiemu Oku.

Bronisław Bober

## Wanda Czartoryska

Nazwisko księżniczki Wandy Czartoryskiej przewinęło się ostatnio przez media polskie i zagraniczne. Zbczeszczenie jej grobu na Łyczakowskiej nekropolii wzburzyło opinię publiczną w całej Polsce, a także we Francji, Anglii, Niemczech, Austrii i wielu innych krajach, w których rodzina Czartoryskich ma szerokie i głębokie powiązania.

Księżniczka Wanda urodziła się w 1862 r. w Wiedniu, jako córka ks. Jerzego Konstantego Czartoryskiego (1828–1912), właściciela dóbr Pełkinie k. Jarosławia. Była wybitną działaczką narodową i społeczną, a jej główne zainteresowanie kierowało się w stronę przygotowania kobiet polskich do pracy gospodarczej, wówczas zacofanej. Była organizatorką i prezeską szeregu organizacji włościanek i ziemianek, a przede wszystkim Towarzystwa Gospodarczego Wykształcenia Kobiet we Lwowie (1908). Organizacja ta powołała do życia wiele szkół dla gospodyń wiejskich, m.in. w Tłumaczu, Olesku, słynnej szkoły w Albigowej. Ukoro-



Grobowiec ks. Wandy Czartoryskiej na Cmentarzu Łyczakowskim. Na trójkątym zwieńczeniu pod krzyżem widać napis wykuty na nowo – po aferze. Po starym, skutym napisie pozostały dwa widoczne pasy z resztkami liter. Obok płyty zamykającej – dwie białe tablice kamienne nowych „lokatorów”, których tu wsadzono za przyzwoleniem dyrekcji cmentarza-„muzeum”.

nowaniem starań Czartoryskiej było powstanie w 1913 r. Seminarium Gospodarczego (nazwanego później Instytutem Gospodarczego Kształcenia Kobiet) w Snopkowie pod Lwowem (dziś we Lwowie) – na jej utrzymanie ofiarowała folwark Bielosko i duże sumy pieniężne. Współinicjatorką i najbliższą współpracownicą Czartoryskiej była Janina Karłowiczówna. „Snopkowiarki” zasłynęły jako wytrawne gospodynie, nauczycielki i organizatorki pracy kobiet polskich (o IGKK czytaj w artykule Marii Gumińskiej w tym numerze).

W czasie I wojny ks. Wanda działała aktywnie w „Opiece nad żołnierzami polskimi”. Pracowała w szpitalach, organizowała zaopatrzenie wojska w żywność. Za zasługi otrzymała najwyższe odznaczenia polskie i lwowskie. Zmarła w 1920 r.

Przypomnijmy jeszcze, że Wanda Czartoryska była wnuczką ks. Konstantego

(1773–1860), prawnuczką Adama Kazimierza (1734–1823) i Izabeli z Flemingów (1745–1835) Czartoryskich. Księżę Adam Jerzy, „niekoronowany król” Wielkiej Emigracji w Paryżu i właściciel Hotel Lambert, był bratem dziadka ks. Wandy, Konstantego. Czartoryscy po utracie Puław (skonfiskowanych przez carat) osiedli w Małopolsce – ówczesnej Galicji – w Sieniawie k. Jarosławia.

Brat ks. Wandy, Witold Czartoryski, związał się z Małopolską Wschodnią, przez małżeństwo z hr. Jadwigą Dzieduszycką, córką ordynata na Poturzycy (k. Sokala). Jedno z ich jedenaściorga dzieci, syn Kazimierz (1892–1936), żeniąc się z hr. Heleną Skrzyńską, objął dobra Żurawno k. Żydaczowa (miejsce urodzenia Mikołaja Reja). Inny syn ks. Witolda to dobrze pamiętany w Krakowie ksiądz infułat Stanisław Czartoryski, kanonik przy katedrze na Wawelu (1902–1982).

Dodajmy, że ród Czartoryskich jest skologiacony z większością rodzin królewskich, cesarskich i książęcych Europy, w tym z Bourbonami francuskimi (ks. Małgorzata z Bourbon-Orleans, wnuczka króla Ludwika Filipa, spoczywa w Sieniawie) i hiszpańskimi oraz Habsburgami austriackimi. Także z polskimi rodzinami królewskimi.

Do łyczakowskiego grobowca księżniczki Wandy, której osoba niosła tradycje historyczne Polski i Europy (a przecież także Rusi) oraz własne wielkie zasługi dla kraju – „wprowadzili się” intruzi, nastłani przez *dyrektora cmentarza-muzeum*. W takich rękach jest teraz miasto, jego zabytki (Czarna Kamienica!), cmentarz...

Karol Odrycki

## WIELKA DAMA SCENY

W kwietniu minęła 90. rocznica śmierci Heleny Modrzejewskiej, wielkiej aktorki polskiej i amerykańskiej. Urodziła się w 1840 r. w Krakowie w rodzinie artystów. Jako młoda dziewczyna przystała do trupy aktorskiej, ale jej debiut na prawdziwej scenie miał miejsce we Lwowie w r. 1862, gdzie została zaproszona przez dyr. Nowakowskiego. W późniejszych latach, już jako sławna aktorka, wielokrotnie występowała w teatrze

dawnym drewnianym kościołem. Potocka również *nad miastem wspaniała wystawiła pałac*. W testamencie zapisała Mikulińce swemu bratankowi, Józefowi Mniszchowi. Po jego śmierci przed 1799 r. sprzedali dobra Piotrowi Konopce h. Nowina, który dorobił się znacznego majątku jako zarządca kopalni soli w Wieliczce i Bochni.

W 1801 r. Piotr Konopka podarował Mikulińce wraz z przedmieściami Wolą Mazowiecką i Wolą Krzywicką oraz okolicznymi wsiami swemu synowi Janowi. Nowy właściciel dokładał wielkich starań, by podnieść miasto pod względem gospodarczym. W Woli Krzywickiej, której nazwę zmienił na *Konopkówkę*, urządził w latach 1820–22 zakład kąpielowy przy źródle siarczanym, znanym od 1628 r. Wybudował łaźienki, dom zdrojowy i inne budynki potrzebne do funkcjonowania zdrojowiska. Zakład cieszył się przez pewien czas dużym powodzeniem jako jedyny na terenie Podola. Podupadł po rozbudowie linii kolejowej, umożliwiającej wyjazdy do wód zagranicznych. W 1828 r. Konopka założył w zamku mikulinieckim fabrykę sukna, która wszakże z powodu kłopotów z transportem i konkurencji fabryk austriackich szybko upadła. Wspólnie z żoną, Józefiną z Miączyńskich, założył w Mikulińcach warsztaty koronkarskie, których wyroby były szeroko znane i cenione na całym Podolu. Sprowadził wreszcie do Mikuliniec kolonistów niemieckich i nadał im grunta na założenie gospodarstw sadowniczo-warzwywnych. Za czasów Jana Konopki działalność handlową rozwinęli miejscowi Żydzi, którzy zajęli się eksportem włókna konopnego oraz miodu i wosku. Wysyłali także duże ilości jaj kurzych do Hamburga i Anglii. Ponieważ małżeństwo Konopków było bezdzietne, Mikulińce odziedziczyła po nich bratanica Józefina, Stefania z Miączyńskich, żona Kazimierza Konopki, bratanika Jana. Kolejno majątek przypadł ich córce Józefie, żonie Mieczysława Reya z Przeclawia, posła do Sejmu Krajowego, działacza społecznego. Po owdowieniu Józefa wraz z córką Heleną prowadziła założony i utrzymywany przez siebie szpital w Mikulińcach.

**Zabytki.** Kościół pw. Trójcy św., ufundowany przez Ludwikę Potocką, zbudowany w latach 1761–79, wg wykonanego przez Augusta Moszyńskiego projektu, wzorowanego na Hoffkirche (kościół dworski) w Dreźnie, dzieło Gaetano Chiaveriego. Trójnawowy, z fasadą zarysowaną linią wklęsło-wypukłą, ozdobioną kamiennymi rzeźbami, w części środkowej przechodzącej w wieżę. Wyposażenie stanowił zespół ołtarzy drewnianych i ambona sprzed 1779 r. Rzeźby ołtarzowe wykonał malarz Marcin Twardowski, snycerz mikuliniecki. W 1859 r. po pożarze kościoła otrzymał nowy dach gontowy. Polichromia wnętrza powstała zapewne w cza-

lwowskim. Ostatnie lata życia spędziła w Stanach Zjednoczonych i tam grała w języku angielskim. Zmarła w Kaliforni, ale pogrzeb odbył się w Krakowie, na cmentarzu Rakowickim. Już wcześniej wystawiła sobie tu grobowiec, którego realizację zleciła lwowskiemu budowniczemu Michałowi Opidowi.

Pogrzeb Modrzejewskiej był niezwykle uroczysty. W czasie mszy św. w kościele św. Krzyża śpiewał chór opery lwowskiej. Kondukt pogrzebowy, w którym kroczyła także reprezentacja lwowskiego teatru i opery, zatrzymał się przed pobliskim Teatrem im. Słowackiego, gdzie przemawiali dyrektorzy trzech teatrów *stołecznych* (jak je wtedy nazywano): krakowskiego – Ludwik Solski, lwowskiego – Ludwik Heller i warszawskiego – Józef Kotarbiński.

Helena Modrzejewska była żoną hr. Karola Chłapowskiego. Wcześniej, w związku z Gustawem Zimajerem, miała syna Ralfa Modjeskiego (pod tak przekształconym nazwiskiem występowała artystka w USA), wybitnego inżyniera amerykańskiego.



Helena Modrzejewska

## Z TAMTEJ STRONY

### NA POZĄTKU MAJA WE LWOWIE

W dniach 1–5 maja przebywała we Lwowie delegacja zarządu krakowskiego oddziału TMLiKPW w osobach: prezes Andrzej Chłipalski, wiceprezes Jerzy Żuk, członek zarz. Kazimierz Pieszczyński oraz przewodniczący kom. rew. Edward Adles. Były dwa główne cele wyjazdu: zorganizowanie dalszego ciągu tegorocznych prac na Cmentarzu Łyczakowskim oraz rozmowy z zarządem Towarzystwa Kultury Polskiej na tle aktualnych wydarzeń oraz akcji pomocowych. Był i trzeci: udział na zaproszenie lwowskiego Towarzystwa – w uroczystości trzeciomajowej. A więc po kolei.

Na Cmentarzu Łyczakowskim uzgodniono prace *ratunkowe* na polach 7, 8, 13 i 15. Jak pamiętamy z ubiegłych lat, prace te polegają głównie na: ● uzupełnianiu na grobach i nagrobkach zrzuconych (lecz przeważnie odnajdowanych w bezpośrednim otoczeniu) detali: figur, krzyży, nadbudówek, zwieńczeń itp., ● zamykaniu płytami odemkniętych grobowców, ● prostowaniu przechylonych nagrobków, obelisków, stell (co grozi ich upadkiem), oraz ● karczowaniu dzikich drzewek i krzewów, wyrastających z grobowców lub tuż obok nich (bo rozsadzają mury).

Oprócz powyższych prac, powierzonych grupie ludzi, związanych z Katedrą (a kierowanych przez p. Nuckowskiego, dotychczasowej prawej ręki ks. Andrzeja Baczyńskiego, który wyjechał na 3-letnie studia do Rzymu), zlecono fachowcowi remont i zabezpieczenie przed obsunięciem ze skarpy trzech obiektów: grobowca i dwóch nagrobków, w tym Mieczysława Potockiego, oficera z 1863 r. i konserwatora pomników w Galicji.

Będąc na Łyczakowie, nie można było nie odwiedzić Orłąt. Praca wtedy wrzała przy odbudowie katakumb i związanych z nimi elementów tzw. *małej architektury*: murów oporowych, schodów i balustrad, by wykorzystać dobrą pogodę – tę meteorologiczną



Chodząc głównymi alejami Cmentarza Łyczakowskiego, odnosi się wrażenie względnie dobrego stanu jego obiektów. Wystarczy jednak wejść w chaszczę, aby oczom ukazał się tragiczny obraz rzeczywistości

i tę w przenośni. Była to jednak cisza przed burzą, bo na chwilę przed naszym przybyciem pojawił się tam dyrektor Łyczakowskiego cmentarza-muzeum Hawryszkiewicz, gdy doniesiono mu, że ekipa Energopolu wyjęła ze ścian katakumb resztki zniszczonych płaskorzeźb aniołów (między arkadami). Pofatygował się więc, by kategorycznie zabronić osadzania wykonanych na nowo płaskorzeźb – należy odnowić stare. A jak to zrobić, skoro ich rzeźbiarska warstwa została skuta, gdy katakumby zamieniano na warsztat kamieniarski – nie interesuje go. Chodzi przecież tylko o to, by podobnie niedorzecznymi zakazami i nakazami denerwować pracujących Polaków i utrudnić im pracę.



sie remontu kościoła w 1891 r. W r. 1929 przeprowadzono gruntowną restaurację kościoła pod kierunkiem prof. Witolda Minkiewicza i inż. Adama Mściwujewskiego. Po II wojnie kościół służył kolejno za koszary, welodrom, magazyn zbożowy, pokątny dom publiczny, magazyn soli do posypywania dróg.

Klasztor ks. Misjonarzy, fundowany ok. 1780 r. przez L. Potocką, murowany z cegły, piętrowy, z mansardowym dachem i klasycystyczną fasadą od strony ogrodu. Obecnie zdewastowany. Na wschód od kościoła dawny cmentarz z resztkami nagrobków.

Pałac, powstały przez gruntowną przebudowę pałacu L. Potockiej, dokonaną w latach 20. lub 30. XIX w. w stylu późnego *empire*. Składa się z korpusu środkowego i dwóch oficyn bocznych, połączonych z nim galeriami, tworząc razem kształt podkowy. Wnętrze mieściło wiele dzieł sztuki (portrety rodzinne, brązy, srebra, porcelana), bogato zaopatrzoną bibliotekę i archiwum rodzinne. W latach 1918–20 pałac został spalony, a lewa oficyna spalona. Po 1920 r. zamieszkała była tylko część pałacu, urządzona resztkami dawnego wyposażenia.

Ruiny zamku, zbudowanego ok. poł. XVI w. przez Annę Jordanową, odbudowanego po zniszczeniu przez Turków w 1674 r. Była to budowla z kamienia łamanego, czteroskrzydłowa, na rzucie kwadratu (długość boków 74 m), o 2-metrowej grubości murów, dwukondygnacyjna, z basztami okrągłymi na trzech narożnikach i czwartym, wzmocnionym skarpą. Pośrodku zach. skrzydła była półkolistie sklepiona brama wjazdowa, druga podobna w skrzydle wsch.

W rynku były niegdyś kolumnowe dworki. Kamienie graniczne z XVIII w. w kształcie krzyży.

**Czasy obecne.** Kościół parafialny poddany remontowi i otwarty na nowo w 1989 r. Obecnie proboszczem jest ks. Piotr Brzeski, któremu pomagają ss. niepokalanki. (M.T.)

#### PIENIAKI

Wieś w pow. brodzkim, woj. tarnopolskim, położona 22 km na pld. od Brodów, nad jednym z ramion Seretu, który rozlewa się tu, tworząc staw, 335 m n.p.m. Wieś liczyła poniżej 1500 mieszkańców.

**Historia.** Przez kilka wieków Pieniaki były siedzibą rodziny Bielskich h. Jelita. Zbudowany przez nich zamek obronny został w XVIII w. przebudowany przez Antoniego Bielskiego, łowczego koronnego, na wielkopańską rezydencję pałacową, odpowiadającą jego stylowi życia. Na terenie pałacowego parku znajdowała się kaplica dworska, którą po spaleniu się miejscowej cerkwi, A. Bielski oddał w użytkowanie miejscowej ludności greckokatolic-



Katakumby na Cmentarzu Orłąt – między arkadami widać wewnątrz w murze, z których usunięto resztki zniszczonych płaskorzeźb aniołów. W to miejsce mają wejść wykonane na nowo płyty z płaskorzeźbami. Na stropie widać ułożone elementy gzymsu, przeznaczone do wbudowania



Elementy gzymsu, przywiezione do Lwowa z Warszawy. Dawny gzyms został całkowicie skuty, gdy za sowieckich czasów nadbudowywano katakumby na pracownię kamieniarską



Pobieranie ziemi z grobu Rarańczyków w dn. 2 maja, w celu złożenia jej pod pomnikiem Piłsudskiego w Katowicach. Na zdjęciu: E. Adles (TMLiKPW, Kraków), E. Cydzik, prezes Pol. Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowych we Lwowie, inż.inż. Balcerzak i Włingralek, kierownicy odbudowy Cmentarza Orłąt z Energopolu, Warszawa. Zdjęcie wykonał A. Chlipalski



Miejsce po rozebranych kamienicach na pl. Mariackim we Lwowie

Warto przy okazji nadmienić, że następną noc (2/3 maja) wymalowano znowu antypolski napis przy bramie szkoły św. Marii Magdaleny.

Z Zarządem TKPZL – z prezesem Emilem Legowiczem na czele i kilkoma innymi działaczami – spotkano się w ich lokalu przy Rynku 17. Poruszano wiele kwestii: – akcji charytatywnej dla osób wymagających szczególnej pomocy i opieki – we Lwowie i na prowincji – braku pozytywnej współpracy między tamtejszymi organizacjami oraz szansy mediacji z naszej strony, – trudności materialnych w codziennej pracy zarządu Towarzystwa. Delegacja z Krakowa podejmie starania o wyjaśnienie i sukcesywne rozwiązywanie wymienionych problemów przez kompetentne instytucje lub przy ich pomocy.

Sympatycznym uwieńczeniem 5-dniowego pobytu we Lwowie była obecność na pięknej akademii z okazji święta 3 Maja. Sala (na kilkaset osób) była wypełniona po brzegi przez lwowian starych, średnich i młodych oraz gości miejscowych i przyjezdnych. Część oficjalna była krótka: przemówił prezes Legowicz i konsul generalny Piotr Konowrocki, który swoje wystąpienie zakończył dekoracją trzech osób: p. Adama Chłopka z Drohobycza Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta, p. Stanisławy Kalenowej ze Lwowa Krzyżem AK oraz ks. Gerarda Liryka z Rudek Odznaką Zasłużonego dla Kultury Polskiej.

Program wieczoru był niezwykle różnorodny: śpiew chóralny (lwowskie chóry „Echo” i „Lutnia”, a po przerwie Chór Nauczycielski z Poznania), deklamacja poezji w wykonaniu młodzieży z obu szkół pol-





skich (w tym piękny program Teatru „Baj” ze szkoły MM), rozczulający występ grupy przedszkolaków. Poloneza i nasze tańce ludowe zaprezentował zespół „Lwowiacy”, a na końcu nowoczesny układ taneczny – zespół ze szkoły MM.

Członkowie delegacji wykorzystali niedzielę na całkiem prywatną wycieczkę w piękne Miodobory. Po drodze zatrzymaliśmy się w Skalacie, gdzie rozmawiano z młodym proboszczem, ks. Romanem Stadnikiem. Ale o tym już innym razem.

Kazimierz Selda

## Wydarzenia

■ „Gazeta Krakowska” (21 V 99) opublikowała **rozmowę z Andrijem Pawłyszynem**, historykiem i publicystą, redaktorem kwartalnika „Ji”, zatytułowaną *Lwów – wspólne dziedzictwo*, a przeprowadzoną przez Marka Lubasia-Harnego. Pawłyszyn ma dość rozsądne spojrzenie na sytuację Lwowa po zniszczeniu w nim polskości. Mówi:

– *Kiedy byłem dzieckiem, czułem się zagubiony, czegoś mi w tym mieście brakowało. Kiedy dorosłem, zrozumiałem, że brakowało mi Polaków. Jak po wybuchu bomby neutronowej. Miasto zostało, ludzi nie ma. [...] Kiedy zostali ze Lwowa wypędzeni Polacy, na ich miejsce przyszła rosyjskojęzyczna elita komunistyczna i setki tysięcy biednych wieśniaków ukraińskich [...] miasto było dla nich obce. Dużym wysiłkiem próbowali przystosować się do nowych warunków życia. Obawiali się, że wrócą starzy gospodarze i wyrzucą ich na zbity łeb. Więc ich słuchali, kiedy ich pouczano, że Polacy są źli, agresywni, zaborczy, że lubią się panoszyć, pastwić nad prostym ludem. [...] Ale przyznaję, że ten stereotyp funkcjonuje do dziś, choć zrećnie ukrywany.*

kiej. Nową kaplicę dworską urządzono wówczas w pałacu. Córka Antoniego Aniela, wychodząc w 1784 r. za mąż za Ignacego Miączyńskiego, wniosła mu Pieniaki w wianie. Miączyński dokupił od swego krewnego Michała Ronikiera dobra założenie i połączył oba majątki w jedną całość o pow. 13 000 ha, tworząc tzw. *Państwo Pieniaki*. Jego dziełem była rozbudowa pałacu A. Bielskiego wg projektu Dominika Merliniego. Nadbudowano wówczas piętro i wzniesiono dwa skrzydła boczne. We wnętrzu 9 sal miało dekorację stiukową, projektowaną przez Jana Chrystiana Kamsetzera. Pałac w Pieniakach był jednym z lepszych przykładów architektury neoklasycyzmu w Polsce. Znajdowała się w nim cenna kolekcja malarstwa europejskiego, licząca 450 płócien, której większość w pocz. XX w. została przeniesiona do pałacu Dzieduszyckich we Lwowie. Zamiłowany kolekcjoner, Miączyński miał tu także zbiory dawnego uzbrojenia, porcelany i fajansów z manufaktur zagranicznych i polskich, oraz zegarów. Ignacy Miączyński przeprowadzał w Pieniakach pewne reformy gospodarcze. Zbudował groblę zaporową na Serecie, który tworzył tu sieć stawów. Podniosło się przez to lustro wody, zalewając mało podatne do uprawy łąki i powiększając w ten sposób obszar stawów. Aniela Miączyńska w 1814 r. erygowała i uposażyła parafię rzym.kat.

W posiadaniu Miączyńskich Pieniaki pozostały przez dwa pokolenia. W 1853 r. jako posag Alfonsyny Miączyńskiej przeszły do rodziny jej męża, Włodzimierza Dzieduszyckiego. W jego czasach we wsi założona została jednoklasowa szkoła z polskim i ruskim językiem nauczania oraz szkoła koronarska dla dziewcząt. Nad stawem stanął młyn wodny. Rozwinęło się pszczelarstwo: na terenach dworskich znajdowały się pasieki, w których było łącznie 1000 pni pszczół. We wsi rozwijało się tkactwo i garncarstwo. Jako wiano córki Dzieduszyckiego, Marii, zamężnej za Tadeuszem Cieńskim h. Pomian, Pieniaki przeszły na dwa pokolenia w posiadanie Cieńskich. Syn Tadeusza, Stanisław, ożeniony z ks. Marią Jabłonowską z Bursztyna, był ostatnim właścicielem Pieniaki, do września 1939 r. W okresie międzywojennym właściciele mieszkali w małym dworku, gdyż w sierpniu 1916 r. pałac z całym wyposażeniem spłonął od pocisku podczas walk między wojskiem rosyjskim i austriackim.

**Zabytki.** Kościół parafialny, murowany, w stylu klasycystyczno-barokowym, wybudowany w 1814 r., fundowany przez Anielę Miączyńską. Plebania murowana, parterowa, z czterokolumnowym portykiem, tej samej fundacji. Dawna kaplica dworska, zamieniona przez A. Bielskiego na cerkiew.

Pałac uległ całkowitemu unicestwieniu w czasie wojny i po II wojnie. (M.T.)

I dalej: ... *nie mogę się pogodzić z tym, że mój naród zrobił coś takiego. Jesteśmy sprawcami dwóch wielkich zbrodni. Pierwsza to rzeź Żydów za czasów Chmielnickiego, druga to wymordowanie 80 tysięcy [? O wiele, wiele więcej – przyp. red.] Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. To wielki psychiczny ciężar dla Ukraińców, nawet takich jak ja, korzystających z przywileju późnego urodzenia. To piętno, które nie daje nam ruszyć dalej. [...] Trudno myśleć o budowaniu przyszłych stosunków z Polakami, bez rozliczenia przeszłości.*

I jeszcze dalej: *Myślę, że Lwów mógłby stać się takim miejscem, które zaczęłoby Polaków i Ukraińców łączyć, zamiast ich dzielić. Trzeba pamiętać i to, że założył go ruski książę, i to, że Polacy tchnęli w niego ducha.*

Mowa jeszcze o paru innych rzeczach, ale trudno przepisywać cały artykuł – wybraliśmy to, co uważaliśmy za szczególnie w wypowiedzi młodego Ukraińca. Trzeba powiedzieć, że jest ona rozsądniejsza niż wymądrzania niektórych naszych europejczyków.

■ **Nacjonalistyczne szaleństwo we Lwowie trwa.** Każdy tydzień przynosi potwierdzenie, że wszelkie uzgodnienia, umowy, obietnice – są funta kłaków nie warte. Władze kijowskie przysyłają swoich pełnomocników, a administracja lokalna wydaje uchwałę za uchwałą, kwestionując decyzje tamtych i wymyślając coraz to nowe, idiotyczne wymagania lub zakazy. W maju – piszemy o tym wyżej – nie pozwolili wmontować płaskorzeźb aniołów i gzymsów na nowo wykutych (trudno zrozumieć dlaczego, skoro dawne zostały zniszczone za sowieckich czasów). Potem słynna afera z napisem na płycie. Z początkiem czerwca *radni* postanowili, iż roboty przejmie firma ukraińska (w dodatku podobno na koszt ukraińskiej administracji) w miejsce Energopolu, choć przed paroma miesiącami to wykluczili. Chcą ponadto egzekwować usunięcie nazw pól bitew na pylonach. I tak dalej.

To wszystko, co demonstrowa tzw. *rada miejska*, trudno inaczej określić niż infantylizm. W rękach takich ludzi jest takie wspaniałe miasto. Wszyscy widzą – nie tylko o Cmentarz Orłąt chodzi.

■ Z okazji święta Piotra i Pawła (29.06) odbył się w Przemyślanach odpust, na który udała się z Rzeszowa pielgrzymka, zorganizowana przez tamtejszy PKS. Przedsiębiorstwo to bowiem świadczy wydatną pomoc przy remoncie kościoła przemysłańskiego, który – jak dobrze pamiętamy – była fabryka parasolek! Mszę św. celebrował ks abp Marian Jaworski. Proboszczem w Przemyślanach jest ks. Piotr Smolka.

## POLACY z POLAKAMI

### DZIESIĄTKA Z SIÓDEMKA

*Nasi Czytelnicy pamiętają zapewne relację w CL 2/98 ze znakomitego koncertu, jaki krakowskie VII Liceum im. Z. Nałkowskiej zorganizowało w styczniu '98 na rzecz lwowskiej Szkoły Nr 10 im. Marii Magdaleny. Piękna ta impreza zapoczątkowała przyjaźń i współpracę między oboma liceami.*

W październiku '98 do Lwowa udała się 17-osobowa grupa młodzieży (+2 opiekunów) z przedmaturalnej klasy „Siódemki”. Mieszkali u swych rówieśników, a tamtejszej Szkole ofiarowali fax, telefon, 500 czekolad, książki i materiały dydaktyczne. Na przełomie X/XI '98 nastąpiła rewizyta – do Krakowa przyjechało 17 uczennic i uczniów (+3) z „Dziesiątki”, a po paru tygodniach przybył jeszcze teatrzyk „Baj”. „Siódemka” ofiarowała swym gościom podręczniki do jęz. polskiego i historii, zakupione dzięki pomocy finansowej (2000 zł) Urzędu Miasta Krakowa. W kwietniu tego roku następną klasą przedmaturalną z Krakowa (16 ucz. + 2 opiek.) złożyła wizytę we Lwowie.

Cieszymy się z tych kontaktów, które przynoszą korzyść obu stronom. Dowodem tego są wypracowania młodzieży z krakowskiego liceum (po pierwszym pobycie), z których dwa obok publikujemy. Pan dyrektor Wojciech Zagórny obiecał nam kolejne, z tegorocznego wyjazdu. A może lwowscy uczniowie i uczennice spisaliby swoje wrażenia z Krakowa? Prosimy o to Panią dyr. Martę Markuninę – chętnie je także wydrukujemy.

Maria Klara Bohomolec

■ *Jedziemy do Lwowa! Na pewno? Naprawdę? Czy znowu nie okaże się, że wyjazd zostanie odwołany? Nie, to pewne, już ustalone. Wszelkie formalności są załatwione, możemy jechać. Do Lwowa, do tego miasta, o którym wiemy tak wiele-niewiele. Do Lwowa, do tamtych ludzi, ulic, kawałka historii. Ostatnie przepakowywanie bagaży i ruszamy.*

*Oczekiwanie, obawa, niepewność? Nie wiem, jak można określić uczucia, które towarzyszyły mi w tej podróży. Bo przecież nie był to taki sobie zwykły wyjazd. Nie mogłam potraktować mojego pobytu we Lwowie tak samo jak innych wycieczek. Oprócz możliwości zobaczenia wspaniałych zabytków, zwiedzenia ciekawych miejsc, wysłuchania opowieści przewodnika – by wrócić do domu z aparatem pełnym zdjęć – ten wyjazd miał jeszcze coś. Był czymś więcej. Był powrotem do przeszłości, tradycji, do bardzo odległych dla mnie lat, znanych mi tylko z opowieści mojej babci. I dlatego też bardzo chciałam być (co po części udało mi się zrobić) w tych wszystkich miejscach, gdzie przed pięćdziesięcioma paroma laty była moja babcia. Chciałam zobaczyć jej kamienicę, stanąć przed domem, w którym mieszkała, by móc jej powiedzieć, że jeszcze jest, nadal stoi tam, gdzie stał. Chciałam wejść do kościoła św. Elżbiety, do którego miała tylko kilka kroków. Spacerować po przepięknym parku Stryjskim, być na Wólce. W każdym z tych miejsc natychmiast wracały w pamięci wspomnienia babci.*

*Lwów jest cudownym miastem i przykro patrzeć, jak niszczeje. Wszystko: stare miasto, kościoły [...], kamienice, budzą podziw i żal, że wszystko obraca się w ruinę. Podsuwa wspomnienia o wielkich Polakach, popycha w głęboką zadumę nad losem i historią na wpół magiczny cmentarz Łyczakowski. Uświadamia niektórym, czym jest heroizm, patriotyzm i kto mógł się na to zdobyć. A zarazem jak bardzo jesteśmy bezsilni – my, zwykli ludzie, wobec odgórnych zarządzeń, wobec decyzji z wysokiego szczebla, wobec panującej sytuacji – Cmentarz Obrońców Lwowa. Moje spotkanie ze Lwowem nie było zwykłym przeżyciem. Na każdym kroku, pomimo nieustannej antypolskiej polityki, gdziekolwiek skierowałam wzrok – zewsząd biła polskość tego miasta. Chciałam jak najwięcej zobaczyć, usłyszeć i zapamiętać z tego specyficznego miejsca.*

*Jestem pełna szacunku, podziwu i wdzięczności dla tych cudownych, przesympatycznych*

## POTURZYCA

Wieś w pow. sokalskim, woj. lwowskim, położona 3,5 km na płd. od Sokala, nad Bugiem. W latach międzywojennych było tu ponad 1300 mieszkańców. Ludność trudniła się młynarstwem i eksploatacją lasów.

**Historia.** Do rozbiorów wieś stanowiła część dóbr królewskich starostwa sokalskiego. Od 1750 r. starostą był Kazimierz Poniatowski, który w Poturzyca urządził hodowlę koni. Ze względu na stadninę osiadł nawet w latach 1759–61 w Sokalu, w końcu jednak sprzedał ją Antoniemu Tyzenhauzowi. W pocz. XIX w. (a więc po rozbiorach) Józef Kalasanta Dzieduszycki h. Sas wyprocesował dawne starostwo sokalskie jako rekompensatę za skonfiskowane przez rząd austriacki dobra rodzinne na Podkarpaciu, i choć miał jeszcze inne majątki, postanowił osiąść w Poturzyca i zamieszkał tam w 1812 r. Był zbieraczem zabytków piśmiennictwa narodowego i jego księgozbiór dał początek słynnej bibliotece poturzyckiej. W 1830 r. rozpoczął budowę pałacu, która nie została doprowadzona do końca, gdyż Dzieduszycki dostał w spadku klucz zarzecki pod Jarosławiem i gotową rezydencję, do której się przeniósł, pozostawiając bibliotekę na miejscu. Po jego śmierci majątki odziedziczył jego syn Włodzimierz, znany przede wszystkim jako założyciel przyrodniczego Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie. Powiększał nadal zbiory biblioteczne, a w 1857 r. przeniósł księgozbiór liczący wówczas 14 000 tomów, głównie starodruków, do Lwowa i umieścił w pałacu Dzieduszyckich przy ul. Kurkowej, gdzie badacze mieli łatwiejszy dostęp. Fundusze na utrzymanie biblioteki i muzeum zapewniała utworzona przezeń ordynacja poturzycko-zarzecka, zatwierdzona w 1855 r. Ponieważ Dzieduszycki ze swą żoną, Alfonsyną Miączyńską z Pieniak, nie mieli męskiego potomka, ordynacja przeszła na ich zięcia, Tadeusza Dzieduszyckiego, pochodzącego z młodszej linii rodziny. Syn Tadeusza, Włodzimierz jr, żonaty z Wandą Sapieżanką, był trzecim i ostatnim ordynatem poturzycko-zarzeckim.

**Zabytki.** Skrzydło pałacu (niedokończonej budowy Józefa Dzieduszyckiego) na planie prostokąta, dwukondygnacyjne. Do jednej z elewacji dłuższych przylegał taras z leżącymi po bokach kamiennymi lwami, które pochodzić miały z rozebranego zamku sokalskiego. Pałac ten służył jako rezydencja tymczasowa, używana głównie z okazji polowań. W związku z tym wyposażenie wnętrza było skromne. Wszystko, co było w pałacu, łącznie z archiwum rodzinnym zawierającym m.in. listy Klauddy z Działyńskich Potockiej, siostry Józefiny Dzieduszyckiej, przepadło w latach 1914–18.

*i serdecznych ludzi, Polaków tam mieszkających, którzy nas gościli, i wszystkich, których mieliśmy okazję poznać. Dla ludzi, którzy pomimo tylu trudności, z jakimi się borykają, z nieustającym zapalem walczą o zachowanie tej polskiej tożsamości Lwowa.*

*Zmieniają się ludzie, czasy, sytuacja geopolityczna. Ale to miasto nadal stoi, nadal jest Lwowem, poddającym się tylko niszczycielskiemu działaniu czasu. Ujrzenie tego wszystkiego na własne oczy, bycie w miejscach, które są symbolami w naszej narodowej świadomości, było niezapomnianymi chwilami. To niecodzienne spotkanie z polską kulturą, historią, z naszą przeszłością było jedną z najciekawszych wycieczek, które zapadły głęboko w mej pamięci. Była to jedna z oryginalniejszych lekcji życia.*

Małgorzata Urbanik

■ *Od sierpnia 1991 r. w granicach Ukrainy. Niegdyś ośrodek kultury i nauki, dziś miasto o wysokim czynniku zdegradowania, zacofania, bezrobocia. Ukraiński Lwów, zarazem tak bogaty i tak biedny...*

*Doskonałe, monumentalne budowle są uczcą dla oka i chlubą dla miasta. Wyliczać mogę w nieskończoność. Ot, chociażby liczne kościoły (skupiające uwagę nawet tego najwybredniejszego obserwatora), m.in. Jezuitów (XVII w.), Bernardynów (XVII w.) czy Dominikanów (XVIII w.). Wspaniała, powstała już w roku 1661. Akademia Lwowska, ruiny zamku Kazimierza Wielkiego (XIV w.) czy kilkakrotnie przebudowywana katedra ormiańska przykuły nie tylko moją uwagę, były bowiem obiektem westchnień zachwyty wielu turystów (których we Lwowie widuje się sporo). Między wysokiej klasy budowlami znajdują się – nie mniej zabytkowe, a tym bardziej urokliwe – kamieniczki, które ornamentacją i precyzją wykonania, według mojego uznania, świadczą o tradycjach tego jakże pięknego miasta. Duże wrażenie wywarł na mnie Cmentarz Łyczakowski, a właściwie powinnam napisać „muzeum”, bowiem architektura i rzeźby bynajmniej nie przypominały klasycznego miejsca pochówku zmarłych. Niesamowity krajobraz z Wysokiego Zamku zaparł mi dech w piersiach, a „krzyż niezgody” rozbudził mieszane uczucia.*

*Obok wysoko rozwiniętej kultury i bogatej tradycji jest jeszcze przerażająca sytuacja ekonomiczna. Najbardziej uderzyły mnie „śmiesznie” niskie zarobki (miesięczna emerytura,*

*jeżeli w ogóle jest wypłacana, to wynosi równowartość 37 zł, a zważywszy na to, że ceny produktów są mniej więcej takie same jak w Polsce, można nazwać taką sytuację absurdem!), szkolnictwo i system edukacji – w opłakanym stanie (brak książek, podręczników i fachowców w konkretnej dziedzinie wiedzy), zamknięte fabryki, a co za tym idzie – ogromne bezrobocie. Bieżąca woda płynie tylko kilka razy dziennie – ciepła tylko rano i wieczorem. To, obok fatalnie prosperującej komunikacji miejskiej, daje obraz miasta zacofanego i biednego, ale równocześnie pozwala docenić coś tak naturalnego, jak np. bieżąca woda...*

*A ludzie? Smutni, nieco rozgoryczeni, ale na pewno honorowi i dumni. Większość z nich przyjęła bierną postawę, godząc się z obecnym systemem. Garstka, jeszcze pełna nadziei, oczekuje zmian na lepsze.*

*„Gdybym się jeszcze raz urodzić miał...” – na pewno nie byłby to Lwów. Piękno miasta kusi i zachwyca, realia życia przerażają...*

Małgorzata Surdziel

## DLA NAJUBOŻSZYCH

Krakowska „Wspólnota Polska” podjęła – obok swej rutynowej działalności – akcję pomocy humanitarnej dla osób starych, chorych i samotnych oraz wielodzietnych rodzin we Lwowie. Wszczęcie akcji było możliwe dzięki dotacji, otrzymanej (za sprawą p. Krystyny Bobrowskiej oraz Oddziału TMLiKPW w Krakowie) od krakowskiego Energopolu. W celu przekazania zasiłków skierowano do Lwowa w grudniu ub. roku dwuosobową delegację, w osobach dr Teresy Wilkowej (czł. TMLiKPW) i Andrzeja Kuzaja, którzy odwiedzili 80 osób, wskazanych przez Zarząd Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Ich wrażenia były jeszcze bardziej przygnębiające, niż się spodziewano: osoby, które wizytowano, żyją w warunkach dramatycznych, nierzadko w nieopalanych komórkach, bez możliwości poruszania się, często o daleko posuniętej demencji.

Relacje wysłanników zmobilizowały Zarząd Oddziału „Wspólnoty Polskiej” do po-

traktowania pomocy tym ludziom nie jako okazjonalnej, lecz stałej akcji. W krakowskim „Dzienniku Polskim” (nr 48 z 26 II 99) ukazał się – dzięki życzliwemu poparciu przez jego redaktora naczelnego, Czesława T. Niemczyńskiego – obszerny artykuł, przygotowany przez prof. Zygmunta Kolenkę, prezesa Oddziału Wsp. Pol., oraz Andrzeja Chlipalskiego, prezesa TMLiKPW w Krakowie, apelujący do czytelników o pomoc finansową. Apel przyniósł piękny skutek: w ciągu krótkiego czasu zebrano ok. 30 tys. zł. Znalazły się też osoby, które zadeklarowały objęcie stałą opieką niektórych potrzebujących.

Na tym nie koniec. Ofiary będą potrzebne ciągle, bo akcja ma być permanentna. Po drugie: Polaków w szczególnie trudnych warunkach jest w samym Lwowie o wiele więcej, a przecież i poza nim, w innych miastach, sytuacja jest podobna, choć liczba Polaków niższa. Stanisławów, Tarnopol, Drohobycz, Sambor, Stryj, Złoczów, Kołomyja i jeszcze sporo innych – oto miejsca, w których żyją Polacy, a z nich jakaś część potrzebuje naszej pomocy.

Oczywiście, że sama krakowska „Wspólnota” ani też wszystkie oddziały TMLiKPW razem wzięte (w ramach swojej sieci opieki) nie są w stanie opanować dramatycznej sytuacji. Niezbędne jest włączenie się do tego dzieła innych jeszcze ludzi i organizacji, które wzięłyby na siebie część obowiązku pomocy dla najbardziej nieszczęśliwych Rodaków.

Obecnie oczekujemy na uzupełnienie list potrzebujących, które obiecały sporządzić Towarzystwo Kultury Polskiej ZL (dla Lwowa i 17 oddziałów tej organizacji) oraz Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie (dla województw stanisławowskiego i tarnopolskiego). W następnej kolejności – oby jak najprędzej – zajdzie potrzeba „podzielenia się” tym materiałem z innymi oddziałami „Wspólnoty Polskiej”, które deklarują swój udział w akcji. Włączą się do niej na pewno wszystkie oddziały TMLiKPW, stosownie do swoich „przydziałów” w ramach sieci opieki. Sprawę kładziemy na sercu Zarządowi Głównemu TMLiKPW.

Elżbieta Mokrzyńska

Patrz także – str. 80

Cerkiewka gr.kat. pw. Przemienienia Pańskiego, z barokowym ołtarzem z XVII w.

(M.T.)

#### RAJ

Wieś w pow. brzeżańskim, woj. tarnopolskim, oddalona o 3 km na pld.zach. od Brzeżan. Na przeł. XIX/XX w. liczyła ok. 600 mieszkańców. Ludność obu obrządków należała do parafii w Brzeżanach.

**Historia.** Miejscowość stanowiła część dóbr brzeżańskich. Jej nazwa pochodzi zapewne od malowniczego położenia w otoczeniu lasów i stawów. W XVIII w. Sieniawscy mieli tu zameczek myśliwski, na rzucie kwadratu z czterema basztami na rogach. Dokument z r. 1668 podaje, że przy zamczku istniała osada złożona z 12 gospodarstw. W 1709 r. zameczek został zniszczony przez słynnego zagończyka Adama Śmigiełskiego i wkrótce potem odbudowany. Po śmierci ostatniego z Sieniawskich, Adama Mikołaja (1726), Raj przeszedł na jego córkę Marię Zofię, zamężną 2v. za Augustem Aleksandrem Czartoryskim, wojewodą ruskim. Następnie dostał się w posagu Izabelli z Czartoryskich Lubomirskiej, zonie Stanisława, marszałka w. kor. Inwentarz z 1762 r. notuje, że wnętrza zamczku zapełnione były *mnóstwem dzieł sztuki i ozdób wytwornych*, w tym *niezliczonymi obrazami głównie holenderskimi i flamandzkimi*. Pod koniec XVIII w. księżna marszałkowa, dużo przebywająca w Raju, przeprowadziła remont zamczku, który został wówczas nadbudowany do wysokości baszt. Po śmierci Izabelli Elżbiety (1836) jej córka Aleksandra wniosła dobra brzeżańskie swemu mężowi Stanisławowi Potockiemu. W rękach Potockich, dziedziczony w linii prostej, pozostawał Raj do 1935 r. Ostatni właściciel, Jakub Potocki, prawnuk Stanisława, cały swój olbrzymi majątek zapisał na cele społeczne, głównie zaś na walkę z rakiem i gruźlicą. Do wybuchu II wojny światowej Raj wchodził w skład fundacji J. Potockiego.

**Zabytki.** Pałac wybudowany ok. 1830 r. przez Aleksandra Potockiego, zapewne wg projektu Jana Rudzkiego Wężyka, na planie kwadratu, przopuszczalnie odpowiadającym rzutowi dawnego zamczku, dwukondygnacyjny. Prace nad wykończeniem wnętrza prowadzone były jeszcze w II poł. XIX w. Plafon biblioteki zdobiło malowidło, wykonane w 1871 r. przez Henryka Contiego, sprowadzonego z Florencji. W 1879 r. sprawiono alabastrowy ołtarz i odrzwia do kaplicy pałacowej, dłuta Leonarda Marconiego. Wnętrza zdobiło wiele cennych dzieł sztuki, pochodzących z Brzeżan, w tym cykl czterech obrazów, przedstawiających wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu w 1633 r. Biblio-

## JAK TO WŁAŚCIWIE JEST?

*Czystki etniczne* – ten złowrogi termin stał się niezwykle aktualny i poruszany zarówno w mediach, jak i w ludzkich rozmowach. Przyczyną jest oczywiście horror, który na naszych oczach rozgrywa się w jugosłowiańskim Kosowie.

W „Dzienniku Polskim” nr 95/99 red. Andrzej Kozioł w artykule *Demony na smyczy* omawia szeroko koszmarny czystek, nie tylko etnicznych, także polietycznych lub społecznych, zaszytych w naszej epoce i w tej głównie części świata. Dochodzi i do naszej najnowszej historii, przypomina wysiedlenia i deportacje Polaków, dokonywane przez Niemców i Sowieców, ale jakoś nie przypominała mu się, o wiele bardziej krwawa od kosowskiej (i niedawnej bośniackiej), dokonana przez ukraińskich nacjonalistów rzeź Polaków pod koniec II wojny na Wołyniu i Podolu, gdzie w sposób niebywale okrutny wymordowano kilkadziesiąt tysięcy Polaków, całe rodziny i całe polskie wsie. Za to każde nam się wstydzic za Akcję „Wisła”. Dziwnie wybiórcze podejście do historii, i to – jak zauważamy też w niektórych polskich środowiskach – na niekorzyść Polski i Polaków.

To jeszcze nie koniec. Oto red. Kozioł wykorzystuje okazję, by jeszcze raz – po półwieczu – wyrazić swoją satysfakcję z utraty przez Polskę ziem wschodnich, z *Wilnem i przede wszystkim Lwowem*. Zapytuje (gdyby do tego doszło): *Czy jeszcze raz nie walczylibyśmy o Lwów, rzeczywiście polski? [...] Czy możliwe byłoby wówczas pojednanie z Ukrainą i trwały pokój we wschodniej Europie?* Tę samą miarę przykładą do ziem zachodnich i nieobecności na nich Niemców, pomijając oczywiście (bo chyba nie zapominając, a to jeszcze gorzej) różnice między tymi dwoma *exodusami*.

Nie jest w tym sam. P. Krzysztof Strzelecki w „Dzienniku Polskim” nr 103/99 (*Bałkany nad Wisłą*) przytacza wypowiedzi podobnych wizjonerów politycznych:

● Janusza A. Majcherka z „Tygodnika Powszechnego”, który ma sumienie (czy nazwiedzę?) porównywać rzezie na Wołyniu i Podolu z wypędzaniem Niemców

i Ukraińców z *ich domów zajmowanych od pokoleń* (tego zdania nie wiąże jednak z Polakami na Podolu i Wołyniu);

● Krzysztofa Wolickiego z paryskiej „Kultury”, który zapamiętał jedynie pacyfikacje na terenie *zachodniej Ukrainy* przez Polaków dokonywane. Ale czy wie o nich coś bliższego? Gdyby wiedział, toby nie pisał takich bzdur;

● Adama Krzemińskiego z „Polityki”, który pisze: *Wiemy, jak w 1939 r. wyglądało wyrzucanie Polaków z Wielkopolski, a w 1943 r. z Wołynia* (czy tylko z Wołynia, obywatelu redaktorze?). Okazuje się, że również nic nie wie, skoro czyni tak absurdalne porównania.

Trzeba dodać, że autor tego zestawienia, Krzysztof Strzelecki, powołuje się jeszcze na historyka Janusza Tazbira – wypowiedzi tego profesora nie można potraktować inaczej niż jako koniunkturalnej (patrz CL 3/98, s. 59). Podobnie wypowiada się nadworny satyryk III Rzplitej, Tym, którego artykuł we „Wprost” (18/99) traktuje o homoseksualizmie, wizycie Papieża i własnych wizjach politycznych, m.in. na temat Lwowa i Wilna. Wszystko razem.

Bo też to wszystko dzieje się w momencie, gdy od wszystkich Polaków należałoby oczekiwać godności i taktu (czy to w ogóle możliwe?). Przypomnijmy:

□ Na lwowskim Cmentarzu Orłąt, odbudowywanym w zakresie zgodnym z umową międzypaństwową, dzieją się rzeczy gorsze. Co parę tygodni administracja ukraińska przerywa prace, kwestionując to, co wcześniej dokładnie uzgodniono, byle tylko utrudnić, opóźnić, a bodaj zdenerwować. Najświeższe przykłady: gzymсы i płaskorzeźby dla katakumb (pisał o tym m.in. „Dziennik Polski” 103 i 105/99), w parę dni później płyta – bynajmniej nie tylko z błędami, lecz z napisem o przeinaczonej treści (Dz.P. 111 i 112/99). Wszystko to dzieje się przy pełnej akceptacji *mera* Lwowa Wasyla Kujbidy. Dyrektor cmentarza-*muzeum* (!) Łyczakowskiego Hawryszkiewicz jest – co zdradziła nasza prasa – szwagrem Kujbidy.

□ Równocześnie strona polska w pełni finansuje budowę na cmentarzu Rakowickim pomnika żołnierzy narodowości ukraińskiej, zmarłych po I wojnie w obozie jenieckim na Dąbiu w Krakowie. Przewodniczący Rady M. Krakowa Stanisław Handzlik patronuje temu przedsięwzięciu, ale zarazem odmawia swego patronatu nad bu-

dową pomnika Polaków, wymordowanych przez ukraińskich nacjonalistów, o co zabiega Porozumienie Organizacji Kombatanckich i niepodległościowych w Krakowie. Dodajmy, że dziennikarz „Gazety w Krakowie” (w nrze 94/99) Ireneusz Dańko okazał brak taktu, udając się do *działaczy ukraińskich* w Krakowie i zapytując o zdanie o tym drugim pomniku. Jakie były odpowiedzi – nietrudno się domyślić, ale cytować nie warto.

□ Prezydent Ukrainy Leonid Kuczma wydał dekret *O świętowaniu 60-lecia zjednoczenia ziem ukraińskich w jedno ukraińskie państwo*, wyznaczonym na 17 września – dzień napaści sowieckiej na Polskę – lub na koniec października, gdy Małopolska Wschodnia została *formalnie* włączona do *Radiańskiej Ukrainy*.

□ Na Szkole nr 10 (św. Marii Magdaleny) we Lwowie w dniu 2 maja pojawiły się kolejne antypolskie napisy.

Przypomnijmy jeszcze nie tak dawne zdeptanie i spalenie polskiej flagi we Lwowie, zbezczeszczenie grobów na Cmentarzu Orłąt, wyrzucanie księży, odmowy zwrotu kościołów i budynków parafialnych, szkolnych itp. lub przydziału w zamian działek, antypolskie plakaty i napisy, ograniczanie nauki języka polskiego, niszczenie polskich zabytków itd. itd.

Nasuwa się tylko pytanie: skoro Polska – w imię naszej racji stanu (?) – przymyka oczy i uszy na podobne wybryki tamtej strony (czy to są tylko wybryki?) , to dlaczego zakłada się, że ostrzejsze wystąpienia przeciw tym wybrykom miałyby zagrozić pokojowi w Europie?

Wydaje się, że z własnej gorliwości zapędziliśmy się (ściślej: zapędzono nas) w kozł róg.

Na zakończenie – coś zupełnie, ale to najzupełniej, nie związanego z powyższym tematem. Notujemy wiadomość podaną przez prasę (m.in. Dz.P. 96/99) w sprawie *zasad swobodnego obrotu ziemią* w Unii Europejskiej. Główny negocjator Komisji Europejskiej Nicolaus Van der Pas stwierdził, że Polska *powinna zapomnieć* o odstępstwach dla siebie od tych zasad. Możliwy jest jedynie pięcioletni okres przejściowy.

Następni kandydaci do UE chyba też będą musieli o tych odstępstwach zapomnieć?

(Red.)

teka pałacowa bogata była w starodruki (ponad 4000 wol.) i stare rękopisy (53). Podczas I wojny światowej budynek ocalał, ale całe wyposażenie wewnątrz zostało zniszczone przez okoliczne chłopstwo i wojsko niemiecko-austriackie. Ocalałą część biblioteki Jakub Potocki przekazał testamentem Bibliotece Publicznej w Warszawie.

Dom dla gości i pracowników administracji majątku, wybudowany w 1882 r. obok pałacu, wg projektu Juliana Zachariewicza. Park, częściowo francuski, częściowo angielski, o pow. 30 morgów, założony przy końcu XVIII w. W 1879 r. na części powierzchni parkowej, po wycięciu ginących starych drzew, założono sad. Poza obrębem parku znajdował się kilkumorgowy ogród warzywny, gdzie miejscowa ludność odrabiała pańszczyznę. W 1892 r. całość parku została przekomponowana przez austriackiego ogrodnika, Waleriana Kronenberga.

(M.T.)

#### ŻURAWNO

Miasteczko w pow. żydaczowskim, woj. stanisławowskim, położone nad Dniestrem, w odl. 21 km na pld.wsch. od Żydaczowa. Na przełomie XIX/XX w. liczyło ok. 2900 mieszkańców.

**Historia.** Pierwsza wiadomość historyczna dotyczy erygowania w Żurawnie parafii rzym.kat. 1468 r. przez Jana Chodorowskiego z Chodorowa, od którego wywodzi się rodzina Żurawińskich h. Korab. Żurawno stało się jej gniazdem rodowym. W końcu XV w. jeden z Żurawińskich wzięty w jasyr umarł w niewoli tatarskiej. Wdowa po nim, Barbara z Herburtów, poślubiła Stanisława Reja i z małżeństwa tego w 1505 r. urodził się w Żurawnie poeta Mikołaj Rej. Właścicielami Żurawna po śmierci Barbary stali się synowie jej pierwszego męża, Stanisław i Wilibord Żurawińscy. Kolejni dziedzice, Sebastian i Franciszek, uzyskali w 1553 r. od Zygmunta Augusta miejskie prawo magdeburskie dla Żurawna, oraz uwolnienie miasta na lat 12 od wszelkich podatków. Jednocześnie król ustanowił dwa jarmarki roczne (na Zielone Świąta i Narodzenie NPM) oraz targi tygodniowe we wtorki.

W czasach Żurawińskich istniał obronny zameczek murowany, nie wiadomo dokładnie, kiedy zbudowany. Nie wiadomo również, kiedy wymarł ród Żurawińskich i jakie były losy miasta w XVII i XVIII w. Jedynym szerzej znanym faktem z historii Żurawna jest bitwa, jaką w 1676 r. przez trzy tygodnie toczyło tu rycerstwo polskie w liczbie 13 tys. pod wodzą Jana III, z wojskami tureckimi w liczbie 80 tys., wspieranym przez Tatarów. Bitwa zakończona została 17 X podpisaniem pokoju i uwolnieniem z rąk tureckich 12 000 jeńców.

# W Krakowie i dalej

Jerzy Żuk

## DZIESIĘCIOLECIE W KRAKOWIE

Zarząd Główny rozpoczął we Wrocławiu serię obchodów X-lecia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich (o czym pisaliśmy w CL 1/99), a teraz przyszła kolej na oddziały, jeden po drugim.

Oddział Krakowski obchodził swoje dziesięciolecie w dniach 10 i 11 kwietnia (choć właściwa rocznica minęła półtora miesiąca wcześniej, 25 lutego). Historię tej dekady spisano w okazjonalnym folderku, ozdobionym herbami miast, z których wygnańcy zorganizowali się w Krakowie w ramach TMLiKPW albo poza nim. Folder ten załączyliśmy do poprzedniego numeru CL (2/99).

Obchody rozpoczęła w sobotę 10 IV wieczorem msza św. w Kościele Garnizowym św. Agnieszki przy ul. Dietla. Jeszcze nigdy tam się nie spotykaliśmy, ale niewielki ten barokowy kościółek szczególnie przypadł nam do serca. Ściany świątyni pokrywają liczne kombatanckie tablice pamiątkowe, a nieopodal głównego ołtarza stoi sarkofag ze szczątkami gen. Józefa Hallera. W salkach przy zakrystii mieści się stała wystawa pamiątek z międzywojennych szkół kadeckich – najwięcej ze Lwowa.

Do wymienionych atutów tego kościoła dochodzi jeszcze jeden: postać niezwykle życzliwego i miłego proboszcza – ks. majora Henryka Polaka, który w swej świątyni przyjmuje z otwartym sercem kombatanów, sybiraków, nie mówiąc oczywiście o Wojsku Polskim.

W wypełnionym po brzegi kościele celebrowanej mszy św. przewodniczył nasz krakowski kapelan, o. płk Adam Studziński. Towarzyszyli mu ks. infułat Stanisław Małysiak (który z kolei odprawia corocznie

nasze msze listopadowe) oraz nasz ogólnopolski kapelan, ks. Janusz Popławski. Znając wcześniejsze homilie ks. Janusza, uprosiliśmy go, by i tę naszą rocznicę uświetnił. Nie zawiedliśmy się – kościół huczał od oklasków. Fragmenty tekstu można przeczytać niżej.

Niedzielne popołudnie (11 IV) wypełniła impreza rocznicowa, urządzona w drugiej co do wielkości sali krakowskiej Sokolni (zwana niegdyś „szermierczą”). Rozpoczął ją sławny w Krakowie Chór „Organum”, który odśpiewał *Śliczną Gwiazdę Miasta Lwowa* i kilka innych pieśni – dyrygował prof. Bogusław Grzybek, jeden z bohaterów tego wieczoru (o czym niżej), a zaraz potem wystąpił prezes krakowskiego oddziału Towarzystwa, Andrzej Chlipalski. Przywitał licznie zebranych Gości z Władz miejskich, „Wspólnoty Polskiej”, „Sokoła” i „Sokoła-Macierzy-Lwów, Zarządu Głównego TMLiKPW, bratnich stowarzyszeń, VII Liceum, a nade wszystko gości ze Lwowa i Ziemi Lwowskiej. Serdecznie powitał występujących tego wieczoru artystów. Niestety nie mógł przybyć zapowiedziany wcześniej prezydent Krakowa, prof. Andrzej



Msza św. w kościele św. Agnieszki. Od lewej: ks. J. Popławski, o. Adam, ks. infułat S. Małysiak





Gołaś (dwa dni wcześniej odleciał z oficjalną wizytą do Kanady, ale przed tygodniem odwiedził nas w trakcie klubowego spotkania). Nie mógł przyjechać do Krakowa min. Andrzej Przewoźnik, bo udał się do Lwowa (to ważniejsze!), ani p. Emilia Chmielowa (obowiązki wezwały ją za Zbruczel).

Po powitaniu Gości i licznie zgromadzonych członków Towarzystwa oraz jego przyjaciół, prezes wygłosił krótkie przemówienie, w którym wyjaśnił cele, jakie założyło sobie Towarzystwo, w szczególności Oddział Krakowski, oraz w jaki sposób te cele realizowano. Ostatnie słowa poświęcił marzeniom: *Marzeń jest mnóstwo, ale nie wszystkie są spełnialne w czasie, który nam został dany – niech pozostaną w sercach. Jest też oczywiście naszym marzeniem, by następne pokolenie podjęło w takiej czy innej formie nasze wysiłki. Ufamy, że tak się stanie, bo wśród młodzieży spotykamy wiele osób i grup, którym nasze intencje są bliskie. – Ale są i sprawy aktualne. Nie dotyczą nas samych – my jakoś dajemy sobie radę. Dotyczą spraw, które są ważne bezpośrednio dla Polaków i polskości na Wschodzie. Chcielibyśmy, by powstawały na tamtej Ziemi polskie szkoły, bo zapotrzebowanie jest wielkie, a warunki ciężkie. Aby szkoły te zyskiwały materialne podstawy dla swojej egzystencji i działalności. Chcielibyśmy, by we Lwowie powstał Dom Krakowski i stał się żywym ośrodkiem kultury i życia polskiego. Szczególną naszą troską jest, by w kościołach Słowo Boże było nadal po*

W latach dziewięćdziesiątych XVIII w. dobra żurawińskie nabył Tadeusz Żebrowski h. Jasieńczyk i wybudował w Żurawnie pałac w pobliżu miejsca, gdzie dawniej stał zamek. Następnie Żurawno dostało się córce Żebrowskiego, Zuzannie, zamężnej za Władysławem Skrzyńskim h. Zaremba, a później przeszło na ich syna, Antoniego. Ostatnią dziedziczką majątku – obejmującego przed II wojną światową wraz z folwarkami ok. 10 000 morgów – była córka Antoniego Skrzyńskiego, Helena, zamężna za ks. Jerzym Czartoryskim z Pelkni.

**Zabytki.** Pałac Skrzyńskich w stylu renesansowych rezydencji francuskich, wybudowany w 1904 r., po spaleniu się pałacu Tadeusza Żebrowskiego. Założony na planie zbliżonym do kwadratu, dwukondygnacyjny, z jednym krótkim skrzydłem bocznym. Przed 1939 r. nad częścią pałacu nadbudowano II piętro. Wystrój plastyczny pokoi reprezentacyjnych był dziełem rzeźbiarza Piotra Witalisa Harasimowicza, profesora Szkoły Przemysłowej we Lwowie. Do 1939 r. w pałacu znajdował się obraz Madonny ze szkoły Rafaela, oddany na początku wojny w depozyt do Muzeum Lubomirskich we Lwowie. Biblioteka pałacowa, która liczyła 4000 tomów, głównie starodruków, została zniszczona we wrześniu 1939 r.

Oficyna z 2. poł. XVIII w., murowana, parterowa, 5-osiowa, z wysokim mansardowym dachem. Stajnie z okresu klasycyzmu: duży budynek na planie prostokąta, z czterospadowym dachem; przed wejściem portyk o bardzo szeroko rozstawionych kolumnach, zwieńczony trójkątnym frontonem. Lamus na planie koła, podzielony na trzy izby, zbliżone kształtem do trójkątów, zapewne należały do dawnego zespołu zamkowego, podobnie jak drugi budynek na planie prostokąta, o bardzo grubych murach, pod którym biegł podziemny korytarz.

Park założony przez T. Żebrowskiego w stylu angielskim, w 2. poł. XIX w. przekomponowany przez belgijskiego ogrodnika Kamila Jamne, a następnie na pocz. XIX w. przez dra Kubika. Na skraju parku rosły stare dęby, pod którymi według miejscowej tradycji miał zostać podpisany pokój z Turkami.

Kościół parafialny i cerkiew gr.kat. pw. św. Mikołaja – daty budowy nie znane.

**Czasy obecne.** Parafia odnowiona w 1994 r. pw. Nawiedzenia NP Marii. Rolę kościoła parafialnego pełni mała kapliczka cmentarna Czartoryskich na starym cmentarzu. Na nabożeństwa przychodzi kilkanaście osób, które z trudem mieszczą się w kaplicy. Opiekę nad parafią sprawuje ks. Dariusz Firszt, dojeżdżający z Żydaczowa.

(M.T.)



Spotkanie w Krakowie. Od lewej: E. Adles, Kraków; T. Teterycz, Mościska; A. Gordyjewska, Polskie Radio-Lwów; K. Pieszczyński, Kraków; M. Markunina, dyr. Szkoły nr 10, Lwów; Ł. Kowalska, dyr. Szkoły nr 24, Lwów; Irena Massalska, „Gazeta Lwowska”; dr D. Nespiak, Wrocław; E. Legowicz, prezes TKPZL, Lwów. Fot. A. Chlipalski

*polsku głoszone. Chcielibyśmy, by w oparciu o ośrodki oświaty i kultury oraz Kościół polskość mimo wszystko przeżyła, bo ma do tego prawo!*

Kolejnymi mówcami byli Goście: prof. Zygmunt Kolenda, prezes Krakowskiego Oddziału „Wspólnoty Polskiej”, druh Konrad Firlej, prezes PTG „Sokół” w Krakowie, Emil Legowicz, prezes Tow. Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, oraz prof. Michał Poczobutt-Odlanicki, prezes Tow. Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej w Krakowie. Miłe słowa wypowiedziały też w imieniu obu lwowskich szkół i polskiego Radia-Lwów panie Marta Markunina, Łucja Kowalska i Anna Gordyjewska, obdarowując

Oddział Krakowski TMLiKPW pamiątkowymi upominkami.

Po tych niezwykle serdecznych i wzruszających wypowiedziach prezes A. Chlipalski przedstawił cztery osoby, które na wniosek Oddziału Krakowskiego zostały uhonorowane Złotymi Odznakami Towarzystwa (osoby te i ich dokonania przedstawiamy osobno). Aktu dekoracji, poprzedzonego przemówieniem, adresowanym do krakowskiego środowiska TML-owskiego, dokonał prezes Zarządu Głównego, dr Andrzej Kamiński. Każdy z odznaczonych wypowiedział słowa podziękowania, a pierwszy z nich, jeden z Seniorów Towarzystwa, dr T. Krzyżewski, zaskoczył przy tej okazji zebranych, przedstawiając swoje badania i dociekania nad przepowiedniami – od najstarszych do współczesnych. Szczególnie serdecznie zabrzmiały słowa prof. B. Grzybka, a podobnie jak on, wypowiedzieli się A. Chłopek i P. Korpanty.

Był to już ostatni punkt części oficjalnej. Zaczęła się część artystyczna, którą profesjonalnie i z ogromnym wdziękiem poprowadził Kazimierz Madej, znany z krakowskiej Piwnicy pod Baranami i Kabaretu Loch-Camelot, a urodzony w Zimnej Wodzie k. Lwowa.

Występ kabaretu „Loch Camelot”. Pośrodku Kazimierz Madej, po prawej jego córka, Jagoda



Pierwszym punktem programu był występ dvojga członków Oddziału, p. Ireny Suchanek (śpiew) i Jerzego Bożyka (śpiew i akompaniament), którzy wykonali *Lwowski walczyk* (napiszemy o nim w CL 4/99), a zaraz potem uczniowie krakowskiego VII Liceum im. Z. Nałkowskiej, Katarzyna Ekhard, Danuta Lenartowicz i Michał Madej, deklamowali z uczuciem wiersze T. Słowiaka. Trzeba wspomnieć, że tłem estrady, na której występowano, był m.in. obraz namalowany przez ucznia tegoż liceum Tomasza Wełnę, przedstawiający bogatą w symbole wizję Lwowa. Także Roman Hnatowicz wygłosił wiersz Hemara *Kalendarz lwowski*.

I wreszcie – po tych poważniejszych punktach programu – estradą niepodzielnie zawładnęli artyści z Loch-Camelotu. Kazimierz Madej znakomicie wprowadził swoją 16-letnią córkę Jagodę (skrzypce) oraz dwóch kolegów w atmosferę Łyczakowa, Zamarstynowa czy Kleparowa. Sam śpiewał, deklamował, odgrywał kapitalne scenki – drugiego takiego artysty-batiara ze świecą by w Krakowie szukać (a może i poza Krakowem?). Jego własne i zespołowe produkcje noszą znamiona prawdziwej sztuki, bo nawet sposób grania lwowskich melodii przez zespół wyrasta wysoko ponad stereotypowe wykonania dość licznych zespołów, satysfakcjonując absolutnie współczesnego słuchacza, bogatszego o doświadczenia muzyki rozrywkowej ostatniego półwiecza. Entuzjazm sali wzbudziły świetnie zagrane i zaśpiewane piosenki, w których swoisty popis dała Jagoda Madejówna.

Z wielkim żalem przyjęli uczestnicy koniec programu. Na szczęście dobre nastroje utrwaliła lampka wina, a miłym rozmowom nie było końca. Żegnaliśmy się serdecznie – do następnego jubileuszu za dziesięć lat!

A oto homilia wygłoszona przez ks. Janusza Popławskiego w kościele św. Agnieszki w Krakowie w sobotę, 10 kwietnia 1999 (z nieznacznymi skrótami):

*Dziękujcie Panu, bo jest miłosierny. Tak, to już 10 lat.*

*Czcigodny Księżu Infulacie, Ojczu Pułkowniku, najmiłsi w Chrystusie Zmartwychwstałym, Siostry i Bracia Lwowianie, Kresowianie i Krakowianie!*

*Za nami okres wielkanocny. Zadumajmy się nad tajemnicą Męki, Śmierci i Zmartwychwstania Chrystusa, bowiem Męka i Śmierć prowadzi do Zmartwychwstania. Zbawiciel zmartwychwstał! W rezurekcyjnej procesji niesiemy Jego figurę z chorągwią – znakiem zwycięstwa.*

*Śmierć na obczyźnie nas wymiata  
Jak pajęczyny w kącie.  
Coraz mniej z naszego świata  
Co się oddala i odlata,  
I tylko po nim dzwony dzwońcie!  
Coraz to ktoś upada obok,  
Coraz topnieją nasze rzędy.  
I dawnej słyhać krzyk komendy:  
„Szlusuj!”  
I ścieśnia się czworobok  
I zamykają się szeregi,  
Bez przyjaciela, bez kolegi.  
Nasz front  
Na wszystkich świata mapach  
Tą samą wykreślony kreską.  
Ale pośrodku czworoboku  
Jeszcze chorągiew wieje w mroku,  
A na niej Krzyż  
Z czarno-niebieską wstążką  
I Lew na tylnych łapach.*

*Chorągiew z krzyżem Zmartwychwstałego Chrystusa jest znakiem Jego zwycięstwa. Chorągiew z krzyżem Virtuti Militari z wiersza Hemara jest także znakiem zwycięstwa. Bo zwycięstwo odnieśli ci mali bohaterowie, te dzieci, którym się przyśniła Polska. [...] Mortui sunt ut liberi vivamus – polegli, abyśmy wolni żyli.*

*O mamo, otrzyj oczy,  
z uśmiechem do mnie mów,  
Ta krew co z piersi broczy, ta krew...*

*Ileż tej krwi! Czy nasza historia zawsze musi być pisana krwią? Krew św. Wojciecha, krew pierwszych polskich Pięciu Męczenników, krew św. Stanisława Biskupa, krew św. Andrzeja Boboli, krew Męczenników Podlaskich. Krew tysięcy pomordowanych w tyłu obozach łagrach Wschodu i Zachodu, krew profesorów lwowskich, wsączona w Wuleckie Wzgórze, krew ks. Jerzego Popiełuszki, krew Jana Pawła III!*

*Pamięć Orłąt Lwowskich w niezwykły sposób utrwalił słynny cmentarz na zboczu Pohulanki, unikat w skali europejskiej, Panteon Pamięci Narodowej o młodocia-*

nych Bohaterach – polskie Campo Santo. Jego profanacja rozciągnięta na dziesięciolecie, prawem paradoksu ugruntowała mit o czynie kolegów.

Jakimż wspaniałym przykładem dla dzisiejszej młodzieży polskiej są te nasze lwowskie Orleńta. Tylko, czy ona o nich w ogóle coś wie? Warszawska młodzież już nie pamięta, nie wie o Powstaniu Warszawskim. Inne są czasy, inna młodzież. Tylko pytam słowami wiersza Hemara:

*Do czyich rąk ostatni z nas  
Odda chorągwi drzewce? Komu  
Przekáže, gdy nadejdzie czas,  
Aby ją cało niósł do domu?  
Gdzie są te ręce, w których my  
Oddamy nasze gwiazdy, szarfy,  
Pieśni, marzenia, struny, harfy,  
Przysięgi, Krzyże, wiersze,  
Lwy?*

Jest ta ze Lwowa i z Kresów młodzież polska na studiach na polskich uniwersytetach. Czy ktoś z nich pragnie wrócić na Ojczyzną Ziemię? Bardzo nieliczni. Olbrzymia większość marzy o pozostaniu tutaj.

5 marca 1997 Senat Rzeczypospolitej Polskiej podjął uchwałę w sprawie więzi Polaków i Polonii z Macierzą. Uchwała kończy się apelem: Zwracamy się dziś do wszystkich naszych Rodaków na świecie – jesteście Macierzy-Polsce potrzebni, jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni.

Pozdrawiam polską młodzież ze Lwowa, Krzemieńca i wszystkich innych stron. Pamiętajcie o ojcowiznie! Dedykuję Wam i nam wszystkim jeszcze raz słowa Hemara:

*Ludzie prawują się i kłócą  
Z losem co w drodze ich wytraca.  
Ludziom się zdarza że nie wrócą,  
Ale ich naród zawsze wraca.  
Po wszystkich dolach i odmianach,  
Ucieczka kończy się powrotem.  
Synu, pamiętaj tylko o tym,  
Że miłość wraca na kolanach.*

Jubileusz X-lecia krakowskiego TML i Kresów Południowo-Wschodnich. Wracamy myślą do naszych stron rodzinnych. Wracamy na kolanach – tu w kościele św. Agnieszki, gdzie z jednej strony widać Wzgórze Wawelskie, z drugiej – przy pięknej pogodzie – Tatry i krzyż na Giewoncie.

*Ten krzyż ogarnia całą naszą ziemię, od Tatr po Bałtyk. Nasze miasto rozłożyło się również u stóp krzyża. U stóp szeregu krzyży stojących cicho, na bacność, równymi szeregami, na grobach tych, co mortui sunt ut liberi vivamus. Można z nich zedrzeć napisy, można wyrąbać litery! Ale nie można zatrzeć pamięci, nie da się wyrąbać miłości z naszych serc, bo trzeba by te serca wyrwać z piersi naszych.*

*Siostry i Bracia ze Lwowa! Za to Wam dzięki, że trwacie, że ten cmentarz odbudowujecie.*

*Jubilatom krakowskim składam serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia. Niech Jezus Miłosierny z pobliskich Łągiwnik, niech Pani Łaskawa z naszej Katedry, darzą was łaskami. A o Lwowie trzeba pamiętać, pamiętać, pamiętać! Amen.*

## **ZŁOTE ODZNAKI PO RAZ TRZECI**

Już po raz trzeci miała miejsce w Krakowie dekoracja Złotą Odznaką TMLiKPW zarówno zasłużonych członków Towarzystwa, jak i osób, których zasługi na rzecz Polaków i polskości na Ziemiach Południowo-Wschodnich, zostały wysoko ocenione (o poprzednich odznaczeniach pisaliśmy w CL 1/98 i 1/99). Dekoracji w trakcie uroczystości jubileuszu X-Lecia Oddziału Krakowskiego w dniu 11 V 1999 (o którym wyżej pisze J. Żuk) dokonał prezes Zarządu Głównego Towarzystwa, dr Andrzej Kamieński. Odznaczenia na wniosek Zarządu OK otrzymali:

**Tadeusz Krzyżewski**, dr ekonomii, ostatni z żyjących członków Zarządu Miasta Lwowa, w latach 1937–39 kierownik Biura Propagandy i Turystyki, rzecznik prasowy prezydenta Lwowa. Autor niezliczonych publikacji na tematy lwowskie, w tym kilku książek, m.in. „Księgi humoru lwowskiego”. Przez kilkadziesiąt lat jego artykuły ukazywały się w Biuletynie Koła Lwowian (ok. 80 tekstów). W dalszym ciągu – mimo sędziwego wieku – zasila liczne pisma krajowe swymi artykułami. Jest lwowianinem niezłomnym i bezkompromisowym. Członek TMLiKPW.

**Bogusław Grzybek**, muzyk, profesor, organista, dyrygent i kierownik Akademickiego Chóru „Organum” w Krakowie.

Szczególne umiłowanie i życzliwość prof. Grzybka dla Ziemi Wschodnich (sam jest rodem z Nowego Targu) owocuje od wielu lat wyjazdami Chóru na tournée po Małopolsce Wschodniej. Przed 1989 r. w Krakowie, w czasie okolicznościowych koncertów, najpierw pótficjalnych, potem już oficjalnych, pieśni i piosenki lwowskie zawsze były obecne, budząc ogólny entuzjazm. Od samego początku istnienia TMLiKPW prof. Grzybek uświetnia bezinteresownie swą grą na organach rocznicowe msze św. 22 XI w Bazylice Mariackiej. Przy każdej okazji propaguje pomoc dla Polaków i polskiej spuścizny kulturalnej na Wschodzie.

**Adam Chłopek**, nauczyciel, czołowy działacz polskiego środowiska w Drohobyczu, b. prezes tamt. oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej. Założył w Drohobyczu i kieruje polską „szkołą sobotnią”, która wypełnia istniejącą tam lukę w oświacie polskiej. Ostatnio jest współzałożycielem i redaktorem naczelnym „Głosu Nauczyciela”, którego pierwszy numer ukazał się niedawno.

**Piotr Korpanty**, architekt, fotografik. Rodem z Mielca – jest zakochany we Lwowie i całej tamtej Ziemi. Wykorzystuje każdą okazję (kilka razy w roku), by tam pojechać i fotografować zabytki, pamiątki, krajobrazy. Każda podróż owocuje setkami zdjęć i przeżyciami – tych ostatnich ma ponad 20 tysięcy. Nabył szeroką wiedzę o historii i zabytkach Lwowa i Małopolski Wschodniej, wykorzystując ją w ilustrowanych prelekcjach w Śródmiejskim Ośrodku Kultury, na uczelniach i różnych środowiskach, trafiając tym samym do publiczności nie związanej z Kresami. Prowadzi i oprowadza wycieczki po Ziemiach Wschodnich.

Z inicjatywy Zarządu Głównego TMLiKPW, Złotą Odznakę otrzymał również **Andrzej Chlipalski**, prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW.

Tadeusz Czerny

## HONOROWY OBYWATEL KRAKOWA

Z wielką satysfakcją przyjęliśmy wiadomość o nadaniu **Ojcu Adamowi Stuzińskiemu** Honorowego Obywatelstwa Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa.

Z Ojcem Adamem spotykamy się często – jest wszak kapelanem krakowskiego środowiska wygnańców ze Lwowa i Małopolski Wschodniej – z której pochodzi (co prawda nie usłyszeliśmy o tym na uroczystości). Na comiesięcznych spotkaniach w dominikańskim Kapitułarzu – to piękne miejsce Jemu zawdzięczamy – i w czasie dorocznych uroczystości modli się razem z nami, kieruje do nas gorące i mądre słowa. Mimo tej „codziennosci” naszych kontaktów w pełni zdajemy sobie sprawę, że O. Adam jest postacią historyczną, a swoje wielkie dokonania i zasługi rozłożył na wiele odległych od siebie dziedzin. Jest weteranem-bohaterem spod Monte Cassino, duszpasterzem kilku środowisk w Krakowie, znakomitym konserwatorem dominikańskich zabytków. Nie stroni od pióra – wydał ostatnio dwie ważne książki, z których tom wspomnień omawialiśmy na tych łamach (CL S/98. Patrz ponadto CL 2/97 i rozmowa w CL 3/96).

Czcigodnemu i Drogiemu Ojcu Adamowi składamy gratulacje i serdeczne życzenia Łask Bożych oraz sił do kontynuacji pięknych dzieł na wiele dalszych lat.

Oddział krakowski TMLiKPW poświęcił Ojcu Adamowi swoje ostatnie przed wakacjami spotkanie ogólne w dominikańskim Kapitułarzu. Wystąpił *rodzinny* zespół „Procontra”: Jadzia i Kasia Wrońskie oraz Marysia i Staś Pohoreccy, kierowani przez wspólnego dziadka, inż. Edwarda Jatożewskiego.

Karol Odrycki

## Notatki

◆ Nowym rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego na lata 1999–2002 został wybrany **prof. dr Franciszek Ziejka**, historyk literatury polskiej. Jego szczególne zainteresowanie dotyczy świadomości zbiorowej Polaków i temu głównie tematowi, szeroko zresztą pojętemu, poświęcone są napisane przezeń książki. Jest jednak między tymi kilkunastoma tytułami książka-album *Panorama Raclawicka*, którą omówimy w tegorocznym numerze specjalnym (CL S/99).

Panu Rektorowi składamy serdeczne gratulacje oraz najlepsze życzenia sił i sukcesów. Kadencja prof. Ziejki przypada bowiem na okres dla krakowskiej Almae Ma-

tris szczególny: jubileusz 600-lecia odnowienia uczelni i kontynuację jubileuszowych inwestycji. Jeśli doda się do tego rutynowe kierowanie olbrzymią uczelnią oraz własną pracą dydaktyczną i naukową, to widać, jak wielką pracę ma do spełnienia nowy Rektor.

◆ **W trakcie wizyty** *radnych* administracji Lwowa w Krakowie w trzeciej dekadzie maja, dotknięto również poruszaną wcześniej na różnych szczeblach sprawę osławionego napisu na płycie na Cmentarzu Orłąt. Nie wiemy natomiast, czy mówiono o bardziej ogólnych sprawach, np. o wytwarzanej we Lwowie antypolskiej atmosferze, przejawiającej się w permanentnym przeszkadzaniu m.in. w robotach na wspomnianym cmentarzu (pisze o tym nasza prasa), nieprzyjaznych dla Polski i Polaków wypowiedziach, artykułach w gazetach, napisach na murach polskich szkół itp. Patrz także w rubryce *Z tamtej strony*.

◆ Z okazji 50-lecia swej pracy artystycznej, znakomity **dyrygent Jerzy Katlewicz** otrzymał z rąk kardynała Franciszka Macharskiego Order św. Grzegorza, przyznany mu przez Stolicę Apostolską. Przed pięcioma laty został odznaczony medalem *Pro Ecclesia et Pontifice* za zasługi w popularyzacji archydział muzyki sakralnej.

O korzeniach prof. Katlewicza – patrz CL 4/96, s. 37.



Jerzy Katlewicz

## KULTURA NAUKA

### CHÓR „ORGANUM”

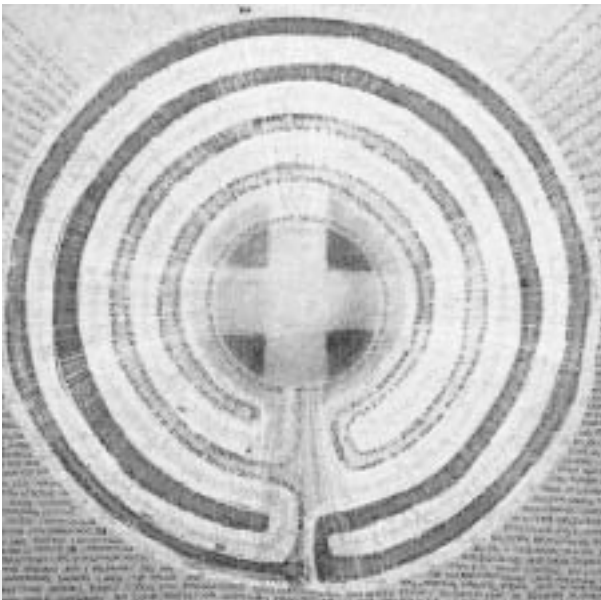
Wspaniały i ogólnie kochany Akademicki Chór „Organum” przy Klubie Inteligencji Katolickiej w Krakowie, stworzony i prowadzony przez naszego Przyjaciela, prof. Bogusława Grzybka, obchodził w tym roku swoje 30-lecie. Z tej okazji Ojciec Św. Jan Paweł II nadał Chórowi medal *Pro Ecclesia et Pontifice*, a uroczysty jubileuszowy koncert odbył się z końcem maja.

Jakże dobrze znamy ten Chór i Profesora, jakże serdecznie pamiętamy to wszystko, co dotąd razem uczynili. Wspominamy te niezwykle, patriotyczne koncerty na 11 Listopada w ostatnich latach zniewolenia, gdy cała przepelniona sala – za Chórem – na stojąco śpiewała *Pierwszą Brygadę* i inne pieśni patriotyczne, a łzy ciekły z oczu. I zawsze wkomponowane w program koncertu piosenki lwowskie – wtedy po raz pierwszy po kilkudziesięciu latach słyszeliśmy je publicznie wykonywane. Nie zapomnimy Wam tego!

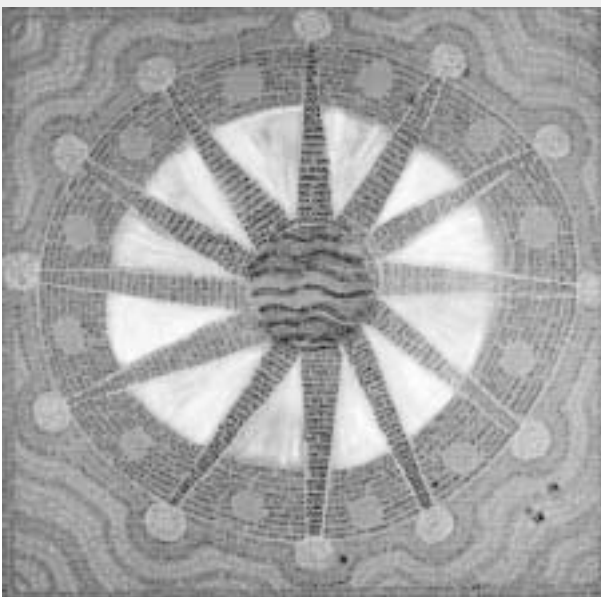
A te wyjazdy Chóru do Lwowa, do Sambora, Drohobycza, Kamieńca Podolskiego. Nawet w spotykanych po drodze kościołach zatrzymywano się, by przygodnym a zaskoczonym słuchaczom zaśpiewać polskie pieśni. I ta wizyta w jesiennym zmroku na Cmentarzu Orłąt, gdy ponad grobami popłynęła pieśń o umierającym Jurku... Jakże tego nie pamiętać? I wreszcie owo niespodziewane przybycie ze śpiewem na uroczystość X-lecia naszego Towarzystwa w sali „Sokoła” – czy można to zapomnieć?

Profesor Grzybek ma wspaniałe plany, związane ze Lwowem – z polską muzyką Lwowa, i nie tylko. Ale o tym napiszemy w odpowiedniej chwili.

W rubryce *W Krakowie i dalej* piszemy o udekorowaniu Profesora Bogusława Grzybka Złotą Odznaką TMLiKPW.



Obrazy K. Grzegockiej z cyklu  
*Jak wyobrazić niewyobrażalne*



## Jak wyobrazić niewyobrażalne

*Podróż do środka, czyli jak wyobrazić niewyobrażalne* – taki tytuł nosi wystawa grafik (rysunków w kolorze) Krystyny Grzegockiej ze Lwowa, otwarta na przełomie maja i czerwca w galerii w „Domu Polonii” Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Krakowie, przy Rynku Głównym 14. Dzieła to niezwykle: stanowią ilustrację – bardzo indywidualnie przez artystkę rozumianą – dzieł mistyków XVII wieku, Jakuba Boehme i Angelusa Silesiusa, przetransponowanych na język plastyki. Autorka wyraziła treści filozoficzne, stosując głównie odwieczną, magiczną formę koła. A patrząc na te obrazy jako na dzieła grafiki, zauważamy, w jak niezwykle różny sposób rozwiązuje Grzegocka ten sam symbol – stosownie do treści, które wypowiada.

Krzysia Grzegocka jest lwowianką z dziada pradziada. Ukończyła ASP w Warszawie (1990–95, dyplom z wyróżnieniem otrzymała w Pracowni Projektowania Książki prof. Janusza Stannego). Po studiach wróciła do Lwowa i tam – choć jej niełatwo – pracuje twórczo. Swoje wakacje poświęca plenerom, biorąc udział w *Warsztatach Kulturowo-Artystycznych*, organizowanych (dotąd) przez Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Przemyślu dla polskiej młodzieży z *tamtej strony*. Tworzy nie tylko dzieła takie jak pokazane na tej wystawie – maluje i rysuje motywy krajobrazowe i architektoniczne, widziane bardzo osobiście.

Omawiana wystawa jest pierwszym indywidualnym pokazem twórczości Grzegockiej na terenie RP (zawdzięczamy to krakowskiej „Wspólnocie Polskiej”, ale także inicjatywie krakowskiego oddziału TMLiKPW). Wcześniej był prezentowany tylko we Lwowie, w czasie ubiegłorocznego Festiwalu Kultury Polskiej (pisał o niej dr Andrzej Otko w CL 1/99). Jest więc Grzegocka nie tylko Polką z urodzenia i poczucia – jest w całym tego słowa znaczeniu przedstawicielką polskiej kultury.

Artystce serdecznie gratulujemy i życzymy dalszego rozwoju, wielu znaczących dzieł i licznych wystaw – także w Krakowie.

Maria K. Bohomolec

## ZAPOBIEC ROZPRASZANIU

Z prasy dowiedzieliśmy się, że na aukcji antykwarycznej w Krakowie w marcu tego roku wystawiono m.in. pieczęcie lakowe: arcybiskupa Jakuba Strzemię i lwowskiej kapituły metropolitalnej, obie z XIV wieku, oraz dokument z 1490 r. o odpuszczeniu dla kościoła we Lwowie (cena wywoławcza tego ostatniego była 1500 zł – dawne 15 milionów). Niestety nikt tych cennych zabytków nie wykupił.

Informacje takie pojawiają się raz po raz, i to zapewne nie tylko w Krakowie.

Szkoda, że nie powstała w Polsce instytucja archiwalno-biblioteczno-muzealna, która byłaby w stanie wykupywać część bodaj podobnych dokumentów, a także dzieł sztuki, pamiątek itp. W czasach komuny było to z samego założenia niemożliwe, a po 1989 r. także nikt nie wykazał zainteresowania tą dziedziną.

Są co prawda placówki, które *między innymi* kolekcjonują leopolitana – Muzeum Niepodległości w Warszawie, Muzeum Historyczne – Arsenał we Wrocławiu, także Ossolineum, obawiamy się jednak, że zawdzięczamy to pojedynczym, oddanym sprawie osobom, a nie instytucjom z samej ich istoty. Cała pociecha, że przedmioty o znaczeniu ponadlokalnym trafiają w miejsca, gdzie – choć nadal rozproszone – zyskują odpowiednie warunki przechowania. Zarazem jednak codziennie giną setki i tysiące przedmiotów – dokumentów i pamiątek ważnych (lub przynajmniej interesujących) dla Ziemi Wschodnich, których dotychczasowi posiadacze odchodzą z czynnego życia, a nawet gdy zmieniają miejsce zamieszkania.

Apelujemy więc od lat do członków krakowskiego oddziału TMLiKPW, by przynajmniej domowe pamiątki składali w archiwach – a bodaj w lokalu naszego Towarzystwa. My je sukcesywnie skierujemy do odpowiednich bibliotek lub archiwów. Ten sam apel kierujemy do innych oddziałów Towarzystwa, a przede wszystkim do Zarządu Głównego, o rozpatrzenie tej ważnej sprawy i zaproponowanie jakiegoś godziwego rozwiązania.

Antoni Robak

## Kronika

□ W poprzednim numerze informowaliśmy o wystawie malarstwa Romana Żygulskiego, który urodził się już w Krakowie, ale o swoich lwowskich korzeniach nie zapomina. Dziś o następnej wystawie – nieco starszego, bo jeszcze we Lwowie urodzonego – **Jana Stopczyńskiego**. Ekspozycja jego akwaeli marynistycznych i pejzażowych była czynna w kwietniu w „Kotle Artystycznym” przy ul. Mikołajskiej w Krakowie. Artysta studiował na tutejszej ASP u profesorów H. Rudzkiej-Cybisowej, L. Gardowskiego i W. Chomicza, brał udział w ok. 150 wystawach, także zagranicznych, miał wystawy indywidualne. Od kilku lat jest w Krakowie prezesem Stowarzyszenia Marynistów Polskich.

□ W trzeciej dekadzie kwietnia odbyła się w Jaśle sesja naukowa, zorganizowana przez rzeszowską WSP, a poświęcona **rozwojowi przestrzennemu miast galicyjskich**. W sesji brali udział naukowcy polscy, austriaccy i ukraińscy, ale główny akcent – jak można się domyślić z doniesień prasowych – został położony na rozwój Galicji i jej miast, od chwili uzyskania przez ten kraj autonomii w latach 1860-tych, co oznacza przejście zarządzania w nim – w ręce polskie. *Królestwo Galicji i Lodomerii powstało w 1772 r. z ziem zabranych przez Austrię w wyniku I rozbioru Rzeczypospolitej. Do 1867 r. w Galicji panował marazm gospodarczy, a Wiedeń systematycznie germanizował te tereny. Uzyskanie autonomii w zasadniczy sposób zmieniło warunki życia w zaborze austriackim* (cytat z „Dziennika Polskiego” 99/99).

Mamy nadzieję, że za jakiś czas otrzymamy materiały posesyjne w formie wydawnictwa. Zapewne za dwa lata, jak uczy doświadczenie z podobnych imprez.

□ Corocznie przyznawane są **nagrody im. Hugona Steinhausa** autorom najlepszych polskich książek popularnonaukowych w zakresie matematyki. W tym roku nagrodę tę otrzymali dwaj pracownicy naukowcy Instytutu Matematyki UJ – Krzysztof Ciesielski i Zdzisław Pogoda.



Przypomnijmy, że Hugo Steinhaus (1887–1972) to światowej sławy polski matematyk, jeden z twórców *lwowskiej szkoły matematycznej*, znakomity myśliciel i pisarz. Po wojnie osiadł we Wrocławiu i tam zmarł.

Profesorostwo Steinhausowie mieszkali we Lwowie przy ul. Kadeckiej. W ich salonie Leon Chwistek (ożeniony z siostrą Steinhausów) wykonał wielkie malowidło ścienne. Nie wiadomo, czy ono istnieje. Może ktoś zbada?

□ W maju odbyły się w Krakowie 11. Dni Muzyki Kompozytorów Krakowskich, zorganizowane przez Związek Kompozytorów Polskich, pod patronatem prof. Krystyny Moszumańskiej-Nazar.

W programie zauważyliśmy oczywiście **utwory kompozytorów o lwowskim rodowodzie** (brali udział w pamiętnym koncercie „Homagium Leopoli” w 1994 r. – patrz CL 1/95 i 4/96). W ciągu 9 dni wykonano m.in. dzieła K. Moszumańskiej-Nazar (6 utworów), Bogusława Schaeffera (3) i Tadeusza Machla (1). Zaskoczeniem było dla nas zaprezentowanie dwóch kompozycji **Zdzisława Jachimeckiego** (1882–1953), którego pamiętamy jako profesora-muzykologa. Jachimecki, urodzony we Lwowie i tamże wykształcony (pod kierunkiem Stanisława Niewiadomskiego; później kontynuował studia w Wiedniu), od 1907 r. działał w Krakowie jako profesor UJ i tu stał się pionierem polskiej nauki o muzyce oraz – obok znakomitego lwowskiego profesora, Adolfa Chybińskiego – wychowawcą pokoleń wybitnych polskich muzykologów i krytyków muzycznych. Sam komponował jedynie w pierwszym okresie swej szerokiej twórczości.

Państwo Zdzisław i Zofia (której portret pędzla T. Axentowicza pokazaliśmy w CL 1/99) Jachimeccy byli postaciami znanymi w sferach intelektualno-artystyczno-towarzyskich Krakowa pierwszej połowy tego wieku. Ich mieszkanie przy ul. Grodzkiej było pełne dzieł sztuki i pamiątek. W ub. roku minęła 45. rocznica śmierci Profesora.

□ Z końcem czerwca obchodzono w Krakowie 20-lecie partnerstwa Krakowa i Norymbergi. Wśród wielu imprez znalazła

się (pierwsza po wojnie) **wystawa rysunków Stanisława Wyspiańskiego** z podróży do Norymbergi. Ekspozyty pochodzą – no, skąd? Ależ oczywiście, wypożyczone z *Lwowskiej Galerii Sztuki*, a także z krakowskiego Muzeum Narodowego.

□ Również w czerwcu odbyła się w Krakowie uroczysta intronizacja nowego króla kurkowego. Z tej okazji zjechało się wiele gości z innych miast, a także z Niemiec i Francji, zaś w *Celestacie* (przy Parku Strzeleckim) otwarto wystawę pt. *Bractwo Kurkowe grodu bytomskiego*, którego zbiory są po prostu **pamiętkami Bractwa Lwowskiego**.

Ile to miast obdzielili Lwów swoimi dobrami, i tyle jeszcze tam zostało (a ile rozkradzono i zniszczono?)!

## Książki czasopisma

📖 Ani autorzy, ani wydawnictwo serii ***Materiałów do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej*** nie zawiodą: ukazał się (jak co roku w porze zimowej) kolejny tom, już szósty. Omawia kościoły i kaplice na obszarze przedwojennego dekanatu drohobyckiego, a jest tych obiektów teoretycznie 28 (żaden nie był czynny za sowieckich czasów). Niestety 8 z nich dziś nie istnieje, dziewiąty jest na najlepszej drodze do niestnienia, w całkowitej ruinie. Dwa kolejne zostały tak zniekształcone przez przebudowę, że trudno w nich rozpoznać dawne świątynie. Traf chce, że są to kościoły w Stebniku i Podbużu – w pierwszym mógł być chrzczony Juliusz Leo, w drugim Józef Dietl, ponieważ obaj wielcy prezydenci Krakowa właśnie z tych miejscowości pochodzili. Następne dwa kościoły są nadal magazynami, a jeden odbudowano z ruin na schronisko turystyczne.

Z pozostałych 14, tylko 4 są nadal świątyniami rzymskokatolickimi: fara drohobycka, kościoły w Medenicach, Słońsku i Trus-



Tak wygląda dziś dawny kościół w Podbużu k. Sambora. Tu mógł być ochrzczony Józef Dietl, ponieważ w tym miasteczku się urodził w r. 1804. Wg *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej*, t. VI

kawcu. Dodajmy, że kościół w Medenicach był całkowicie zniekształcony (rozebrano wieżę, wyburzono sklepienia i założono płaskie stropy, a obiekt służył jako klub młodzieżowy (taka radziecka dyskoteka, podłana marksistowsko-leninowskim sosem).

Przed paroma laty medeniccy Polacy dokonali czynu heroicznego – przywrócili kościołowi niemal całkowicie dawną strukturę i wygląd. Kościółek w Truskawcu służył za Sowietów jako... planetarium. Warto dodać, że do Drohobycza, Medenic i Truskawca trafiły 4 ołtarze, usunięte w 1992 r. z krakowskiego kościoła Bonifratrów przy ul. Krakowskiej (patrz artykuł A. Chlipalskiego: *Piękny dar (ołtarze dla fary w Drohobyczu)* „Semper Fidelis” 4/92).

Pozostałe 10 kościołów zamieniono na cerkwie, z tego aż 3 w Boryslawiu i 2 w Drohobyczu. Jest między nimi również kościół w Rychcicach pod Drohobyczem, ufundowany z pocz. XX w. przez hr. Juliusza Bielskiego, właściciela dobrze nam znanego pałacu przy ul. Kopernika 42 we Lwowie (piszemy o nim w tym numerze).

Tom wydało – tak jak poprzednie – Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie (1998). Redaktorem naukowym był prof. Jan Ostrowski, a współpracowało pięciu autorów.

Zamieszczono prawie trzy i pół setki ilustracji – fotografii aktualnych i archiwalnych oraz rysunków.

Książka do nabycia w księgarniach naukowych.

📖 O kościołach ormiańskich w archidiecezji lwowskiej pisał T. Petrowicz w książce *Od Czarnohory do Białowieży* (jej omówienie – w CL 3/98).

Ostatnio otrzymaliśmy opracowanie naukowe **Jacka Chrzyszczewskiego: *Ormiańskie świątynie na Podolu*** (wyd. Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne, Kraków 1998), poświęcone świątyniom z czasów przed unią i po unii z Kościołem rzymskokatolickim (1666 r.), położonym w zasadzie na obszarze tzw. (dawniej) Podola rosyjskiego, wzdłuż biegu Dniestru, poniżej ujścia Zbrucza. Wyjątkiem (po tej stronie Zbrucza) jest kościół Bogurodzicy w Jazłowcu, zbudowany przed unią, między XVI a XVII w. (obecnie zawłaszczony przez grekokatolików).

Wśród bogatego materiału ilustracyjnego pokazano także rzut katedry ormiańskiej we Lwowie, z oznaczeniem faz rozbudowy od małego kościółka z XIV w. po parokrotnie powiększony (w XV, XVII i XVIII w.) stan dzisiejszy.

Książka do nabycia w księgarniach naukowych.


📖 Sporo pisano o architekturze Lwowa minionych wieków (choć brakuje nam omówienia epoki gotyckiej, bo przecież Lwów powstał w rozkwicie tamtej właśnie epoki), natomiast mało zdajemy sobie sprawę z bogactwa dokonań architektonicznych w naszym wieku – ściślej w jego trzecim i czwartym dziesięcioleciu – inaczej mówiąc w latach między wojnami. Wyjaśnijmy, że to, co działo się wcześniej, zaliczamy *ideowo* do „przedłużonego” wieku XIX, to zaś, co nastąpiło po II wojnie – śmiało możemy sobie darować.

Lukę więc wypełniła autorka z Wybrzeża, pracownik naukowy Politechniki Gdańskiej, **Romana Cielątkowska**, wydając spory tom zatytułowany ***Architektura i urbanistyka Lwowa II Rzeczypospolitej*** (wyd. Agencja „Art-Styl”, Zblewo 1998) przy finansowym wsparciu – co warto odnotować – Politechniki Gdańskiej oraz Biura Pełnomocnika Rządu ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą. Książka jest obszerna (format A4, ponad 400 stron), zawiera z górą pół tysiąca ilustracji – zdjęć (wykonanych osobiście) i rysunków.

Autorka jest wyraźnie zafascynowana – i słusznie – międzywojenną architekturą Lwowa. To wielka krzywdą, że dzisiejsi Polacy, szczególnie architekci, historycy sztuki i w ogóle ludzie kultury z całej epoki po II wojnie światowej, nie mają żadnego wyobrażenia, ile doskonałej architektury powstało we Lwowie w latach międzywojennych. Także w Krakowie możemy zobaczyć sporo przykładów lwowskiej szkoły architektury (krakowscy architekci kształcili się wtedy przeważnie we Lwowie), ale trzeba sprawiedliwie zauważyć, że szkołę tę – obok znakomitych twórców lwowskich – współtworzyli w jakimś stopniu krakowianie – profesorowie lwowskiej Politechniki. *Exemplum*: Teodor Talowski czy Adolf Szyszko-Bohusz (choć ten ostatni był w Krakowie przybyszem).


Obfitość zilustrowanych przykładów to rzecz może chwalebna, jednak w pewnych granicach. Powiedzmy szczerze, że autorka dała tych przykładów za dużo, co przedstawionemu wyborowi nie wychodzi na dobre: należało przeprowadzić ostrzejszą selekcję i odrzucić obiekty podobne lub mało oryginalne (nie wszystkie wszak mogą być dziełami sztuki!). Należy wybaczyć autorce nieprzekonywający porządek w układzie całej książki, niezbyt szczęśliwy system numeracji ilustracji i nie najwyższy poziom składu komputerowego (co nie ją bezpośrednio obciąża). Pomimo tych marginesowych zastrzeżeń, książkę Cielątkowskiej trzeba powitać jako wydarzenie, które uzupełnia i podbudowuje naszą wiedzę o kulturowej roli Lwowa w *ostatnich godzinach przed potopem*.

Książkę można dostać w księgarniach naukowych i u autorki.

 Jest już druga pozycja z serii Zabytki kultury polskiej poza granicami kraju, o której to serii pisaliśmy w CL 2/98. Obecnie otrzymaliśmy **Ryszarda Brykowskiego: Kołomyja. Jej dzieje, zabytki** (wyd. Stow. „Wspólnota Polska”, Warszawa 1998). Bardzo polecamy tę bogato ilustrowaną książeczkę (ponad 90 zdjęć i reprodukcji), która przedstawia w sposób popularny stolicę Pokucia – jedno z najciekawszych i pięknie zabudowanych miast wschodniomałopolskich.

Autor, profesor w Instytucie Sztuki PAN, jest rodowitym kołomyjaninem i zarazem wiceprezesem „Wspólnoty Polskiej” w Warszawie, aktywnym w dokumentowaniu i ratowaniu zabytków, szczególnie na Pokuciu.

Książka dostępna w księgarniach o profilu naukowym.

 Do serii opracowań na temat naszej wschodniomałopolskiej mowy (która wcale nie sprowadza się do *bałaku*), doszedł wydany pośmiertnie tomik prac prof. **Jana Zaleskiego** (1925-81), zatytułowany: **Polszczyzna Kresów Południowo-wschodnich. Język Aleksandra Fredry i inne studia** (Wydawnictwo „Viridis”, Kraków 1998). Autor był wielkim miłośnikiem twórczości Fredry, nie dziw więc, że teksty Zaleskiego, poświęcone największemu polskiemu komediopisarzowi i jego *lwowskości* – przede wszystkim jego językowi – zajmują prawie połowę książki (3 rozdziały). Zaleski opracował nawet aż 20-sronicowy słownik wyrazów Fredry, o proveniencji lwowsko-przemyskiej i staropolskiej, a także francuskiej, niemieckiej lub ruskiej. Nie brak w nim nawet wyrazów niecenzuralnych.

Inny rozdział dotyczy nazw miejscowych w województwie tarnopolskim – temu tematowi zresztą poświęcił Jan Zaleski osobny słownik pt. **Nazwy miejscowe Tarnopolszczyzny**, wydany również pośmiertnie przez Ossolineum (Wrocław 1987).

Pozostałe rozdziały nowej książki dotyczą różnych zagadnień językoznawczych. Książkę uzupełniają: życiorys i omówienie dorobku naukowego prof. Zaleskiego, opracowane przez redaktora naukowego książki, prof. Leszka Bednarczuka i innych, oraz wspomnienie syna, znanego dobrze w Krakowie ks. Tadeusza Issakowicza-Zaleskiego.

Wypada dodać, że Jan Zaleski urodził się w Monasterzyskach na Podolu, gdzie mieszkał do 1945 r., potem znalazł się w Zakładzie Naukowo-Wychowawczym w Krzeszowicach, gdzie ukończył szkołę średnią. Studiował polonistykę na krakowskiej WSP i tej uczelni pozostał wierny aż do przedwczesnej śmierci, przechodząc wszystkie szczeble naukowej kariery.

Książka dostępna w księgarniach o profilu naukowym.

Osoba i twórczość pisarska Zygmunta Haupta są mało w Polsce znane, choć zasługują na uwagę. Przyczyną jest zapewne to, że pisarz spędził swą owocną połowę życia poza krajem, a ilościowo jego dorobek nie jest bogaty, choć wysoko przez krytyków ceniony. Obok wielu artykułów prasowych napisał tylko dwie książki: *Pierścień z papieru* i *Szpicę*, a ta druga zdobyła znaczące nagrody.

Z. Haupt urodził się w 1907 r. w województwie tarnopolskim – w Ułaskowcach nad Seretem. Ojczyście Podole ukochał szczególną miłością i poświęcił mu piękne słowa w swych utworach. Z wykształcenia był architektem i malarzem, a w latach II wojny światowej walczył w Polskich Siłach Zbrojnych, m.in. pod gen. Maczkiem. Po wojnie osiadł w USA i tam zmarł w roku 1975.

Książkę o emigracyjnym pisarzu napisał **Aleksander Madyda**, pt. **Zygmunt Haupt. Życie i twórczość literacka** (Wyd. Uniwersytetu M. Kopernika, Toruń 1998), a zrecenzował ją Józef Dużyk na łamach „Dziennika Polskiego (104/99), skąd zaczerpnęliśmy powyższe informacje.

Książka do dostania w księgarniach naukowych.

O Koropcu były już kilka razy wzmianki w naszym kwartalniku, ale zawsze jako o siedzibie hr. Badenich. Miejsowość ta, pięknie położona u ujścia rzeki Koropiec do Dniestru, była niegdyś miasteczkiem, potem – na skutek najazdów tatarskich – straciła swoją pozycję i stała się wsią. Do czasu żyli w niej zgodnie Polacy, Rusini i Żydzi. Było też trzech lekarzy: Polak, Rusin i Żyd, ale największe wzięcie miał ten ostatni, bo najtańszy!

O swym rodzinnym Koropcu opowiada lekarz, zamieszkały dziś we Wrocławiu, **Michał Sobków** w książce pt. **Koropiec nad Dniestrem** (Wydawnictwo Poznańskie, 1999). Autor, syn Polaka i Rusinki, z wielką swadą opisuje niełatwe życie i wydarzenia w czasach przedwojennych, potem koszar lat wojennych, których tłem są zmieniające się okupacje, niemieckie i sowieckie prześladowania, ale na czoło wybija się zbrodnicza działalność elementu ukraińskiego.

Przykładem niech będzie opis wymordowania Polaków w Korościatynie przez bandę, którą dowodził młody ksiądz grekokatolicki z Monasterzysk, a w której brali udział nawet dwunastoletni chłopcy. W ciągu kilku godzin zabito z niebывалым okrucieństwem 160 osób, nie oszczędzając nawet niemowląt.

Ostatnia część książki to opis wypraw autora w ojczyście strony w latach powojennych, ma tam bowiem znajomych i krewnych. Tu dramat miesza się z groteską – powinniśmy dziękować Opatrzności, że uchroniła nas przez lata PRL-u i najnowsze od takiego stopnia dezorganizacji życia, zatracenia hierarchii wartości, beznadziejnej biedy. Czują to doskonale sami Ukraińcy – jeden z nich zapytał autora: *Kiedy wy Polacy wreszcie do nas przyjdziecie i będzie tu Polska?* Nie tylko jemu zadano w cztery oczy takie pytanie.

Książkę można nabyć w oddziałach TMLiKPW.

Podarowano nam niezwykłą książkę: dzieje **Rodziny Eminowiczów**, spisana przez znanego w Krakowie profesora historii w V Liceum, **Marka Eminowicza**, a wydaną z okazji 360. rocznicy (!) przybycia do Polski protoplasty rodu, Murada (Kraków, 1988). Polska przeszłość rodziny związana była od samego początku – jak można się domyślić – ze Lwowem, bo tam ów Murad Eminowicz, rodem z tureckiej Ankar, osiedlił się w roku 1628. W naszym mieście dość szybko się zaaklimatyzował, ożenił się z lwowską Ormianką i wszedł w posiadanie kamienicy, zwanej odtąd *Murad-Eminowiczowską*, przy ul. Ormiańskiej. W szóstym pokoleniu po Muradzie, gdzieś w ciągu XIX wieku, rodzina podzieliła się na dwie gałęzie: jedna pozostała we Lwowie, druga osiadła w Krakowie (choć i we wcześniejszych pokoleniach Eminowiczowie osiedli byli w Krakowie). Autor, pan Marek, wywodzi się z tej drugiej i reprezentuje 10. generację po Muradzie Eminowiczu. Na samym dole drzewa genealogicznego rodu jest już pokolenie dwunaste, ale, jak zauważamy, przedstawiciele tej generacji, i to z obu gałęzi, noszą w dużej części imiona, które nie brzmią ani po ormiańsku, ani po polsku: Michael, John,


Andrew, Anthony lub Lindsay. Takie dziwne losy jednej rodziny.

Nim atoli doszło do amerykańskiej części rodziny, Eminowicze będąc Ormianami, stali się dobrymi Polakami. Synowie Murada byli już polskimi szlachciami (herbu Dołęga); syn Stefan był nawet zarządcą zamku królewskiego we Lwowie. Ich potomkowie walczyli w polskich powstaniach, od kościuszkowskiego poczynając. Przedstawiciele linii lwowskiej mieli majątek ziemski w jaworowskim powiecie. Inny Eminowicz, Marceli, był znanym adwokatem w Stanisławowie i założycielem oddziału Towarzystwa Tatrzańskiego w tym mieście. Z jego to inicjatywy zbudowano schronisko na Zaroślaku pod Horwłą.

I tak dalej. Trudno tu streszczać losy i dokonania wielu dziesiątków przedstawicieli tej ciekawej rodziny (choćby z czasów obu wojen światowych). Trzeba natomiast wyrazić podziw dla autora pokazanego dzieła o 260 stronach dużego formatu (A4) i setkach ilustracji – fotografii ludzi i kopii dokumentów z kilku wieków.

Książki nie ma w sprzedaży.

Stefan S. Łukowski


 Spełniło się marzenie wychowanków profesora Witolda Habdank-Kossowskiego – twórcy i pierwszego dyrektora Państwowego Gimnazjum i Liceum w Stalowej Woli, który do tego miasta przybył ze Lwowa w 1936 roku (jego postaci poświęcimy sylwetkę w następnym numerze). Po wielu latach zabiegów władze miasta zdecydowały się na dofinansowanie książki o tym wybitnym pedagogu, przyjacielu młodzieży, wielkim patriotcie, organizatorze tajnego nauczania podczas hitlerowskiej okupacji w Stalowej Woli, i wrażliwym poecie. Zrządzeniem losu książka ta miała ukazać się dopiero teraz – jako wydawnictwo Muzeum Okręgowego w Stalowej Woli – okazało się bowiem, iż orędownikiem takiej placówki był już u zarania dziejów tego miasta Witold Kossowski.

Autorem książki *Życie i twórczość Witolda Habdank-Kossowskiego* jest jego nieżyjący już brat **Tadeusz Kossowski** (Wydawnictwo „Sztafeta”, Stalowa Wola 1999). Trochę szkoda, że wydania tej książki nie

poprzedziła edycja wierszy, znanych tylko niektórym osobom. Wcześniejsza ich znajomość ułatwiłaby lekturę omawianej tu książki, która ma charakter pracy analityczno-krytycznej. T. Kossowski ukazuje bowiem aktywne życie swego brata, odzwierciedlone w jego poezji. Witold Kossowski był poetą piszącym raczej dla siebie, do szuflady, a pierwszym i często jedynym czytelnikiem jego twórczości była żona Maria, również lwowianka.

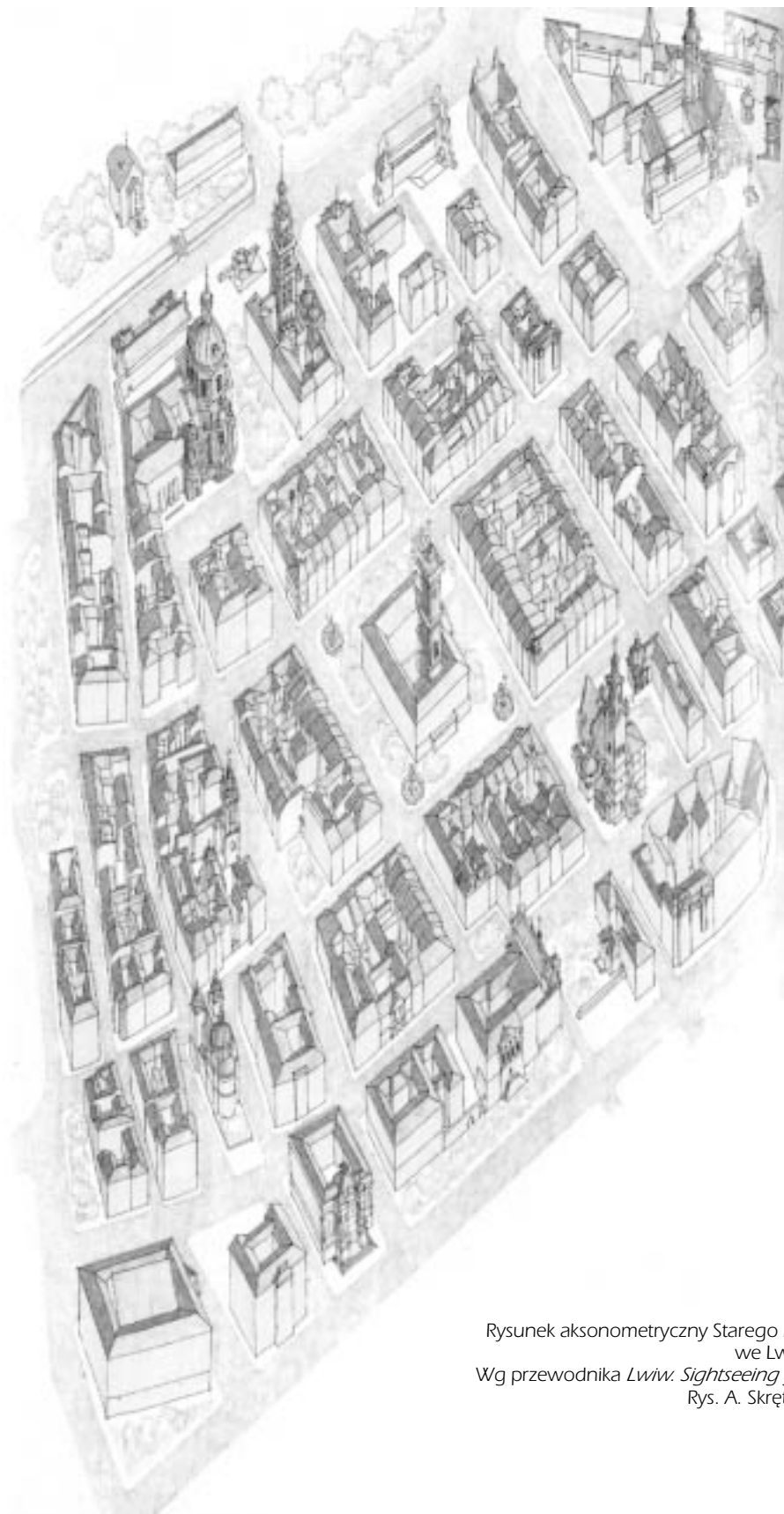
Książka do nabycia w księgarniach lub w Regionalnym Muzeum w Stalowej Woli

Janusz M. Paluch

 Nie mieliśmy dotąd okazji omawiania książki, wydanej we Lwowie i Lwowa dotyczącej. Nie dochodziły do nas bowiem, a te, które dochodziły, cechowała natrętna propaganda (nie mówiąc o sowieckim *chlampie*) i zwykła bujda historyczna. Po raz pierwszy więc zdarza się nam omówić takie wydawnictwo: dwujęzyczny – ukraińsko-angielski przewodnik po mieście pt. *Lwiv – sightseeing guide (Lwów – przewodnik turystyczny)*, wydany przez *Centr Ewropy* we Lwowie (1999), a napisany przez cały zespół autorów, wśród których zauważamy znane nam już nazwiska Jurija Biriulowa i Borysa Woźnickiego. A więc ludzie nauki i kultury na najwyższym poziomie, dobrze wiedzących, co to jest Lwów.

Nowy przewodnik to gruba książeczka o prawie 550 stronach (w tym informacje dla turystów oraz trochę reklam. Niestety brak indeksu ulic) i formacie A5, na doskonałym, kredowym papierze i niezwykle bogato ilustrowana: około tysiąca fotografii, reprodukcji rysunków i planików – jakość wszystkich bez zarzutu (bardzo nam do gustu przypadły małe, kolorowe perspektywki zabytków, smacznie narysowane chyba przez Andrzeja Skrętowicza).

Autorzy tekstu gruntownie przeorali całe miasto (może aż za bardzo?). Omawiają ulicę po ulicy, nie uchodzi im żaden prawie obiekt wartościowy historycznie lub artystycznie (parę braków by się znalazło, np. pałac arcybiskupów łańciskich). Przy dużej części ulic podają nazwy przedwojenne (co istotne) – to samo dotyczy kościołów, ważniejszych szkół i innych obiektów publicznych (pominięto to jednak przy uniwersyte-



Rysunek aksonometryczny Starego Miasta  
we Lwowie.  
Wg przewodnika *Lviv. Sightseeing guide*.  
Rys. A. Skrętowicz

cie). Wymieniają nazwiska wybitnych profesorów i pisarzy, architektów i artystów oraz właściciele ważniejszych domów czy willi, także w odniesieniu do obiektów XX-wiecznych.

Dotąd więc same pozytywy – dotyczą one podstawowej części przewodnika. Jej autorom należą się wyrazy uznania.

Jest jednak też druga strona medalu. Oto informacje historyczne – niezbędne w takim opracowaniu – są jakby zawieszane w próżni – czyżby to relikwiny *minionej epoki*? Absolutnie nie wiadomo, co i kogo reprezentują te wszystkie wspaniałości. Rzucającym się w oczy przykładem są liczne nazwiska wybitnych ludzi, którzy się we Lwowie urodzili i w nim działali, o których obcy użytkownik przewodnika nie musi albo nie może nic wiedzieć. Kto jest np. *famous writer (sławny pisarz)* Jan Parandowski albo *prominent philosopher (wybitny filozof)* Kazimierz Twardowski lub *well-known historian (dobrze znany historyk)* Oswald Balzer? Takich nazwisk występuje kilkadziesiąt, poczynając od króla Jana III, przez Fredrę, Zapolską, Banacha, Łukasiewicza, Kasprowicza i cały szereg innych – wyjątek zrobiono dla Konopnickiej i Kilińskiego. Ani przeciętny Ukrainiec (np. z Charkowa), a tym bardziej Anglik lub Amerykanin nie może wiedzieć, o kogo chodzi – do jakiego kręgu kultury należał ten pisarz, filozof czy artysta, a wreszcie, jaki był związek Lwowa z owym kręgiem (co wiąże się wszak z kształtem lwowskiej urbanistyki, architektury i sztuki, a także mecenatem).

W przewodniku brakuje więc krótkiego bodaj rysu historycznego, istotnego z uwagi na bardzo dawne i mniej dawne zaszłości w dziejach miasta.

Zamieszczono natomiast *kalendarium*, które jednak niewiele wyjaśnia. Na samym początku umieszczono datę 1349 r. (powinno być chyba 1340-49) – *podbój* Lwowa przez króla Kazimierza Wielkiego. Autorowi wypadałoby zwrócić uwagę, że nie był to *podbój*, lecz legalne w świetle ówczesnego prawa – drogą sukcesji – przejęcie tego terenu. A że były i starcia zbrojne – to oczywiście, bo część bojarów była za, część przeciw, w dodatku nie obyło się bez *konkurentów*: Litwy i Węgiei. Różnice zdań i opcji nie były i nie są

niczym dziwnym, mamy je także w naszej dobie, a co dopiero w średniowieczu. Ważne jest to, że Lwowowi to *zwojuwanie* wyszło na dobre.

Pod datą 1572 r. mowa o rozpoczęciu budowy cerkwi Wołoskiej (*Uspieńskiej*). No pięknie, ale wcześniej była budowa czołowego, bo gotyckiego zabytku starego Lwowa – katedry łańciskiej. A gotyku w nowożytnym Lwowie nie mamy za wiele – dlaczego? Bo w 1527 r. był wielki pożar – który w kalendarium odnotowano – ale jakby abstrakcyjnie, nie wyjaśniając jego skutków dla miasta. Pożarów wszak bywa wiele, ale ten był szczególnie, skoro go wymieniono. Pominęto też budowę cennej, niezwykłej w Europie katedry ormiańskiej.

Rok 1661 – założenie uniwersytetu. Nieświadomy Ukrainiec lub Amerykanin pomyśli – bo jakżeby inaczej – że skoro miasto jest na Ukrainie, to i ten uniwersytet ukraiński. A więc fałsz historyczny. A Ossolineum, a oba teatry – Skarbka i Wielki?

Podano datę powstania „Gazette de Leopol”, ale wcześniej były „Avertissements” (1772), też po francusku, lecz wydawane przez lwowianina Pillera, podczas gdy tamta przez obcego, francuskiego przedsiębiorcę. Sądzymy, że przede wszystkim należało napisać o fenomenie długowieczności w skali europejskiej – „Gazecie Lwowskiej”, która wychodziła od 1811 r. do II wojny, a nawet za okupacji niemieckiej (patrz CL 1/97), i od paru lat znowu.

Konkludując: strona koncepcyjno-wydawnicza przewodnika bezwzględnie góruje nad stroną historyczną. Wszystko, co podano w kalendarium, jest w zasadzie prawdą, lecz nie całą prawdą, wybiórczo potraktowaną. Pominienia i niedomówienia podrywają wiarygodność – powstaje błędne koło. A szkoda, bo przewodnik mógłby być świetny.

Warto dodać na zakończenie, że w dobie integracji europejskiej unika się jednostronnego punktu widzenia. Przykładem niech będzie Wrocław, gdzie dawno zarzucano ukrywanie niemieckiej przeszłości tego miasta. I tak jest wiarygodniej.

Książki nie ma dotąd w sprzedaży na terenie RP.

Andrzej Chlipalski

Jest co czytać (10)

## GŁOSÓW MAŁEJ OJCZYZNY CIĄG DALSZY

Recenzja nie całkiem bezstronna

Jako stanisławowianka związana serdeczną nicią z ziemią południowo-wschodnimi, a więc i z Tłumaczem (losy mojej rodziny krzyżowały się z tym miastem i tą ziemią), zaczęłam przeglądać „Zeszyty Tłumackie”. Prawdę powiedziawszy, przeglądanie owo skończyło się na czytaniu numerów od deski do deski, a w miarę czytania rosło moje zainteresowanie i podziw zarówno dla autorów tego periodyku, jak i dla miasta, jego dziejów, walki o polskość społeczności. Wydało mi się, że słyszę (powtarzam za Olgą Tokarczuk) *niesłyszalny rytm obecności dawnych mieszkańców* Tłumacza, w niezwykle sposób stałam się jedną z nich, poprzez znajome nazwiska, jakieś niuświadomione skojarzenia, dawno zasłyszane od babci opowieści (była nauczycielką w Tłumaczu). Jakże plastycznie zobaczyłam to kresowe *bytovanie* w latach pokoju, ale także ciężkie chwile wojny, Sybir, powojenną tułaczkę. Zaiste losy ludzkie bogatsze są niż podręczniki historii. Postanowiłam napisać zatem parę zdań na temat tego ciekawego pisma.

Proponuję tym, którym nieobojętne są nasze Kresy z całym ich bogactwem i znaczeniem dla Polski, serdeczne pochylenie się nad Tłumaczem „nie bardzo podłym miastem”, widzianym przez wiernych jego mieszkańców. A że jest to miasto szacowne, stare i nade wszystko mocno z Rzeczpospolitą związane, niech świadczy choćby taki wypis z książki dostępnej w Bibliotece Jagiellońskiej: Ewaryst Andrzej Kuropatnicki – *Geografia albo dokładne opisanie królestw Galicyi i Lodomeryi*, Przemyśl 1786, str. 94: *Tłumacz, Miasto J.W. Potockiego, szambelana J.C.K. Apost. Mści i kawal. orderu św. Stanisława. Za czasów dawniejszych z całą dzierzawą to miasto szło na zysk i pensy-*

*je dla tłumaczy języków orientalnych w służbie Rzeczypospolitej zostających.*

Kwartalnik „Zeszyty Tłumackie” (pismo TMLiKPW – Oddział Tłumaczan we Wrocławiu), nieoceniona kopalnia wiedzy o tym mieście, będzie nam przewodnikiem. Już w spisie treści widzimy stałe rubryki: I. Historia Tłumacza, II. Tłumacz w XX-leciu międzywojennym, III. Tłumacz w latach wojennych, IV. Sylwetki tłumackie (kresowe), V. Kościół pod wezwaniem św. Anny – tłumaccy księża, VI. Tłumacki Holocaust, VII. Wiadomości z życia tłumaczan, VIII. Ulice Tłumacza, IX. W cieniu białych nocy i czarnych dni (wspomnienia z Sybiru), a wreszcie rubryka *Odeszli*.

Dobieramy sobie zatem nasze czytelnicze *menu* kresowe według upodobania: a to historię w różnych czasach istnienia miasta, a to jego przedwojenne i wojenne losy (poprzez świadectwo mieszkańców), a to sylwetki profesorów, katechetów, szkoły, tętniące życiem kółka tematyczne, obyczajowe, a to różne refleksje osobiste, czy wreszcie wiersze, bo i tych nie brakuje. Natrafiamy także na swoisty biuletyn łączności z czytelnikami, poprzez publikację listów i sprawozdań ze zjazdów.

Nie ma żadnej drętwej mowy. Autorzy piszą jak im serce dyktuje, i nie tylko serce; znanstwem tematu i erudycją zadziwiają zwłaszcza autorzy tekstów historycznych. Wymienić tu szczególnie należy Tadeusza Kukiza, Michała Nikosiewicza, ks. Lesława Jeżowskiego czy Tadeusza Pelikana. Bez końca można by wymieniać nazwiska tych, których teksty budzą zaciekawienie, wzruszenie, czasem bicie serca, a może i łzę w oku. W „Zeszytach Tłumackich” widać się całe dynastie tłumaczan, którzy przeżyli exodus i pozostali wierni swemu miastu, także na obczyźnie. Na uwagę np. zasługują opracowania dotyczące Tłumacza z wydanej w Londynie książki Kamila Barańskiego *Przemienili zagońcycy, chliborobi, chasydzi*, a także przez trzy lata publikowane wyjątki z przetłumaczonej przez Michała Nikosiewicza książki Shlomo Blonda *Sprawiedliwi, prawi – nie Żydzi*.

Wielki ukłon w stronę pani Danuty Tańskiej-Juhasz, redaktorki naczelnej „Zeszytów Tłumackich” (również autorki wielu różnych opracowań) oraz całego szanownego Zespołu.



Na zakończenie taka mi się nasunęła refleksja – to niemal truizm, ale nie zaszkodzi – uświadomić sobie raz jeszcze, że to nasze kresowe pochylenie się z pietyzmem nad przeszłością, owo przysłowio- we „ocalenie od zapomnienia” – jest jak najbardziej aktualne teraz, w dobie jednoczącej się Europy. Wszak ta „Europa ma- łych ojczyzn” – to idea przyszłości: *Flores multi, radix una*. Wielka część duchowego życia Polski wywodzi się z Kresów, i o tym nie wolno nam zapomnieć.

Halina Konopkova

## Wertując wydawnictwa

⇒ **Skandaliczne wydarzenia**, związane z Cmentarzem Orłąt skłoniły nawet Władysława A. Serczyka, felietonistę „Dziennika Polskiego” (skądinąd profesora historii w Białymstoku), do napisania dość ostrego – w ogólnym wydźwięku – artykułu pt. *A cóż to za wojacy* (nr 117/99). Trzeba było aż tak brutalnych uderzeń, by autor powstrzymał się od usprawiedliwiania i rozgrzeszania (kosztem naszej godności) chamskich napaści, które trwają od lat, tyle że są coraz bardziej spektakularne.

Ten sam felietonista („Dz.P.” 134/99) wpadł na niezwykle pomysł, by w Przemysłu powołać uniwersytet na wzór *Viadriny*, utworzonej przez władze Brandenburgii we Frankfurcie nad Odrą, *gdzie kształcą się wspólnie młodzi Niemcy i Polacy, mozolnie budując porozumienie ponad granicą państwową...* No cóż, po stronie wschodniej – znając różnice w stylu kształtowania młodzieży polskiej i ukraińskiej – obawiali- byśmy się najgorszych skutków: wcielania z neoficką gorliwością *europajskości* po stronie polskiej, zderzonej z dość kontras- tującą z nią postawą wychowawców i młodzieży drugiej strony. Nie mówiąc już o ak- tywności pewnej części tamtej młodzieży w dziedzinach, o których pisze prof. Serczyk...

Sądźmy, że żadna ze stron jeszcze nie dojrzała do podobnie *szlachetnych* przed- sięwzięć.

⇒ „Polityka” nr 22/99 opublikowała **roz- mowę z prof. Stanisławem S. Nicieją**, przeprowadzoną przez Mariusza Urbankę, pt. *Mił Lwowa*. Wyrażamy nasze uznanie

i wdzięczność Profesorowi, który w historii Lwowa odnajduje wielkość, a w jego dias- porze niezwykłą siłę duchową i intelektual- ną, dzięki której Miasto żyje nadal, mimo fizycznej nieobecności w Polsce powojen- nej. Dodajmy – i nadal żyć będzie, bo nie ma polskiej kultury bez Lwowa i całych Kresów, na co w CL – rejestrując fakty – zwracamy uwagę nieustannie.

Rozmówca Profesora staje na wyso- kości zadania, popełnia tylko jeden – jak się nam wydaje – mało zresztą istotny błąd: cytat o *ruinie malowniczej utopii* pochodzi z wrednego wywiadu z niejakim Jackiem Kolbuszewskim, zamieszczonym swego czasu w tejsze „Polityce”, a następnie nie- potrzebnie przedrukowanym przez Biule- tyn „Wspólnoty Polskiej”. Pisaliśmy o tym w CL 3/98.

⇒ W krakowskim „Dzienniku Polskim” (nr 117 i 123/99) Józef Baran publikuje *Re- fleksje z podróży po Ukrainie*, ściślej po obu częściach Podola – po tej i tamtej stronie Zbrucza. Autor opisuje odwiedza- ne grody Rzeczypospolitej i odkrywa ich polskość (Krzemieniec, Kamieniec Podol- ski, Złoczów, Zbaraż i wiele innych miejsc), opisuje biedę i smutek *Sennego półzycia* (to tytuł drugiego odcinka). I brak zaintereso- wania losem Polaków ze strony polskich władz. Pisze: *W Kamieńcu [...] wyremont- wali kamienicę, gdzie mógłby się zmie- ścić ośrodek kultury polskiej. Są gotowi to oddać pod opiekę Krakowowi... Ojcowie miasta w Krakowie interesują się jednak współpracą z Norymbergą, a nie Kamień- cem Podolskim, choć w Kamieńcu na każ- dym kroku polonica. Ze względu na ma- lownicze położenie nad przepastnymi jarami ten głęboko wysunięty na wschód i południe bastion polskości cieszył się opinią najpiękniejszego w Rzeczypospoli- tej miasta...*

⇒ W tymże „Dzienniku Polskim” (nr 117/ 99) przeczytaliśmy artykuł Wiesława Ziobry *Dzwony w słusznej sprawie*, który opi- suje perypetie **znanej odlewni dzwonów Felczyńskich**. I oto jakie zdanie tam znaj- dujemy: *Felczyńscy [...] pierwszą ludwi- sarnię założyli w XIX w. w Poznaniu-Ka- łuszu... (!) Na litość Boską, w jakim Po- znaniu?*

Panie redaktorze Ziobro, podejmując temat, należałoby zapoznać się z tym i owym, czego nie wyniosło się ze szkół. Także z historią i geografią (w skali tematu)! Kałusz to miasto powiatowe w Małopolsce Wschodniej, w województwie stanisławowskim, znane przede wszystkim z kopalni soli potasowych i przemysłu chemicznego. A także z owej ludwisarni, która wykonywała dzwony dla połowy ziem polskich.

⇒ Już parokrotnie wspominaliśmy o wiadomościach *retro*, którym „Dziennik Polski” w swym cotygodniowym, sobotnio-niedzielnym wydaniu poświęca całą stronę (sądzymy, że czerpie je głównie z przedwojennego *Ikaca*, czyli „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”). Wśród tych ciekawostek **zawsze pojawiają się leopolitana**.

I tak w nrze 129/99 przedrukowano doniesienie z 30 kwietnia 1921 o *tajemniczej epidemii, która szaleje w Mościskach – dotkniętych nią zostało już prawie 500 osób, a dalsze zachorowania mnożą się*. A może jeszcze żyje ktoś, kto to pamięta? – to pytanie kierujemy do Pani prezes Teresy Teterycz.

W nrze 135/99 wiadomość z 7 lipca 1922 o odkryciu nowych, bardzo bogatych źródeł ropy w zagłębiu borysławskim, na kopalni „Rahoczyn” k. wsi Popiele, z głębokości 1400 m. Szyb nr 1 daje dwa wagony ropy na godzinę – ilość, jakiej nie daje żaden szyb w tej okolicy. Równocześnie odkryto obfite złożo gazu ziemnego.

W nrze 165/99 wg prasy z 28 czerwca 1927, w dzień złożenia prochów Juliusza Słowackiego na Wawelu: przybyło 25 tys. osób ze wszystkich stron Polski. Ze Lwowa rannym pociągiem przyjechało 2000 osób (z Warszawy 1000), ponadto m.in. ze Stanisławowa, Drohobycza, Rohatyna, a także z Wilna, Grodna, Łucka, Brześcia n. Bugiem, Kowla. Nie wymieniono krzemieńczan, ale trudno sobie wyobrazić, by ich nie było. Może przyjechali lwowskim pociągiem? Stawił się też zastęp Obrońców Lwowa.

⇒ Parokrotnie już tu wzmiankowany miesięcznik – **Biuletyn Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”** w każdym numerze publikuje materiały i informacje, w dwojakim układzie: wedle państw, w których żyją

Polacy i Polonia, oraz wedle oddziałów Stowarzyszenia w RP. Tym samym w każdym numerze otrzymujemy również porcję tekstów związanych z życiem Polaków na Ukrainie i w Małopolsce Wschodniej oraz informacje o działalności oddziału krakowskiego SWP.

W nrze 3/99 znajdujemy m.in. „fotoreportaż” zadedykowany *Obrońcom Lwowa*, zawierający kilkanaście zdjęć z 1918 r. i komunikat o aktualnej sytuacji odbudowy tej nekropolii.

W artykule poświęconym „Polskiemu Informatorowi”, wydawanemu w Londynie, przedstawiono jego *główną sprężynę* – Annę z Madejewskich Moszczyńską, Iwówiankę (ur. 1913). Studiowała prawo na UJK, pracowała w Starostwie Grodzkim m. Lwowa, potem, do wojny, w Miejskiej Kasie Oszczędności. Na początku okupacji sowieckiej organizowała opiekę nad rannymi żołnierzami polskimi. W lutym 1940 została wywieziona na Syberię, ale wyostała się statmąd z Wojskiem Polskim, by przez Teheran i Nairobi (gdzie aktywnie pracowała na rzecz Polaków) dostać się do Londynu. Wszystkie następne lata poświęciła pracy w POSK (Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym).

⇒ Kolejny raz z prawdziwą przyjemnością notujemy *leopolitana*, zamieszczone w „Kurierze PKP”, znajdowanym w pociągach ekspresowych. Periodyk ten staje się coraz grubszy i elegantszy, ma już piękną błyszczącą okładkę i kolorowe ilustracje.

W nrze 43/marzec '99 znajdujemy artykuł *Secesyjne detale*, w którym autor Waldemar Gosk omawia **wspaniałości lwowskiego dworca głównego**, oddanego do użytku w 1904 r., a projektowanego przez arch. Władysława Sadłowskiego. Autorem niektórych detali był Alfred Zachariewicz (syn wielkiego Juliana – twórcy gmachu Politechniki Lwowskiej). Piękne detale metalowe, jak brama, barierki (niestety nieistniejące) itp. wykonała fabryczka Józefa Goreckiego w Krakowie. Cudem techniki, ale i sztuki była stalowo-szklana konstrukcja hali nad peronami. Autor artykułu pisze, że *na dworcu we Lwowie udało się stopić w jednolitą całość inżynierię, architekturę, rzemiosło i sztukę*.

W innym artykule, *Pociąg pancerny* (autor E.B.) mowa o udziale tej broni m.in. w walkach o Lwów w 1918 r.

⇒ W kwietniowym, jednorazowym dodatku do „Dziennika Polskiego” *Lato 1999*, znaleźliśmy ilustrowany zdjęciami artykuł pt. **Od Howerli do Popa Iwana**. Autor, Kazimierz Wiech, rozpoczyna swój tekst słowami: *Czy nazwy wymienione w tytule mówią coś Państwu? Obawiam się, że nie. A tymczasem... ponad sześćdziesiąt lat temu expres „Narty, dancing, bridge” wiozł tysiące turystów i narciarzy z Warszawy [dlaczego tylko z Warszawy?] do Worochty, do zapomnianego już dziś centrum sportów zimowych*. Pisze dalej o kolejkach wąskotorowych i schroniskach (po których nie zostało śladu), o rozpoczętych i niedokończonych sowieckich *turbazach*, o zaśmieconym szczycie Howerli (ale ozdobionym flagami), o naszych słupach granicznych i ruinach obserwatorium na Popiwanie. Także o ciągle widocznych śladach I wojny – okopach, zasiekach – i marszu polskich Legionów. A nade wszystko o pięknie bezkresnych gór, ciszy i cudownych kolorach kwiatów, nieznanym w Tatrach...

⇒ W Polsce bawił znany amerykański muzyk, kompozytor muzyki do przeszło 50 filmów (m.in. do *101 dalmatyńczyków*), Michael Kamen. Nie byłoby w tym nic dla nas szczególnego, gdyby nie to, że artysta wyznał w wywiadzie dla „Rzeczypospoli-

tej”, iż zna dobrze polską muzykę – niejako przez Lwów: dzięki swojej rodzinie (od strony matki), **która pochodziła ze Lwowa**.

⇒ Wspominając w „Dzienniku Polskim” 146/99 (*Ale nam się wydarzyło*) czerwową pielgrzymkę papieską, ks. Mieczysław Maliński zauważa, że *wszystkie miasta zostały pobite przez Gliwice*, gdy po mszy, na którą Papież nie przybył, wszystko zdemontowano, a potem – w ciągu jednej nocy, wysiłkiem setek ochotników na nowo zbudowano, oraz, że na tę powtórna mszę, zamiast spodziewanych pięciu tysięcy, przybyło pół miliona wiernych. Ojciec św. wtedy powiedział do nich: *Widać, że Ślązak cierpliwy i twardy!*

Tu musimy dodać „nasze pięć groszy”: Gliwice leżą na Śląsku, ale gliwiczanie to tak, jak dzisiejsi mieszkańcy Bytomia, Zabrze i innych wielkich miast tej części Górnego Śląska – **w olbrzymim procencie lwowiacy**, ich dzieci i wnuki. Lwowiacy szeroko rozumiani: ludzie osiadli tam po wygnaniu z całej Małopolski Wschodniej.

⇒ W „Gazecie Lwowskiej” 6–7/99 znaleźliśmy piękną relację **z uroczystości X-lecia krakowskiego oddziału TMLiKPW**, napisaną przez p. Irenę Massalską, uczestniczkę tego spotkania z ramienia GL, zaś w nrze 8–9 przedruk jednego z tekstów z wydanego przez nas tomiku *Listy ze Lwowa* Kornela Makuszyńskiego.

Malwina Piskozub

---

## ODPUST W NIŻNIOWIE

(dokończenie ze s. 30)

wejściem. Jej wyposażenie przedstawiało się skromnie: na ścianie ołtarzowej wisiął z boku obraz św. Antoniego, który ufundowała moja Mama, przyjaciółka i dobrodziejka tutejszych zakonnic. W pobliżu kaplicy znajdował się pokój, przeznaczony dla księdza kapelana. Czekają na niego łóżko biało zaścielone, chodnik na podłodze z niemałowanych desek, stolik nakryty wzorzystą serwetą, krzesła, klęcznik, obrazy, kwiaty. Przez otwarte okno, przesłonięte muślinową firanką, wpływał świeży powiew z zewnątrz. Wszędzie czystutko, schludnie. Ks. Witkowski zażartował, że może ja zajmę kiedyś ten

pokój. Odpowiedziałem śmiechem, ale w głębi duszy nic nie miałbym przeciw temu. Podobało mi się tutaj. Zakonnice proponowały ks. Witkowskiemu, aby spędzał u nich wolne dni, a nawet urlopy, ale nie zauważyłem u niego zainteresowania tą propozycją.

Towarzyszyły nam przełożona i siostra ucząca w szkole. Słyszałem, że była dobrą, uzdolnioną wychowawczynią. Jej lekcje pokazowe miały być wzorowe. Siostry zaprowadziły nas do salki lekcyjnej, dość dobrze urządzonej. W tej jednej klasie, bardzo jasnej, jak wszystkie tutejsze pomieszczenia, gromadziły się sukcesywnie dzieci

z Zagórz, a może i z pobliskich osiedli, na naukę szkolną i zajęcia przedszkolne.

Siostra przełożona przymusiła nas, abyśmy spożyli w jadalni przygotowany podwieczorek. Księża czynili to z oporami, ja – nie, bo zawsze smakowało mi jedzenie w domach zakonnych... Smaczne i estetycznie podane.

Przed obiadem rzuciliśmy okiem na budynki gospodarcze w podwórzu. Siostry trzymały w nich również żywy inwentarz. Przez jedne wierzaje widniały narzędzia i urządzenia rolnicze. Przy pożegnaniu zakonnice prosiły, aby nie zapominać o nich i znowu zajrzeć do Zagórz. Księża wymawiali się zajęciami, odległością, a ja dziwiłem się, że nie zapowiadają swojego ponownego, rychłego przybycia. Ja bym to uczynił bez

wahania. Przecież te siostry spełniają ważną pracę dla Kościoła i Polski, nie mają możliwości jakiegoś odprężenia się, rozrywki. Odwiedziny znajomych, przyjacielska rozmowa są ich niemal jedyną, ziemską radością. Dlaczego jej skąpić?

Zanim, usadowieni w powozie, oddaliśmy się całkiem od zakonnego domu, pokiwaliśmy jeszcze rękami siostrą, które stały przed nim. W lesie pomiędzy Zagórzem a Łokutkami jakoś inaczej pachniało niż rano: mniej było kwietnej woni, a więcej zapachu młodego listowia. W dole pokazał się Tłumacz. Kończyła się nasza odpustowa podróż. Zrobiło mi się smutno.

---

Ks. LESŁAW JEŻOWSKI mieszka obecnie w Piwnicznej.

---

---

## WIKTOR BAWOROWSKI I JEGO BIBLIOTEKA

(dokończenie ze s. 13)

---

W liście do W. Kętrzyńskiego Baworowski pisał: *Urządzenie i uprzystępnienie mej Biblioteki raz na zawsze i niezależnie od innych postanowień fundacyjnych jest mi najmilszym mym marzeniem i jedynym celem pracy lat moich – jakie mimo nadwątlone zdrowie, okropne ciężary fiskalne, klęski i niedobory – spodziewam się może niezadługo osiągnąć.* Niestety, śmierć przerwała te zamierzenia fundatora. Dopiero w 1900 r. nastąpiło otwarcie Biblioteki Fundacji Baworowskiego. Korzystali z niej głównie uczeni Uniwersytetu Lwowskiego i innych uczelni.

Gdy w roku 1939 Lwów został zajęty przez Związek Radziecki, biblioteki naukowe – w tym tu omawianą – włączono w skład Akademii Nauk USRR. W czasie okupacji niemieckiej (1941–44) utworzono *Staatsbibliothek in Lemberg* z trzema oddziałami. Drugi oddział tego tworu stanowiły Ossolineum i Biblioteka Fundacji Baworowskiego. Po wyparciu Niemców ze Lwowa ponownie włączono je do Ukraińskiej Akademii Nauk.

W czasie II wojny światowej księgozbiór Wiktora Baworowskiego uległ rozproszeniu. Część trafiła do Warszawy i Wrocławia, większość jednak pozostała we Lwowie. Archiwum Główne Akt Dawnych

otrzymało 31 rękopisów z lat 1436–1848. Są to księgi miejskie (XVI–XIX w.) m.in. Tarnopola i Lanckorony, roczniki miasta Łowicza, rachunki żup wielickich, zbiór autografów z XVII–XVIII w. i inne.

W dziale rękopisów Biblioteki ZN im. Ossolińskich znalazły się dokumenty pergaminowe z XIV–XVII w., 47 inkunabułów i in. Także do działu starszych druków weszło ponad tysiąc pozycji z księgozbioru Baworowskiego, a do gabinetu numizmatycznego włączono monety prywatne, sporządzone na wewnętrzny użytek magnatów, będące w posiadaniu fundatora.

Większość księgozbioru Baworowskiego znajduje się w tzw. Bibliotece im. W. Stefanyka we Lwowie. Samych druków z I połowy XVI w. jest 261. Pochodzą z takich oficyn jak: Hieronima Wietora, Macieja Szarfemberga, Jana Hallera, Floriana Unglera.

Sumując to, co wyżej napisano, trzeba stwierdzić, że obok Biblioteki ZN im. Ossolińskich powstawała we Lwowie druga, bez mała nowa pod względem wartości dokumentalnej zbiorów, księżnica – dzięki kolekcjonerskiej pasji i ofiarności finansowej Wiktora Baworowskiego. Księgozbiór, jaki został utworzony, był różnorodny pod względem formalnym i treściowym. Obok nowszych druków zgromadzono w nim rękopisy,

stare druki, inkunabuły, dyplomy, obrazy. Sąsiadowały obok siebie dzieła literackie i naukowe. Były komplety arcydzieł literatury światowej i rodzimej. Znajdował się przebogaty dział grafik i ilustracji. Udostępniony za życia fundatora w niewielkim stopniu, a dopiero ogółowi społeczeństwa w naszym wieku, stał się źródłem inspiracji i nieocenionym materiałem dla wielu badaczy. W czasie II wojny światowej rozproszony, ale nie zniszczony, w głównej mierze przecho-

wywany w dzisiejszym Lwowie, może nadal służyć uczynom w ich pracy.

---

JÓZEF SZOCKI, ur. 1931 w Grodziszczanach (Grodzieńskie). W l. 1951–55 studia filologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Doktorat z bibliotekoznawstwa (U.Wr. 1967). Pracownik naukowo-dydaktyczny WSP w Krakowie od 1990 r. Habilitacja w tejże uczelni w 1995 r. Od 1997 profesor WSP w Krakowie. Autor ponad 300 prac z zakresu bibliotekoznawstwa, czytelnictwa, prasoznawstwa i historii literatury.

---

## UKOCHANY DOM I KOWER (dokończenie ze s. 33)

---

bo choć pracował na kolei w Stryju, w wolnych dniach dorabiał. Tam też była maszyna do szycia dla mamy, a w czasie okupacji mój warsztat pracy. Pod oknem od drogi na całej długości metrowej ławy stało radio z akumulatorem i dużą tubą. [...] Sąsiedzi przychodzili, aby posłuchać, co się dzieje w kraju i na świecie, muzykę, a w niedzielę mszę św., choć byli w kościele. Przy radiowej mszy zachowywali się tak jak w kościele – stali podczas Ewangelii, klękali przy podniesieniu, odmawiali *Ojcze nasz*, słuchali w skupieniu kazania.

Niemcy zabrali radio, ale ojciec zrobił takie malutkie, nawijał różne cewki z drucików, osadzał kryształik, którym regulowano stacje i głos. Przez całą okupację nocami ślezczałam przy tym aparacie, szukając wiadomości po polsku, aby rano podać zainteresowanym, co się dzieje na froncie i świecie.

W pierwszych dniach wojny dom służył uciekinierom ze Lwowa, szumiał gwarem głosów i śmiechem dzieci, pachniał gotowanymi potrawami. Po zajęciu terenów wschodnich przez Sowieców, w naszym domu gromadzili się ludzie na *mityngi*, które prowadził jakiś żołdak, dumny z misji, jaką mu powierzyła radziecka władza. Nie słuchano tego, co mówił, bo nikt nie znał rosyjskiego języka, a wręcz przeciwnie, różnymi dwuznacznymi słowami wyśmiewano jego występ, czego nie rozumiał.

Dom ten był azylem dla siostry ojca, która uciekła przed wywózką na Sybir w lutym 1940 r. z dwójkiem małych dzieci, i siedziała w piwnicy, gdy żołdacy, pładrując

mieszkanie, szukali niebezpiecznego zbiega. Jeden z nich, ze zbrojecką gębą, przyłożył ojcu pistolet do głowy, grożąc że zabije, jeżeli nie wyda buntowniczkę. Ojciec błąd jak ściana, usta dygotały mu ze strachu, w domu dzieci zaczęły płakać, a ciocia słuchając pogródźek, była zdecydowana wyjść z piwnicy. Siedziała tam przez kilka dni, w dzień tylko, aż do odjazdu transportu z zesłańcami. Została i nikt jej nie wydał.

Dom nasz gromadził ludzi w różnych ciężkich chwilach w czasie okupacji, gdy trzeba było chronić się przed bandami ukraińskimi, i nie tylko. Był taką twierdzą: miał mocne drzwi wejściowe, grube dębowe okiennice, nakładane od środka jako zabezpieczenie przed włamaniami i kulami. Miałam wrażenie, że mogę być bezpieczna w jego murach. Nawet osobiste przeżycia malały, bo mury tego domu odgradzały po prostu od kłopotów tego świata – tamtego świata, który był nieprzyjazny dla każdego człowieka, nie tylko młodego. [...]

Chruściano-drewniana stodoła, kryta gontem, oddzielała podwórko od domu, a za stodołą była podmokła łąka z wysokimi olchami, śliwką, czereśnią i jabłonią. Z owoców tych nikt nie korzystał, obawiając się użądlenia pszczoł. Pasięka składała się z kilkunastu uli, zrobionych przez ojca, a jej „mieszkańki” były postrachem dla ludzi, którzy przychodzili po wodę do studni. Obok stodoły i szopy była „walkowana” stajnia z okienkiem i dziurą na odpływ gnojowicy. Zabudowania położone niżej domu były prawie niewidoczne, osłonięte krzakami jaśminu, dzikiej róży i czarnego bzu.

Na dole tych „zabytkowych”, rozpadających się budynków użytkowych była studnia z podskórną wodą z drewnianą cembrowiną, która przysparzała wiele problemów i nam, i tym, którzy z niej korzystali. Kilka razy do roku trzeba było oczyścić drewno wewnątrz studni, wylać wodę – zwłaszcza na wiosnę i po ulewnym deszczu. Gnieździły się w niej żaby, które z pluskiem wskakiwały do studni z pobliskiej łąki. Cała prawie wieś korzystała z tej wody, nosząc ją na nosidlach, w tamtej gwarze – *koromysłach*. Dopiero przed wojną co możniejszy gospodarz starał się mieć wodę na swoim podwórku.

Dom stał w otoczeniu starych i wysokich drzew owocowych różnego gatunku. Po każdej burzy pod drzewami leżały jabłka i gruszki, a sąsiadki, idąc po wodę, zbierały pełne fartuchy tych owoców albo zamiast wody zbierały jabłka do wiader. Nie pytano o pozwolenie, ale też nikt nie bronił zbierać owoców, które uległyby zepsuciu. Wiosną sad pachniał fiołkami, potem zdobyły go niebieskie kwiaty barwinka, rosnącego na skarpie podwórka. Przy płocie od lata do jesieni pęczniały jasne grona chmielu, płożąc się po krzakach i pobliskich drzewach. W przydomowym ogródku rosły różne kwiaty, zbierane po całej wsi. Wszystko to było nieuporządkowane, pomieszane floksy z malwami i georginiami, żółte lilie z kosaćcami – ot taki kwiatowy bałagan, który miał swój urok.

Od zachodniej strony był rząd świerków gęsto rosnący, odgradzał sad od ogrodu i pola, które równym pasem ciągnęło się do Kózkowej drogi. Przy świerkach był maliniak, gęsto zarośnięty krzewami. W maliniaku w czasie okupacji ojciec wykopał schron, który służył do schowania cenniejszych rzeczy, a także w razie niebezpieczeństwa napaści – dla ludzi. Schron był mały, niski i duszny, ale był, i niewiele osób o nim wiedziało, bo tamtędy nie było żadnego przejścia.

We wszystkich domach, w moim także, zachowane były tradycje i zwyczaje ze świętami całego roku. W wigilię Bożego Narodzenia dziadek przynosił do domu słomę, którą wyścielał podłogę, a w kącie pokoju stawiano snop żyta, zwany *dziadem*. Po słomianym dywanie chodziło się podnosząc wysoko nogi, aby nie zmierzić, bo

miała być prosta do Nowego Roku. Ale nigdy nie była prosta, bo dzieci pod nieobecność rodziców bawiły się jak w stodole.

Chodzenie po kolędzie sprawiało każdemu dziecku przyjemność nie tylko śpiewania kolęd, ale zbierania pieniędzy, które były łakomym kąskiem w tamtych czasach. A więc biegali po domach grupowo i pojedynczo, wyprzedzając się wzajemnie, wykrzykując to śpiewanie albo życzenia noworoczne pod oknem lub drzwiami. Starsi mieli też kolędowanie – zbierali pieniądze na potrzeby kościoła.

Wielkanoc i tradycja święcenia potraw nie zagubiła się, ale nabrała innego znaczenia. Kiedyś babcie z wnukami wychodziły wczesnym rankiem w Wielką Sobotę, niosąc na plecach wielki wiklinowy kosz, w którym mieściła się duża babka, wędzona szynka z kością, kilka pęt kiebas, jajek kopa, chrzan, osetka masła, sól, chleb – prawie całe wielkanocne jedzenie. Po rannej mszy św. i ceremonii święcenia ognia i wody święcił kapłan potrawy, których zapach roznosił się po całym kościele. [...]

Okres poprzedzający Święta Wielkanocne był przygotowaniem duchowym i materialnym, bo wiele rodzin oszczędzało przez dłuższy czas, aby święta były obfite w potrawy, których brakowało przez cały rok.

Zielone Święta – ileż w nich było piękna, radości, uroku. Każdy dom, choć miał rosnące przy nim drzewa, a przy ganku rosły różne lub powoje, ozdobiony był gałęziami brzozy i lipy, a do wejścia robiono alejki z brzózek. Podwórko i podłogi w izbach wyścielano tatarakiem, którego zapach roznosił się po domu. Podobnie ozdabiano wnętrze kościoła – dużymi gałęziami brzóz, posadzkę posypywano tatarakiem. Niejedna osoba poślizgnęła się na rozdeptanym zielsku.

W naszym domu do 1939 r. żyło osiem osób: dziadkowie, rodzice i czworo rodzeństwa. Byłam najstarsza, potem Janina, Urszula i Tadeusz. Ania urodziła się w czasie okupacji. Dziadkowie Jan i Katarzyna byli przybranymi rodzicami mojej mamy, co wcale nie przeszkadzało w uczuciach ani rodzicom, ani nam. Kochaliśmy tych dziadków bardzo, o co byli zazdrośni prawdziwi dziadkowie, mieszkający w sąsiedniej wsi.

Dziadek był stróżem i gospodarzem domu. Pilnował prac polowych, wykony-

wanych przez wynajętego robotnika, w nocy sprawdzał, czy w zagrodzie nie grasują złodzieje, których nie brakowało w okolicy. Trzeba przyznać, że tacy goście często nas odwiedzali, uszczuplając komorę z zapasów, a kurnik z ptactwa. Życzeniem babci było, aby złodziej porósł piórami. [...]

Wojna przerwała moją edukację w lwowskim gimnazjum. Do ruskiej dziesięciolatki w Pustomytach było mi „nie po drodze”, więc siedziało się w domu, dokształcało w czym się dało i robiło, co było potrzebne.

Ukochany dom i Kower żegnałam 18 marca 1946 r. ze łzami i szlochając tuliłam się do jego murów, całowałam ściany, głaszałam je rękami, obejmowałam ramionami drzewa, a potem nabrałam wodę ze studni do butelki, ziemię spod progu domu, nałamałam kilka bezlistnych gałązek jaśminu i już nie oglądając się za siebie, poszłam polną drogą do stacji w Glinnej.

Ukrainka, która zajęła nasz dom, patrzyła ze smutkiem na moje pożegnanie – co myślała wtedy?

## PO LATACH

Gdzieś głęboko w sercu coś mi mówiło, że tu nie wrócę, że nie zobaczę tego domu, tej wioski, że nie pozbięram tych ludzi, z którymi żyłam. Dlatego z takim uporem starałam się zapamiętać każdy dom, ścieżkę, drogę, pola, łąki, rzeczkę z mostem, zagajnik i porszniańską górę. Wróciłam na kilka dni po 45 latach – z żalem patrzyłam na zmienione okolice, ale Koweru już nie znalazłam, ani mojego domu, ani żadnego – wszędzie tylko woda i woda, i obcojęzyczni turyści pływający na kajakach i łódkach, i las – gdzie były nasze pola, ogrody. Nawet porszniańską górę zalesiono. Przytuliłam się do jakiegoś drzewa, które miało być drzewem z mego ogrodu, i płakałam nad sobą. Płakałam za wioską, którą zatopiono, i nad niesprawiedliwym zrządzeniem losu, który rozrzucił po świecie ludzi, pozbawiając ich rodzinnych stron. [...]

*Pani Marcjanna załączyła do swej pracy konkursowej tomik poezji swej siostry, Janiny Oparowskiej (której jeden z wierszy już drukowaliśmy w CL 2/98). Z tomiku, zatytułowanego „Ku Ziemi tamtej – ku lwowskiej Ziemi”, wybraliśmy „Marzenie”:*

*Polecieć nad polami  
poszybować nad lasami  
przywołać – czego już nie ma*

*Dotknąć ziemi rodzinnej  
ucałować jej grudkę ciemną –  
odnaleźć siebie wśród cieni*

*Przejść przez ścieżki i drogi  
nie wiedzieć – co jest wrogię  
napatrzeć się – by nie zapomnieć  
odtworzyć tak jak było  
co w sercu i w pamięci się skryło  
by żyć – i czasem wspomnieć*

*Raz jeszcze wejrzeć w ten krajobraz  
zarejestrować każdy odgłos –  
wkomponować w melodię przeszłości*

*Całe teraz tam życie  
włożyć do serca skrycie  
i otoczyć powiewem miłości*

---

MARCJANNA SZALĘGA, z domu Olszewska, ur. 1923 w Kowerze k. Nawarii pod Lwowem, tamże spędziła dzieciństwo i pierwsze lata młodości. Uczyła się w Gimnazjum Sióstr Opactwa Bożego we Lwowie, w czasie wojny – na tajnych kompletach. W 1946 r. ekspatriowana, osiadła wraz z rodziną w Urazie k. Wrocławia i pracowała tam do 1947 r. Po zamążpójściu wraz z mężem uprawiała 9-hektarowe gospodarstwo w Snowidzy w Legnickiem. Tam też pracowała jako katecheta i uczyła na kursach dla dorosłych. Brała udział w wielu konkursach na wspomnienia, była korespondentką czasopism, otrzymywała nagrody. Ma 5 synów z wyższym wykształceniem, wnuki i prawnuki.

JANINA OPAROWSKA, z domu Olszewska, ur. 1926 w Nawarii pod Lwowem. Dzieciństwo i pierwsze lata młodości spędziła w przysiółku Kower k. Nawarii. W 1946 r. ekspatriowana, osiadła wraz z rodziną w Urazie k. Wrocławia. Ukończyła studia polonistyczne, pracowała jako nauczycielka, była dyrektorką szkół. Obecnie na emeryturze, mieszka we Wrocławiu. Działa w kilku organizacjach, m.in. w Komitecie Pomocy Odbudowy Kościoła w Nawarii. Jest autorką wielu artykułów o tematyce wychowawczej i religijnej, publikowanych w czasopismach. Pięć wierszy o treści religijnej i poświęcone rodzinnej ziemi. Ma dwoje wykształconych dzieci i wnuki.

---

# BIEDERMAJEROWSKI KIOSK I SECESYJNA WYGÓDKA

Krakowski „Dziennik Polski” nr 37/99 przedrukował ze starej prasy krakowskiej (19 lutego 1906) taką oto notatkę:

### KIOSKI WE LWOWIE

Na ukończeniu jest już budowa we Lwowie kiosków do sprzedaży gazet. Zbudowane są w stylu tzw. biedermajerowskim z przemieszką „secesyjną”, w konstrukcji żelaznej, na dole zabezpieczone ściankami cementowymi od zimna; stoją na podstawach murowanych. Polakierowane będą na kolor stalowoszary. Na górze znajdują się zegary, których tarcze będą wieczorem oświetlone. W kioskach tych, oprócz gazet, sprzedawane będą marki listowe, karty korespondencyjne i stemple. Kioski będą otwarte do godziny wpół do 11 wieczorem.


Tak było na początku wieku w mieście stuparodzieściotysięcznym. A gdzie można dziś, po przeszło 90 latach, w prawie milionowym mieście, znaleźć późniejszym wieczorem – może poza dworcem kolejowym – otwarty kiosk?

Nie dysponujemy zdjęciem kiosku lwowskiego z tamtych lat, posiadamy natomiast fotografię lwowskiego szaletu ulicznego, zapewne z tego samego czasu. Prawda, że ładny?

Szalet lwowski z XIX w.







## Listy do redakcji

*Szanowny Panie Redaktorze, dziękuję bardzo za notatkę o Bóbrce w Słowniku geograficzno-historycznym. Dla mnie jest ona bardzo wnikliwie opracowana, nie znałam tak szczegółowych danych historycznych. Dziękuję też za wzmiankę o moim tekście. Duża grupa związanych z Bóbrką czyta tekst notatki z dużym zainteresowaniem i wspomnieniami.*

Taki list otrzymaliśmy z Wrocławia od Pani Zofii Skały. Cieszymy się, że Czytelnicy mają pożytek z naszego słownika – ta rubryka należy do najchętniej czytanych i lubianych w naszym kwartalniku. Zasluga to w głównej mierze p. dr Marii Taszyckiej, autorki większości haseł.

Nieoceniony dr T. Kukiz zwraca nam uwagę na błąd rzeczowy, jaki popełniliśmy w opisie obrazu Matki Boskiej w CL 2/99 na s.3 (i przedstawionego na zdjęciu): obraz ten nie jest *starą kopią MB Częstochowskiej, przywiezioną z lwowskiego kościoła dominikańskiego*, lecz *wolną kopią obrazu MB Zwycięskiej z tego samego kościoła, a przechowywanego obecnie w Gdańsku.*

Dr Kukiz wyjaśnia, że oryginał tego obrazu *ma być najstarszym wizerunkiem Maryjnym w Polsce. Tradycja mówi, że należał do bizantyńskich cesarzy i poprzez księżną, a potem książąt ruskich trafił do Kijowa, stamtąd do Halicza, potem do Lwowa i w końcu do Gdańska.* Dr Kukiz pisał o tym w „Semper Fidelis” nr 2/92, czego oczywiście nie pamiętaliśmy. Przepraszamy!

Jedno nas usatysfakcjonowało: naszego korespondenta bardzo zainteresowała owa stara kopia, którą wystawił o. Adam Studziński na czas naszej mszy św. w dn. 23 marca.

Oto ruiny jednego z ostatnich stylowych pawilonów (lata 20.) Targów Wschodnich, widziane z ul. Ponińskiego





# STOWARZYSZENIE „WSPÓLNOTA POLSKA”

Oddział i Dom Polonii w Krakowie, 31-008 Kraków, Rynek Główny 14

Kraków, 14 maja 1999r.

## POMÓŻMY RODAKOM WE LWOWIE I NA KRESACH

Szanowny Pan,

Kraków i Lwów połączyło sześć wieków wspólnej pracy dla Polski i walki o niepodległość, połączyły więzy kulturalne, naukowe i rodzinne. Po II wojnie światowej, Lwów pozostał poza granicami państwa polskiego. Życie pozostałych tam Polaków przez ubiegłe pół wieku było pasmem udręk zarówno duchowych jak i materialnych. Trudny byt, w którym przychodzi im żyć, w największym stopniu dolega ludziom w podeszłym wieku w większości ponad osiemdziesięcioletnim. Ludzie ci żyją w niezwykle dramatycznych warunkach materialnych, mieszkaniowych i zdrowotnych. Wiemy o tym z bezpośrednich z nimi kontaktów. Ich miesięczna emerytura nie przekracza 50 PLN z czego muszą pokryć koszty utrzymania i leczenia.

Kierujemy przeto apel do ludzi dobrej woli o pomoc dla tych Polaków – ludzi starych, schorowanych i całkowicie opuszczonych. Pomóżmy im godnie przeżyć ostatnie lata ich trudnego i smutnego życia. W Krakowskim Oddziale Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” działa zespół charytatywny, którego *głównym i jedynym celem* jest pomoc dla tej grupy Polaków z Ukrainy. Pragniemy otoczyć tych opuszczonych *ciągłą opieką*. Marzymy, by znaleźli się w Polsce ludzie, którzy podejmą trud niewielkiej, ale *systematycznej, comiesięcznej pomocy finansowej*.

Informacje o naszej inicjatywie udziela biuro Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Krakowie, DOM POLONII, Rynek Główny 14, tel. /012/ 422 43 55.

Wypełnienie załączonego formularza umożliwi nam określenie wysokości miesięcznej pomocy i ułatwi Panu dokonanie wpłat.

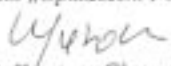
Uzyskane pieniądze przekazują członkowie naszej sekcji charytatywnej *bezpośrednio* osobom potrzebującym. Pragniemy również wspomagać grupę biednych za pośrednictwem Sióstr ze Zgromadzenia Św. Józefa oraz poprzez Zarząd Polskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.


Istnieje również możliwość, do skorzystania z której szczególnie zachęcamy, objęcia *bezpośrednią pomocą* konkretnej osoby we Lwowie. Informacji szczegółowej udziela nasze biuro.

Pozyskane od Państwa pieniądze *w całości* przekazywane są na wymieniony cel pomocy ludziom w podeszłym wieku. Wszystkie koszty administracyjne i wyjazdy do Lwowa pokrywane są z własnych, wypracowanych przez Oddział funduszy. Co najmniej raz w roku publikować będziemy w „Dzienniku Polskim” rozliczenie naszych wydatków.

Prosimy również o zaangażowanie w niniejszej akcji własnych środowisk.

*Wpłaty można kierować na nasze konto: BWR S.A. II O Kraków 19101051 – 97303 – 27016 - 1 z dopiskiem „Opuszczeni Polacy we Lwowie i na Kresach”.*

  
Dr Krystyna Gąsowska  
Dyrektor Biura

  
Profesor Zygmunt Kolenda  
Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”  
Prezes Oddziału w Krakowie

---

**W następnym numerze – specjalnym: O II wojnie światowej ♦  
Gen. Rudnicki opowiada ♦ Siostrzenica T. Sendzimira o Kazach-  
stanie ♦ O Chruszczowie i złotej papierośnicy ♦ Ułan jazłowiecki  
wspomina ♦ Druga rozmowa z Ojcem Adamem ♦ Pokłosie konkursu  
♦ Sylwetki żołnierzy ♦ Słownik ♦ Książki ♦ Kronika ♦ Notatki**

---

#### ERRATA

W nrze 2/98 na str. 50 mylnie podano nazwisko autora jednej z prac historyczno-  
-statystycznych, dotyczących Lwowa. Prawidłowe brzmienie: **Papiorek** (a nie *Papiorka*).  
Bardzo za ten błąd przepraszamy.

W tym samym numerze na str. 49, wiersz 6 od góry po prawej stronie, napisano: ...  
a także *zabytków Krakowa*... Ma być oczywiście: **Lwowa**.

Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej  
Wydziału Edukacji i Kultury Urzędu Miasta Krakowa  
Wydziału Edukacji i Kultury Urzędu Marszałkowskiego w Krakowie  
Redakcja składa podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

Na I str. okładki: Zamek w Podhorcach. Fot. Adam Bujak, z albumu „Zamki”

---

Czasopismo Oddziału Krakowskiego  
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

---

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch

Opracowanie graficzne: Bohdan Prądkowski. Skład: FALL-Studio, Kraków

Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czalczyńska, Barbara Kościak, Romana Machowska,  
Andrzej Olszewski, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta  
Walczewska, Jacek Walczewski

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania  
śródtytułów. Artykułów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

---

Słowo od Redakcji		Karol Odrycki	
ŻYWOT PISMA POCZTIWEGO	II	WANDA CZARTORYSKA	42
Barbara Czańczyńska		WIELKA DAMA SCENY	43
FELIETON O DWORACH	1	Z tamtej strony	
Marta Walczewska		Kazimierz Selda	
PO PIELGRZYMCĘ PAPIESKIEJ	2	NA POZĄTKU MAJA WE LWOWIE	44
Maria Gumińska		WYDARZENIA	47
SZKOŁA POLSKICH PAŃ	4	Polacy z Polakami	
Tadeusz Kukiz		Maria K. Bohomolec	
MECENAS	8	DZIESIĄTKA Z SIÓDEMKĄ	48
Józef Szocki		Elżbieta Mokrzycka	
WIKTOR BAWOROWSKI I JEGO BIBLIOTEKA	11	DLA NAJUBOŻSZYCH	50
Andrzej Miłaszewski		Naszym zdaniem	
PAMIĘTAM TAMTEN PAŁAC	14	JAK TO WŁAŚCIWIE JEST?	52
Wojciech Hausner		W Krakowie i dalej	
OTTO HAUSNER	17	Jerzy Żuk	
Nadina Pietruska		DZIESIĘCIOLECIE W KRAKOWIE	54
TYZENHAUZOWIE Z PRZEMYSŁAŃSKIEGO		Tadeusz Czerny	
POWIATU	20	ZŁOTE ODZNAKI PO RAZ TRZECI	58
Archiwum		Karol Odrycki	
ANEGDOTKI Z WYŻSZYCH SFER	22	HONOROWY OBYWATEL KRAKOWA	59
Rozmowy		NOTATKI	59
Barbara Kościak		Kultura ♦ Nauka	
ROZMOWA Z JERZYM MADEYSKIM	23	Stefan Sochaniewicz	
Poezja		CHÓR ORGANUM	60
PRZED ROKIEM ODSZEDŁ		Maria K. Bohomolec	
ZBIGNIEW HERBERT	26	JAK WYOBRAZIĆ NIEWYOBRAŻALNE	61
Proza		Antoni Robak	
Ks. Lesław Jeżowski		ZAPOBIEC ROZPRASZANIU	62
ODPUST W NIŻNIOWIE (2)	29	KRONIKA	62
Pokłosie konkursu		Książki ♦ Czasopisma	
Marcjanna Szałęga		Andrzej Chlipalski, Stefan S. Łukowski,	
UKOCHANY DOM I KOWER	31	Janusz M. Paluch	
Irena Suchanek		NOWE KSIĄŻKI	63
MAESTRA	34	Halina Konopkova	
Jerzy Masior		GŁOSÓW MAŁEJ OJCZYZNY CIĄG DALSZY	70
KONDYCJA LWOWSKIEJ PIOSENKI	37	Malwina Piskozub	
Słownik		WERTUJĄC WYDAWNICTWA	71
KOROPIEC ♦ MIKULIŃCE ♦ PIENIAKI ♦		Archiwum	
POTURZYCA ♦ RAJ ♦ RYCHCICE ♦		BIEDERMAJEROWSKI KIOSK I SECESYJNA	
ŻURAWNO	39	WYGÓDKA	78
Sylwetki		Listy	79
Bronisław Bober		APEL „WSPÓLNOTY POLSKIEJ”	80
OBROŃCA MORSKIEGO OKA	40		